

<http://icm.org.pl>

KOMEDYE.

LIBRARY
UNIVERSITY OF TORONTO
100 St. George Street
Toronto, Ontario
M5S 1A5

KOMEDYE

JANA ALEXANDRA HR. FREDRY.

TOM III.

*Obce żywioty. — Kłosoze. —
Trzy domina.*

WYDANIE NOWE.

Wszelkie prawa wobec sceny zastrzega się.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
88-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

WARSZAWA.

NAKLAD GEBETHNERA, D. WOLFFA.

1881.



KRAKÓW. — W DRUKARNI WILHELM ANCZYCA I SPÓŁKI.

<http://4519.org.pl>

OBCE ŻYWIOŁY.

K O M E D Y A

W PIĘCIU AKTACH

ORYGINALNIE PROZĄ NAPISANA.

RECEIVED

OSOBY.

	Lwów.	Kraków.
JENERAL MORANOWSKI (lat 80).	P. Zboiński.	P. Rychter.
PAN PAWEŁ MORANOWSKI, jego synowiec (lat 50).	P. Fischer.	P. Zamojski.
LUDMIŁA (lat 42) żona	P. Pawła.	P. Ekerowa.
HELENA (lat 21) córka		P. Siennicka.
P. FIŁON DREYMIERSKI (lat 69 wuj.	Ludmiły.	P. Szymański.
PAN MICHAŁ ELSKI (lat 47) brat.		P. Konarski.
HRABIA LEON ŻORATYŃSKI (lat 30).	P. Wolański.	P. Wardzyński.
JAN DYMAR (lat 26).	P. Kwieciński.	P. Terenkoczy.
BARON DE TECHTELMAN (lat 45).	P. Dobrzański.	P. Eker.
SEMUCER (lat 31).	P. B. Ładnowski.	P. Benda.
PAN BURBASIEWICZ burmistrz są- siedniego miasteczka (lat 48).	P. Doroszyński.	P. Błoński.
WISIADLIK, pisarz pokątny.	P. Dembicki.	P. Ładnowski.
MARCIN lokaj u pana Pawła.	. * .	P. Siedlecki.

Rzecz dzieje się na wsi u pana Pawła Moranowskiego
w pobliżu miasteczka powiatowego w r. 1871.

Prawo i lewo rozumie się od widzów.

Przedstawiona po raz pierwszy na scenie lwowskiej dnia
23 kwietnia, a na krakowskiej dnia 26 t. m. 1873.

AKT I.

(Teatr przedstawia ogród. Po lewej w drugiej kulisie skrzydło wiejskiego dworku, od którego do sceny, kilka wschodów i drzwi szklane prowadzą i który o tyle na scenę wystawać powinien, by widać było jedno okno frontem do publiczności. W kącie stworzonym przez skrzydło dworku i pierwsze kulisy, kanapka na trzy osób; przed nią duży stół, nakryty do śniadania i kilka krzeseł. Po prawej w drugiej kulisie wejście do szpaleru, w którym widać ławeczkę z darni. Na przodzie sceny stolik średniej wielkości, przy nim kilka krzeseł. Wszystkie meble powinny być ogrodowe, to jest, żelazne lub drewniane).

SCENA I.

Helena, Marcin.

(Helena w letniej amazonce z boku podpiętej i przepasanej skórzanym paskiem, przy którym wisi nie wielki pęk kluczyków. Na głowie kapelusik słomiany z welonem. Całe ubranie bardzo skromne. W rękę trzyma pręcik).

Helena (*schodząc z wschodów do Marcina który za nią idzie*)

Marcinie, powiedz proszę kucharzowi i klucznicy, by poszli do spiżarni. Zaraz tam przyjdę wydawać. Niech mi tymczasem Piotr konia osiodła, wyjadę trochę na spacer.

Marcin.

Do usług panienki.

(Wychodzi w głąbi po prawej).

SCENA II.

Helena *(sama)*.

Czy nie zapomniałam czego przypadkiem? *(dobywa z kieszeni pularsesik do notatek, który przegląda)*. Kwity wydane,... mleko zapisałam,... a, *(zapisując)*. „Powiedzieć ekonomowi, żeby pierwszej zaczął żąć na Błoniach niż na Zamczysku, bo tam żyto wcześniejsze.“ *(chowa pularsesik do kieszeni)*. Żeby się przynajmniej moje dobre chęci na co przydały, ale niestety zaczynam wątpić. — *(chwilkę się zamysła)*. Odwagi, odwagi i wytrwałości, Bóg nas przecie nie opuści. — Ach, cóż to za prześliczna róża! *(zrywa ją, wacha z upojeniem, potem do niej mówi)*. Podobną jesteś do téj, którą dwa lata temu, miałam we włosach na owym balu, gdzie mi się zdawało,... lecz to były marzenia, zwiędły jak tamta róża zwiędła... Wyjechał za granicę, powrócił, ale tu się nie pokazał... *(do róży)*. Biedna różyczko i ty zwiędiesz i po tobie nic nie zostanie, *(zamysła się, potem jakby się z myśli otrząsając)*. Precz, precz z temi myślami, to znowu są marzenia, a tu jest powszedni obowiązek.

(Idzie ku głąbi, Szmucer wchodzi po prawej).

SCENA III.

Helena, Szmucer.

(Szmucer: długie włosy niedbale w tył zarzucone, cała broda dość długa ale rzadka; zresztą ranny ubiór, nie polskim krojem, trochę zaniedbany, kapelusz słomiany).

Szmucer (*klaniając się*).

Moje uszanowanie.

Helena (*któru na głos Szmucera trochę się wzdrygnęła, zimno*).

Dobry dzień panu.

Szmucer;

Poranek piękny, ale dość chłodny a pani, jak widzę już na spacer wyjeżdża.

Helena.

Ide przedtem do mego kobiecego gospodarstwa, gdzie na mnie czekają, pan zatem wybaczysz...

(*klania mu się zlekka, i odchodzi po lewej w głąbi*).

SCENA IV.

Szmucer (*sam p. k. m*).

Dumna jak one wszystkie... Nienawidzę jej a przecie ją kocham, ale miłością... (*śmieje się zimnym śmiechem*) może najniebezpieczniejsza dla niej ma się

rozumieć — O, wstawaj do dnia moja panno, kładź się spać ostatnia w domu, pracuj, dźwigaj całe ko-biece i męzkie gospodarstwo, nie poprawisz tém inte-resów ojca; na nic ci się to nie przyda, póki mnie się nie podoba was wybawić, albo zgubić. Tylko z mojej woli i przezemnie mogłaby twoja praca wydać plon, ale na to jeszcze pora nie nadeszła, zmęcz się trochę tymczasem.

SCENA V.

Szmucer, p. Moranowski.

(P. Moranowski, postać szlachcica o długim wąsie, bez faworytów ni brody; ubranie letnie polskim krojem, na głowie kapelusz o szerokich krezach. W ręku trzyma fascykuł papierów).

P. Moranowski (*wychodząc z domu*).

A, Szmucerku, Pan Bóg cię tu zesłał; właśnie miałem posłać po ciebie.

Szmucer (*z ukłonem*).

Sługa pana Marszałka.

P. Moranowski.

Wystaw sobie, przepędziłem część nocy nad uło-żeniem mowy, którą chcę dzisiejsze pełne posiedzenie rady powiatowej zagaić.

Szmucer (*wyciągając rękę po papiery*).

Pan marszałek <http://poczta.org.pl>

P. Moranowski.

Nie, nie, Szmucerku, to nie zwykła mowa; ona jest tak poprzekreślana, tak zabazgrana, że sam djabeł nie trafiłby do końca; zwłaszcza że końca nie ma.

Szmucer.

Mam wprawę.

P. Moranowski.

Dajże mi mówić. Ja jeden mogę z tego się wyplątać. — Widzisz, chcę raz wielki cios zadać wewnętrznemu ustrojowi monarchii, bo źle się dzieje Mospanie. Chcę przewrócić wszystko do góry nogami, może nawet ministeryum zwałę a przynajmniej zachwieję.

Szmucer.

Mową w radzie powiatowej?

P. Moranowski.

Tak jest, nie inaczej, w radzie i przez radę powiatową! Mowa jest tu, gotowa, napisana, tylko... konkluzji mi brakuje.

Szmucer *(z ironią)*.

Ta się znajdzie.

P. Moranowski.

Nie tak łatwo jak ci się zdaje. Słuchaj, sam osądzisz. *(Rozkłada jeden arkusz, zasadza pincenez i czyta)*. Hm, „Panowie, zważywszy primo, że stan dróg...” *(mówi)* nie,... czekaj,... a tak, *(czyta)*. „Zważywszy „primo, że w całym powiecie stan dróg jest w stanie „opłakania godnym, tak dalece, że sam pan komisarz

„drogowy, jadąc zeszłej niedzieli do kościoła z żoną i pięciorgiem dzieci, w samym środku rynku, między „propinacją a kościołem, zagrzązł...”

Szmucer.

Ależ panie marszałku.

P. Moranowski.

Zagrzązł, na honor zagrzązł... ale gdzież stanąłem,... zawsze mi przerywasz,... Hm, hm,... aha,... „zagrzązł i to tak głęboko, że wyłażąc z powozu sam „pan komisarz drogowy i pani komisarzowa drogowa „nogi powyżej kolan zamaczać musieli”.

Szmucer.

Za pozwoleniem pana marszałka, może lepiej byłoby takie szczegóły opuścić.

P. Moranowski.

Kiedyż bo to fakt.

Szmucer.

Może trochę zbyt drastyczny...

P. Moranowski.

Już to co drastyczny, to drastyczny, zwłaszcza że pani komisarzowa drogowa, aczkolwiek trochę masywna kobieta ale,... dość że widziałem, z okien bióra marszałkowskiego na własne oczy widziałem!

Szmucer.

Tak, ale...

P. Moranowski.

Nie, nie, to zrobi wrażenie na członkach rady, tego nie zmieniamy (Szmucer rusza ramionami) Hm,

tak... tutaj... *(czyta)* „nogi powyżej kolan zamaczać, musieli, zaś pięcioro dzieci organista z rzeźnikiem, z ciężką biedą z pojazdu wyciągnęli. Punkt.“

Szmucer.

Jakto punkt?

P. Moranowski.

No punkt, — kropka, koniec pierwszego „zważywszy“.

Szmucer.

Aa, tak, przepraszam.

P. Moranowski *(czyta)*.

„Zważywszy secundo, że jedna baba powiedziała synowi, którego wpakowano do kryminału: „Szajnujże się teraz synu, żeby cię ztąd nie wypędzili, bo tu masz siennik, koc i kawę na śniadanie a zima nadchodzi“.

Szmucer.

Ależ panie...

P. Moranowski.

Czekaj, czekaj, słuchaj do końca, inaczej nigdy konkluzji nie znajdziemy *(czyta)*. „Dalej że gdy pan Gajajkiewicz, dziadowi, który mu srebrną łyżkę z kredensu ukradł, groził że go odda do kryminału, ten mu odpowiedział: „Ta to Panie moja ojczyzna, ta mnie tam dopiero starzy złodzieje kraść nauczyli.“ Wreszcie że gdy z kryminału stu czterdziestu siedmiu kryminalistów do robót przy kolei, rano wyprowadzono, wieczór szesnastu więcej wróciło, przez co

„dozorcy swoich prawdziwych złodziei od dyletantów
„rozróżnić nie mogli i dopiero sortować musieli...”

Szmucer.

Aaa, tego nie można...

P. Moranowski (*zniecierpliwiony mruczy i ręką kiwa żeby
milczał; czyta*).

„Zważywszy że, z powyższych faktów wnosićby
„się dało, że w dzisiejszych kryminałach rabusie
„lepsze życie mają niżeli w domu i że się tam młodszy
„od starszych kraść uczą...”

Szmucer.

Pomijam że zaostrenie regulaminu w kryminałach
sprzeciwiałoby się ideom humanitarnym, ale...

P. Moranowski.

Jeżeli mi będziesz wciąż przerywał, nie dojdziemy
nigdy do konkluzji, a jak nie dojdę, gdzie ją znaleźć?
Przecież ja tu mam jeszcze kilkanaście „zważywszy.”
O. tertio (*czyta*). „Zważywszy, że u pani Bulskiej stróż
„folwarczny ekonom tak drągiem w łeb zwałił że ten
„cztery tygodnie, między życiem a śmiercią leżał; stróż
„zaś na dziesięć dni aresztu skazanym został. Punkt. —
„Quarto że nikt granic swojej własności nie jest pe-
„wnym, bo jak ci się sąsiadek worze w twoje pole,
„las lub łąkę zamiast komisji, któraby w kilku go-
„dzinach fakt sprawdziła i sprawiedliwość wymierzyła,
„wolno ci procesować złodzieja przez lat trzydzieści,
„podczas których on skradziony kawałek twego gruntu
„używać będzie, co wiecznie każdemu właścicielowi
„nad głową wisiał jak miecz Sotoblesa”.

Szmucer (*przed siebie*).

Damoklesa.

P. Moranowski (*zniecierpliwiony*).

Sofoklesa, Damoklesa, Pipiklesa, wszystko jedno, tu nie chodzi o Greka, ale o grunta!

Szmucer.

Przepraszam.

P. Moranowski.

Więc słuchaj cierpliwie kiedy nie wiesz o co idzie. Dalej wspominam o włóczęgach, raubschtitzach i podpalaczach, których się nigdy nie łapie, a jeżeli przypadkiem złapie, nazajutrz wypuszcza, o licencyach szynkowania słodzonych trunków, to jest prawnego okradania właścicieli propinacyi, o kubanach czyli sikorkach, o służbowych stosunkach, o tem że wszyscy płacą podatki, i to Bóg widzi jakie, ale nikt właściwie nie wie ile płacić powinien i tego ani dociec ani od niespodzianek się uchronić nie jest w stanie. Krótko mówiąc, zważywszy to, to to i to, wnoszę,... otóż tu jest owa sławna konkluzya, wnoszę: Prześwietna rada powiatowa uchwalić zechce,... co?... Nie wiem!

Szmucer.

Przedewszystkiem muszę panu marszałkowi powiedzieć, że to są ponajwiększej części rzeczy za obrębem działalności rady powiatowej.

P. Moranowski.

Ale to są rzeczy, które nas gniołają, duszą, bołą, dławią, jakże u trzysta djabłów być może żeby nie było sposobu do kogoś się odezwać.

Szmucer.

Skutecznego środka nie widzę.

P. Moranowski.

Niech się rada uda do sejmu.

Szmucer.

Większa część rzeczy przez pana marszałka przytoczonych nie należy do kompetencji sejmu.

P. Moranowski.

Podać do delegacyi.

Szmucer.

Delegacya w tym względzie nie ma władzy.

P. Moranowski.

To pisać do ministerstwa, podawać, szturmować, gwałtu krzyczyć!

Szmucer.

Nie nie pomoże.

P. Moranowski.

Od czegoż więc jest rada powiatowa, od czego ja marszałkiem?

Szmucer.

Rada, by uchwalała, pan marszałek by prezydował.

P. Moranowski.

A, a, to pięknie...

Szmucer.

Niech mi pan marszałek swoją mowę powierzy, ja, tylko przepisując, /tak rzecz ułożę by o wszyst-

kiem niby wzmianka była i konkluzya sama z siebie się znalazła.

P. Moranowski.

To, to, to, mój Szmucerku, przepisz, przepisz na czysto, żeby gazety nie napisały że ja jestem marszałkiem tylko od parady.

Szmucer.

Tego nikt nie śmiałby pomyśleć a cóż dopiero napisać w obec stanowiska, które pan marszałek w kraju zajmujesz.

P. Moranowski.

Więc jestem popularnym, co?

Szmucer.

Co tam popularnym, potęgą!

P. Moranowski.

Potęgą powiadasz, he, he, wiedziałem o tem, ale mnie cieszy to slyszeć (*bierze fascykul pod pachę i zaciera ręce*). Potęgą polityczną, he?

Szmucer.

Niezaprzeczenie.

P. Moranowski.

Nie napisał tam co o mnie nasz dzienniczek?

Szmucer.

Jeszcze go dziś nie czytałem, ale mi to przypomina po co tu przyszedłem (*dostając z kieszeni pęk banknotów*). Przyniosłem panu marszałkowi półroczną ratę, którą mi pan polecieś od propinatora z góry odebrać.

P. Moranowski.

Złoty z ciebie człowiek Szmucerku; właśnie dzisiaj Helenka żądała odemnie pieniędzy na zrestaurowanie gorzelni; stodoła także się podobno pochyliła, ... na roboczną potrzebę...

Szmucur (który przelicza pieniądze).

Siedmset pięćdziesiąt reńskich.

P. Moranowski.

Dziękuję, dawaj!

Szmucur (nie dając pieniędzy).

Równocześnie pozwoliłem sobie zestawić mały rachuneczek niektórych niezbędnych wydatków (*dostając z kieszeni rachunek*).

P. Moranowski.

Wszak niedawno podatki zapłaciłem.

Szmucur.

To nie jest wykaz podatków, ale datków.

P. Moranowski.

Cóż tam takiego?

Szmucur (czyta).

„Roczna subwencya dziennikowi „Przyszłość“, trzysta reńskich.

P. Moranowski.

Trzysta reńskich!

Szmucur.

Dziennikowi, którego założenie głównie wielkomyślności pana marszałka kraj zawdzięcza, a który

zarazem jest dźwignią tej wielkiej popularności, tego miru, którego pan marszałek u prawdziwych patryotów używasz.

P. Moranowski.

Tak, ale trzysta reńskich, to mi diabelnie teraz nie na rękę. Jest co więcej?

Szmucer (*czyta*).

„Zaległe raty towarzystwa: „Niwelatorów zabytków“ sto trzydzieści pięć reńskich“.

P. Moranowski.

To myłka! zkał sto trzydzieści reńskich! Dopiero co ratę zapłaciłem.

Szmucer.

Trzy miesiące temu, ale towarzystwo znając pańską ofiarność, uprasza o zasilek stu reńskich, a conto przyszłych rat, gdyż widzi swoje istnienie z braku funduszków zagrożone.

P. Moranowski.

O, o, o, jeszcze czego, napisz że odmawiam i składam godność delegata.

Szmucer.

To złe wrażenie robi, mogłoby nawet zachwiać stanowisko pana marszałka wobec ludzi przyzwyczajonych widzieć w nim człowieka poświęcenia dla spraw ojczystych.

P. Moranowski.

Myślisz? Hm, hm, ha, cóż robić, trzeba zapłacić! Przecie na tem koniec, dawaj resztkę.

Szmucer (*spoglądając na rachunek*).

Nowo założone towarzystwo „Zapoznanych zdolności“ przysłała panu marszałkowi kilka akcyj po sto pięćdziesiąt reńskich.

P. Moranowski.

A, tego już za wiele! Co? jacy? „Zapoznane mierności?“

Szmucer.

„Zdolności“.

P. Moranowski.

Niech ich piorun trzaśnie!

Szmucer.

Po największej części są to ludzie władający ostrem piórem.

P. Moranowski.

Ostrem piórem, hm, ostrem piórem... Ha wezmę jedną akcyę, ale nie więcej.

Szmucer.

Mam tu jeszcze odezwę wzywającą pana marszałka byś raczył zająć się zbieraniem składki na pomnik w Niederholabrunn dla nieboszczyka Wolfganga Schnabelschreiera.

P. Moranowski.

A to co za jeden?

Szmucer.

Jakto, pan nie wiesz kim był Schnabelschreier? Wszak to jeden z najznakomitszych publicystów niemieckich.

P. Moranowski.

Co mi tam djabli do jakiegoś Niemca.

Szmucer.

Właśnie tem chcemy wznieść się nad ciasny obręb uczuć narodowych, i oddać hold człowiekowi, który przez ćwierć wieku pochodnią swego jenuiszu przewodniczył ludzkości!

P. Moranowski.

Zresztą, niech go tam djabli biorą, dałbym parę reńskich odczepnego, byleby mi nie kazano zbierać składki, bo to tak strasznie przykro sięgać do cudzej kieszeni.

Szmucer.

Tem większa zasługa; zresztą nasz dziennik tę sprawę gorąco poprze.

P. Moranowski.

Kiedy tak, powiem sąsiadom, ale wątpię żeby który co dał.

Szmucer.

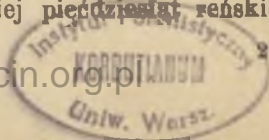
Skoro im pan do serca przemówisz.

P. Moranowski.

Do kieszeni raczej. Ale jak ci się zdaje, ile mnie zapisać wypada? Piątka wystarczy?

Szmucer.

Ależ panie marszałku, pan stoisz na czele listy; sądzę zatem że przynajmniej pięćdziesiąt reńskich.



P. Moranowski.

O, co to, to nie; dam dwadzieścia pięć reńskich i bodajby im gardłem wylazły. Oto mnie obskubałeś; dawajże przynajmniej co się zostało.

Szmucer.

Miałem tu wprowadzić jeszcze jeden interesik, ale skoro widzę że pan marszałek nie w humorze...

P. Moranowski.

To już powiedz, dorznij mnie od razu, niech się długo nie męczę! Duś, wyduś jak cytrynę!

Szmucer.

Jest to ważny list z Paryża.

P. Moranowski (zaciekawiony).

Z Paryża? O mnie?

Szmucer.

Wprowadzić pan nie jesteś wymieniony, ale komitet tamtejszy oczywiście nikogo innego nie miał na myśli, gdy mi polecił bym uprosił człowieka z powagą, znaczeniem, przejętego gorącą miłością bliźniego, żeby stanął na czele składki na korzyść cierpiącej ludzkości.

P. Moranowski (z westchnieniem).

Więc znowu składka!

Szmucer.

Ale jaka! Na jak wzniosły cel! Składka dla nieszczęśliwych na pontonach jęczących paryzkich komunistów.

P. Moranowski.

Co? dla paryzkich podpalaczy!

Szmucer.

Niewinne ofiary przesądów.

P. Moranowski.

Słodkie owieczki!

Szmucer.

Zapewne że oni może trochę zblądzili, ale gdyby im byli od razu wszystko dali czego oni chcieli, nie byłoby przyszło do tych ostateczności.

P. Moranowski.

Dajże mi pan pokój; to dzikie rozwścieklone zwierzęta, furye, bestye jakieś!

Szmucer.

Gdybym był wiedział, że pan marszałek to tak gorąco bierzesz, nie byłbym wcale o tem wspomniał; uczyniłem to tylko w chęci oddania usługi panu marszałkowi.

P. Moranowski.

Bardzo ci dziękuję, kłaniam uniżenie, piękna mi usługa zbierać składkę dla podpalaczy!

Szmucer.

Nie wszyscy, którzy podzielają zdania komuny i którzy jej służyli są na pontonach.

P. Moranowski.

Niestety!

Szmucer.

To jest bardzo rozgałęzione stronnictwo, a że w owym liście wyraźnie pana marszałka rozumiano, obawiałem się, bym w razie milczenia lub odmowy z jego strony, pana nie naraził...

P. Moranowski.

Na co?

Szmucer.

Nie można wiedzieć, ale na wszelki sposób na wielkie nieprzyjemności.

P. Moranowski.

Co mi tam zrobią!

Szmucer.

Oni mają długą rękę a w środkach nie przebierają.

P. Moranowski.

Przecie ich tu nie ma, a do Paryża nie pojedę; nie głupim Mospanie.

Szmucer.

Oni są wszędzie.

P. Moranowski (*oglądając się*).

Nawet i tu? Tam do djabła! Gotowiby mi folwark spalić; Co? powiedz Szmucerku...

Szmucer (*spuszczając oczy*).

Może i co gorszego...

P. Moranowski (*mocno zaniepokojony*).

Oo, fe, fe!... Trzeba im coś dać!

Szmucer.

Sądziłbym że wypada dużo dać.

P. Moranowski.

Sto reńskich! dam zaraz, tylko żeby mnie uwolnili od zbierania składki, bo to jakoś człowiekowi wstyd powiedzieć: „Daj na podpalaczy.“... Nie mógłbyś to jakoś ułożyć Szmucerku.

Szmucer.

Możeby się to dało zrobić, ale w takim razie trzeba dać znacznie więcej. Co znaczy sto reńskich!

P. Moranowski.

Sto reńskich znaczy sto reńskich, ale dałbym, dalibóg dałbym dużo więcej, lecz sam widzisz że nie mam.

Szmucer.

Ja panu powiem; tu zostaje jeszcze sto czterdzieści reńskich, daj mi pan karteczkę do pachciarza na sześćdziesiąt, to dwieście; do tego dopyżyczę u żydów na pański weksel ośmset. będzie razem tysiąc reńskich.

P. Moranowski.

Tysiąc reńskich;

Szmucer.

Pan wiesz że z nimi to nie przelewki. Te pieniądze dać trzeba, a ja już tak rzecz ułożę, że nie tylko panu nie zaszkodzi, ale wysoko pana postawi.

P. Moranowski (*pisząc karteczkę*).

Już niech nie stawia, aby tylko cicho (*z westchnieniem*). Tysiąc reńskich. Oto masz karteczkę.

Szmucer (*chowając ją wraz z pieniędzmi do pularesu i podając P. Moranowskiemu rachunek*).

A oto, masz pan rachunek. — Weksel możesz mi pan dać później.

P. Moranowski.

Dziękuję ci. Ogromny mi kamień z serca zdjąłeś.

Szmucer.

Wypełniłem tylko moją powinność jako człowiek i sekretarz pana marszałka.

P. Moranowski (*ściskając go za rękę*).

Bóg ci zapłać Szmucerku!

SCENA VI.

Ciz, Ludmiła, Marcin.

(Wychodzą z domu, Marcin niesie za Ludmiłą tekę z papierami, kałamarz i pióra).

Ludmiła (*pokazując stolik po prawej*).

Położ to tam, na stoliku; uważaj żebyś atramentu nie rozlał. — A, pan Szmucer, dzień dobry panu.
(*Marcin kładzie wszystko na stoliku po prawej i wychodzi w głębi po lewej*).

Szmucer (*z głębokim ukłonem*).

Sługa najniższy pani marszałkowej.

P. Moranowski.

Cóż się to stało, że moja magnifika dziś tak rano się ukazuje?

Ludmiła.

Wstałam z zorzą chcąc w tym precudnym poranku nowego zaczerpnąć natchnienia.

P. Moranowski.

Czerp moja droga, czerp, powietrza jest dosyć, to nie nie kosztuje.

Ludmiła.

Zawsze te same mile żarciki.

Szmucer.

W istocie to tylko żartem nazwać można, skoro pani marszałkowej talent władania piórem powszechnie jest znany.

Ludmiła.

Nie wszyscy go jednakowo oceniają.

P. Moranowski.

A na czele hebesów, stoi mąż barbarzyniec; wszak to chciałaś powiedzieć.

Ludmiła.

Nie powiedziałam.

P. Moranowski.

Dziękuję.

Szmucer.

Wprawdzie zbyt rzadko mnie pani marszałkowa odczytaniem jednego ze swoich utworów zaszczycała,

jednak sędzę że wszyscy, których to szczęście spotkało, jedno tylko zdanie mieć mogą.

Ludmiła.

Mało jest takich, bo moje dzieła są jak fioletek, trzeba go szukać chcąc go znaleźć.

P. Moranowski.

Schylać się nie będę, mnie, bez poezyi, krzyże bołą.

Szmucer.

Ja przeciwnie, schylałbym się od rana do nocy, gdybym mógł mieć nadzieję, że fioletek znajdę.

P. Moranowski.

O, Szmucerku, pochlebniszu!

Ludmiła.

Jeżeli to panu może przyjemność zrobić...

P. Moranowski.

Będiesz czytać... uciekam!

Ludmiła.

Grzeczny jesteś i dowcipny.

Szmucer.

Nie można się dziwić panu marszałkowi, że śród jego zajęć politycznych...

P. Moranowski.

Co prawda, to prawda; nie mam czasu nosa utrzyć. Cały powiat dźwigam tēm! (*uderza się mocno w czoło*). Czytajcie więc sobie wasze poezye, bo i ty podobno kawałek literata, wachaj fioletek jeżeli cię to

bawi, ja jeszcze niektóre akta przegładnę chodząc po ogrodzie, bo mi w głowie jak w młynie (*odchodzi po prawej w głębi*).

SCENA VII.

Ludmiła, Szmucer.

Szmucer.

Zapewne jakiś wiersz wzbogacił pani tekę.

Ludmiła.

Czy może dusza wznosić się w wyższe regiony poezji, gdy otoczona jest realizmem, lub przygniatana ironią?

Szmucer.

Zwykły umysł ugiąłby się niezawodnie; ale o pani tego nie przypuszczam.

Ludmiła.

I dobre pan, masz o mnie zdanie. Nie dam się zbić z toru mego powołania, lecz ileż to przeszkód co krok napotykam. U męża lekceważenie lub obrażające przycinki, u córki obojętność. On nie przypuszcza, by kobieta poezją, nad poziom wznieść się mogła, tem mniej by talentem stanowczy wpływ na ustrój społeczeństwa wywarła. Ucieka przed memi utworami albo zbywa je żarciem. Helena słucha mnie z rozтарnieniem. Nieraz gdy krążę pod obłokiem, w jej oczach

czytam, że ona w tej chwili myśli, czy leśniczy przystawił sęgi do kuchni, ile potrzeba wydać mąki na kluski dla czeladzi, lub gdzie kazać kosić trawę dla krów do podoju!

Szmucer.

To bolesne, wszakże świat inaczej panią oceni.

Ludmiła.

Świat! Czyliż moje ciało nie jest równie jak moja dusza tutaj skrzępowane? Czyż ten dom, ta wioska są areną, w której moje talenta jaśniećby powinny? Dwa lata temu, chciałam jechać na kongres międzynarodowy do Lauzanne. Przed tem zgromadzeniem ludzi najrozumniejszych, najszlachetniejszych, najznakomitszych, byłabym z trybuny wydała na świat to, czem dotąd brzmienną jestem.

Szmucer.

W istocie, pani tylko na kongresie brakowało.

Ludmiła.

O, wiem że byłabym wielkie wrażenie sprawiła. Kto wie czy moja wymowa, rozlewająca się jak lawa wulkanu po obu hemisferach, nie byłaby spruchniałym więzom społecznym śmiertelny cios zadała i stanowisko kobiet w świecie przeobraziła.

Szmucer.

Niezawodnie.

Ludmiła *(przechodzi)*.

Niestety mój mąż nie chciał mi dać pieniędzy na podróż. Inne szczęśliwsze zajęły moje miejsce, zebrały część laurów, które moją skroń uwieńczyć miały.

Szmucer.

Byłabyś je pani z pewnością przewyższyła.

Ludmiła.

Nie wątpię o tem, dlatego powiadam, że te panie wzięły część laurów, które mnie się należały. — Nie odmawiam im zasługi, gdyż daleko zaszyły, ale ja byłabym jeszcze dalej poszła.

Szmucer.

Jeniusz dalej sięga niż talent.

Ludmiła.

Nieprawda? Wychodząc z zasady: „Równość, wolność i braterstwo kobiet“ byłabym dowiodła, że małżeństwo jest gwałtem popełnionym na kobiecie.

Szmucer *(na stronie)*.

Dla którego wszystkie chcą iść za mąż.

Ludmiła.

Pan powiadasz?

Szmucer.

Nie, podziwiam.

Ludmiła.

Dlatego małżeństwo powinno być zniesionem.

Szmucer.

Czemże je zastąpić?

Ludmiła.

Myślałam o tem, lecz wyrazu mi brakuje, wolnym... wolnym...

Szmucer.

Związkiem.

Ludmiła.

Nie, to zbyt więzy przypomina.

Szmucer.

Może wolną ugodą.

Ludmiła.

Doskonale! Wolną ugodą, w którejby mężczyźni ciężar macierzyństwa w równej części z kobietą dzielili.

Szmucer.

Sprawiedliwie.

Ludmiła.

Dzieci nosiłyby nazwisko matki, za to ich utrzymanie należałoby do ojca.

Szmucer.

Żeby tylko mężczyźni na to przystać chcieli.

Ludmiła.

Dlaczego nie? Wszakże tem zdjęłoby im się z głowy ową... pewną... śmieszność, którą się tak martwią, bo tam gdzie wszyscy dźwigałoby ją za równo przestałaby być śmiesznością.

Szmucer.

Rozumiem, to byłoby urzeczywistnieniem: „Wolności, równości i ogólnego braterstwa“.

Ludmiła.

Prawda. Sama od razu na tę myśl nie wpadłam Pan jeden masz dar odgadywania moich myśli. Pojmujesz jakie wrażenie ta teorya byłaby na kongresie wywarła.

Szmucer.

Przekonany jestem że byłaby na miejscu w praktykę przeszła.

Ludmiła.

Czyż nie miałam racyi twierdzić, że świat byłby już przerobiony?

Szmucer.

Bezsprzecznie.

Ludmiła.

I to wszystko rozbiło się o niezłomny upór mego męża. Niechciał! Głęboko dotknięta niewolnica uległam, ale przenoszę na papier to, co byłabym w Lauzanne wypowiedziała.

Szmucer.

Będzie to z korzyścią dla świata bo słowa ułatwiają, dzieło zostanie.

Ludmiła.

Pan masz zawsze dla mnie słowo pociechy i zachęty.

Szmucer.

Powiedz pani raczej, że ja pani talent według jego rzeczywistej wartości oceniam.

Ludmiła *(podając mu rękę)*.

Dobry, pocziwy.

Szmucer.

Czyliż także nie jestem natchniony miłością bliźniego. Jakkolwiek w skromnym stanowisku, ale i ja pragnę zrównania wszystkich stanów.

Ludmiła.

I dlatego pan mnie odgadłeś.

Szmucer.

Raczej pani we mnie podziw dla swego jenuśzu odgadłaś.

Ludmiła.

Odgadliśmy się wzajemnie! Równie jak dla mnie, tak i dla pana lazurowe podwoje świątyni poezyi są otwarte.

Szmucer.

Do poezyi pretensyi sobie rościć nie mogę, ale się szczycę, że jestem apostołem wolności i wielkiej miłości ludzkości.

Ludmiła.

Ja zaś jestem apostołką przyszłości, dlatego nasze dusze jakimś mistycznym węzłem połączone, zrozumiały, pojęły, zbliżyły się odrazu.

Szmucer *(na stronie)*.

Oho! oho! oho!

Ludmiła *(z wzrastającym zapatem)*.

Nieprawda, że pan mnie nie opuścisz w trudnej walce z przesadami. Pan będziesz moim doradcą, moją podporą, przyjacielem. Nasza przyjaźń nie przekraczając miłości brata i siostry będzie dla nas niewyczerpanym źródłem moralnych rozkoszy, krynicą, w której kapiąc razem serca, będziemy je haitowali

do przeobrażenia społeczeństwa. Nie będzie to miłością ziemską, ale przyjaźnią niebiańską, czystą, eteryczną, idealną!

Szmucer *(na stronie).*

Wolałbym się trzymać miłości ludzkości w ogóle.

Ludmiła.

Cóż? Pan milczysz?

Szmucer.

Zbytek radości, zachwyty upojenie.

Ludmiła.

Przybliży się do mnie mój przyjacielu; niechaj trzydziesty siódmy rozdział mego dzieła będzie pierwszym naszej przyjaźni.

Szmucer *(na stronie).*

Gdyby nam kto mógł przerwać.

SCENA VIII.

Ciż, Marcin *(wnosi samowar).*

Ludmiła.

Cóż to, po co tu przychodzisz?

Marcin.

Czas dawać śniadanie.

Szmucer *(na stronie).*

Przecie! *(głośno)* Pani pozwoli że pomogę uprzątnąć. *(kładzie rzeczy ze stolika na ławeczkę).*

Ludmiła.

Czy panna Helena wróciła.

Marcin.

Dopiero co z konia zsiadła; poszła teraz do pana Jenerała. *(stawia samowar na stoliku, potem wychodzi po za dom).*

Ludmiła.

W tym domu nie można mieć chwileczki spokoju. *(Za sceną po lewej słychać odgłos większego dzwonka).* Nieznośny dzwonek, jak na gwałt wszystkich zwoluje gdy chciałoby się być samym. Cóż robić, odłożymy czytanie na później *(Jenerał po pod rękę z Heleną ukazują się z po za domu w głębi)*, wszakże nie na zbyt długo. Nieprawda mój przyjacielu. *(podaje Szmucerowi rękę, którą on całuje).*

SCENA IX.

Ciż, Jenerał, Helena.

(Podczas tej sceny Marcin przynosi pieczywo etc. etc. na duży stół, wchodząc i wychodząc do woli).

(Jenerał piękna postać starego żołnierza; trochę pochylony ale czerstwy; włosy białe; lekkie faworyty łączące się z wielkim wąsem.

Surdut i krawatka czarne, spodnie ciemnego koloru).

Jenerał *(spostrzegając Szmucera całującego w rękę Ludmiłę).*

A!

(Szmucer i Ludmiła oddalają się od siebie).

Helena.

Cóż to dziadziowi?

Jenerał.

Nie, źle stąpiłem.

Helena.

Zawsze mówię, że Dziadzio za prędko chodzi.

Jenerał.

Młodość moja panno, młodość! (*do Ludmiły*). Dobry dzień pani synowicy.

Ludmiła.

Dobry dzień stryjowi.

Szmucer (*z głębokim ukłonem*).

Najniższy sługa pana Jenerała.

Jenerał (*zimno*).

Kłaniam (*na stronie*). Ten człowiek robi mi zawsze wrażenie zimnego gadu. (*siada przy dużym stole po lewej plecami do kulis*).

Szmucer (*na stronie*).

Nie jestem w łaskach.

SCENA X.

Ciż, Drzymierski.

(Drzymierski, siwe włosy, zupełnie ogolony; fryzurą i strojem powinien przypominać mody końca zeszłego wieku, lub roku 1829. W złotej klamercie przy klapie surduta wstążeczka w różnokolorowe paski).

Drzymierski.

Salut messieurs et mesdames. On sonne, on sonne, dzwonią, ma foi, to śniadanie, więc spieszę.

Ludmiła.

Bonjour cher oncle.

Helena (*chcąc w rękę pocałować Drzymierskiego*).

Całuję rączki dziadunia.

Drzymierski.

Już ci tyle razy mówiłem żebyś mnie nie nazywała dziaduniem i w rękę nie całowała. To mnie starzeje, que diable! Mów do mnie jak twoja matka, mon oncle, cher oncle, a la bonbeure!

Helena.

Jakże mam mówić po polsku?

Drzymierski.

Po polsku, po polsku, kto ci każe mówić po polsku? Parlez moi français; To mi język! Nie taki jak wasze „szy, czy rrrzy“.

(Helena robi herbatę przy stoliku po prawej. Szmucer rozmascia z Ludmiłą).

Jenerał.

Nasze tak dobrze, jak twoje panie Filonie.

Drzymierski (*siadając na kanapie*).

Przypadkiem, nieszczęsnym przypadkiem, un hasard désagréable że mój ojciec był Polakiem.

Jenerał.

Dobrym szlachcicem z Podlasia.

Drzymierski.

Ale za to moja matka uue vicomtesse Pempuchac de la Culeviere, była ostatnią latoroślą jednej z najznakomitszych rodzin Gaskonii i gdyby nie ta przeklęta rewolucya ośmdziesiątego dziewiątego roku, która mego dziada zmusiła emigrować do Polski.

Jenerał *(na stronie).*

Stary zegar musi wygrać swego kuranta.

Drzymierski.

Dosyć że skutkiem mego francuzkiego urodzenia po upadku pana Biuonapartego...

Jenerał *(uderzając lekko pięścią w stół).*

Cesarza Napoleona.

Drzymierski *(drgnąwszy).*

Nie irytuj się jenerale. Niech będzie cesarza Napoleona. Więc po jego upadku zostałem paziem Jego Królewskiej Mości Ludwika XVIII, potem zaś szambelanem Jego Królewskiej Mości Karola X i gdyby nie druga przeklęta rewolucya trzydziestego roku byłbym dzisiaj przynajmniej wielkim mistrzem ceremonii.

Jenerał.

Gdzież Paweł?

Ludmiła.

Mój mąż zawsze spóźnić się musi. *(siada naprzeciwko jenerała; Szmucer zbliża się do Heleny).*

Szmucer.

Może mogę w czem pani pomódz?

Helena *(zimno)*.

Dziękuję panu. *(niesie filiżankę herbaty generałowi)*.
Czy nie będzie za mocna dziadziu?

Generał.

Wyborna, moja turkaweczko, jak wszystko co robisz.

Drzymierski.

Ja proszę lekkiej, ledziutkiej, ledziusienekkiej.

Helena.

Zaraz dzia mon oncle.

Ludmiła.

Panie Szmucer, czemu pan z nami nie siadasz?

Szmucer.

Niechę miejsca zabierać; jeżeli panna Helena pozwoli, sięde przy małym stoliku. *(Helena zimno potakuje głową, nalewając herbatę do filiżanek, które Marcin wszystkim na tacy roznosi. Sama siada przy stoliku po prawej, Szmucer naprzeciwko niej plecami do kulis)*.

Drzymierski.

Komu byłoby naprzykład u dworu Jego Królewskiej Mości, na myśl przyszło nazywać mnie Drrrzy-mierskim? Gdzietam! jak długo byłem pazikiem nazywano mnie: „Le petit Gigi,“ później jako szambelana: „Le chevalier, czasem nawet, le vicomte de La Gimiere. Ce cher la Gimiere! Charmant! Délicieux!

SCENA XI.

Ciż, P. Moranowski.

P. Moranowski (*wchodząc po prawej*).

Już jesteście zebrani, to dobrze. Dzień dobry, dzień dobry. Helenko spiesz się z herbatą, dziś pełne posiedzenie; polityka czekać nie może.

Jenerał.

Dopiero dziewiąta.

Szmucer (*patrząc na zegarek*).

Mamy jeszcze dużo czasu nim się zjadą.

(P. Moranowski chce siadać na kanapie).

SCENA XII.

Ciż, Elski, Baron.

(Elski w eleganckim rannym ubiorze; to samo i Baron tylko trochę przesadniej ubrany; długie faworyty czarne. W rękę trzyma laseczkę z złotą gałką i dwa duże bukiety. Obydwa mają po jednym kwiatku przy klapie żakietek).

Elski (*wchodząc po prawej*).

Klaniam moi państwo.

Ludmiła.

Aa, Michał. <http://rcin.org.pl>

Elski.

Przyprowadzam ci gości.

Ludmiła.

I pan Baron. *(nie wstając podaje im rękę. Jeneral i Drzymierski oddają im ukłon na pół wstając; Helena wstaje do Elskiego. Szmucer wstaje i stoi póki pan Moranowski nie siądzie. Elski z wszystkimi poufale się wita).*

Elski

Wystawcie sobie, robił ceremonie przed wami się pokazać pod pozorem, że to za rano.

Baron.

Ja z kochanym Michałem i z mężczyznami nie robię nigdy ceremonii, ale z piękną to co innego.

Ludmiła.

Któż widział tak się ceremoniować z sąsiadkami. Niechże pan Baron siada. *(wskazując mu miejsce na kanapie).*

Baron.

Zaraz pani. Ja rano wyjechałem z kochanym Michałem, żeby uniknąć gorąca, dla wygody, ale za to że tak rano przyjeżdżam, przywiozłem paniom bukiety z moich oranżeryj. *(podając bukiet Ludmile).* Ten dla pani.

Ludmiła.

Ach co za prześliczne kwiaty.

Baron.

To z moich oranżeryj. *(idąc do Heleny).* A ten drugi dla pięknej panny Heleny.

Elekł.

Przyznajcie że Baron galant.

Helena (biorąc bukiet który zaraz na bok kładzie).

Dziękuję panu Baronowi.

Ludmiła.

Ale niechże pan Baron siada.

Baron.

Pani na kanapie... dama...

Ludmiła.

Nie, tu moje zwykłe miejsce. *(Baron siada obok Drzymierskiego. Podczas następujących scen, aż do swego wyjścia Baron często spogląda na Helenę i wzdycha).*

P. Moranowski (do Heleny).

Ja z panem szwagrem przy was się umieścimy; siadajże Szmucerku.

(Elekł i p. Moranowski siadają między Heleną i Szmucerem).

Jenerał.

Jakże Baron zadowolony jesteś z kupna Złotogór?

Baron.

Ja się bardzo cieszę, że jestem kontent, to bardzo przepyszny majątek.

Elekł.

Trzeba koniecznie żebyście zwiedziły pałac, park i ogrody Barona.

Ludmiła.

Słyszałam o urządzeniu pałacu; powiadają, że ma być prześliczne. <http://rcin.org.pl>

Baron.

Tak jest prześliczne. Ja sobie pałac według mego własnego gustu urządziłem bo ja lubię wygodę, ja bez wygody żyć nie mogę.

Drzymlerski.

Dziwię się tylko że pan Baron mógłś tu dostać zdatnych robotników, znośnych mebli i tych drobiazgów, ces mille petits riens, które są prawdziwą ozdobą francuzkiego apartamentu.

Baron.

Ja też wszystko z Wiednia sprowadzał.

Drzymlerski.

Z Wiednia! Fi donc, dlaczego nie z Paryża? Gdy byłem czynnym szambelanem Jego Królewskiej Mości Karola X miałem w Tiuleriach apartamencik, (*posłał calusa w powietrze*). prawdziwą bombonierkę; to też damy honorowe lubiły ją zwiedzać.

Jenerał.

Hm, hm.

Baron.

Ja meble z mego pałacu w Wiedniu, sprowadziłem do Złotogór, a po meble z Paryża do mego pałacu w Wiedniu posłałem kochanego Michała, bo on także ma gust, tak mi było wygodniej.

Drzymlerski.

Peste! <http://rcin.org.pl>

Baron.

Nie, ja nie z Pesztu nie sprowadziłem, w Peszcie mam tylko kontuar. *(Wszyscy spoglądają się po sobie i starają się ukryć chęć do śmiania. Jenerał udaje że się zakaształ).*

P. Moranowski *(do Elskiego).*

Cóż ty teraz porabiasz ?

Elski.

Jestem na drodze robienia milionów.

P. Moranowski

Więc mi będziesz mógł oddać...

Elski.

Zawiązałem towarzystwo transatlantyckich balonów o kapitale pięciu milionów. Chcesz w kręcę cię na Verwaltungsrata.

P. Moranowski

Dziękuję, karków kręcić nie lubię; wolałbym żebyś mi zapłacił...

Elski.

Tu nie chodzi o to żebyśmy kark skręcili...

Jenerał.

Ale akcyonaryusze.

Baron.

Ja kochanemu Michałowi nie radził...

Elski.

Baron zbyt bojaźliwy

Szmucer *(na stronie).*

I zna kodeks.

Elski.

Oprócz tego zakładam bank miłosierdzia dla ubogich.

Ludmiła.

Zakład dobroczynny?

Elski.

Tak,... coś w tym guście,... by uwolnić ubogie warstwy społeczeństwa od lichwy...

Jenerał.

I samemu drzeć z nich skórę; rozumiem.

SCENA XIII.

C i ż , M a r c i n .

Marcin *(wchodząc po prawej w głębi do Ludmiły).*

Przyjechał tu jakiś pan, który oddał tę karteczkę.
(podaje jej bilet wizytowy).

Ludmiła *(półgłosem).*

Przecie to bilet nie karteczka, i już ci mówiłam że się wszystko na tacy przynosi.

Marcin.

On mi tak oddał.

Ludmiła *(tak samo)*.

Już dobrze *(spojrzawszy na bilet)*. „Jan Dymar”.
Qu' est-ce que ça?

Helena *(wstając z radością)*.

Co? Jaś przyjechał!

Ludmiła.

Jaś?

Jenerał.

Jakże? nie pamiętasz Jasia Dymar?

Ludmiła.

Aaa, ... ten, ten, syn starego karbowego... przypominam sobie. *(Do Marcina)*. Niech czeka.

Jenerał.

Prosić tu pana Dymara.

(Marcin odchodzi po prawej w głębi).

P. Moranowski.

Pewnie z prośbą o posadę. Niedadzą spokojnie zjeść śniadania.

Elski *(półgłosem)*.

Dlaczego go nie odprawiliś?

P. Moranowski *(taksamo ruszając ramionami)*.

Jenerał...

Ludmiła.

Parę lat temu kręciło się to po dworze, czasem pozwalałam mu bawić Helenkę, a teraz anonsuje się biletami wizytowymi.

Szmucer *(na stronie).*

I to reformatorka przesądów!

Drzymierski.

Ma parole, c'est le monde renversé, świat przewrócony do góry nogami.

Baron.

Już to prawda, że przed prośbami schować się nie można; u mnie przed pałacem zawsze stoi pół tuzina takich włóczęgów.

(Helena robi żywo krok ku Baronowi, jak gdyby chciała coś powiedzieć, ale się powstrzymuje).

Jenerał *(żywo).*

Panie baronie, Jan Dymar jest moim chrzestnym synem.

Baron.

Ja bardzo przepraszam.

SCENA XIV.

Ciż, Jan.

(Jan, małe wąsy i hiszpanka. Surdut czarny zapięty z wstążeczką legii honorowej. Krawatka czarna, rękawiczki gładkie, spodnie popielate ciemne, w ręku czarny okrągły kapelusz. Jenerał skoro spostrzeża Jana, wstaje i idzie naprzeciw niego tak, żeby go w środku sceny spotkał).

Jenerał *(podając mu rękę).*

Jak się masz Janie. Bardzo się cieszę, że cię tu znowu widzę.

Jan.

Skoro wróciłem w te okolice pierwszym moim obowiązkiem było złożyć moje uszanowanie memu łaskawemu dobroczyńcy i jego rodzinie.

Helena (*podając rękę Janowi*).

Jak się pan masz? poznajesz mnie pan?

Jan (*całując ją w rękę*).

Jakże mógłbym pani nie poznać.

Jenerał.

Na honor, byłbym ciebie nie poznał.

Jan.

Ja zaś szczęśliwy jestem, że zastałem pana Jenerała nie zmienionego.

(Jenerał, kiwając ręką wraca na swoje miejsce, ale nie siada Jan klania się najprzód Ludmile, Baronowi i Drzymierskiemu; pierśsi oddają mu z lekka ukłon, Drzymierski udaje, że go nie widzi. Jan zwraca się ku p. Moranowskiemu, który od chwili, jak go zobaczył wchodzącego wstał i nie ruszając się z miejsca, przypatrywał mu się z widocznym zadziwieniem).

Drzymierski (*cicho do Barona*).

Jaką on ma wstążeczkę?

Baron (*taksamo*).

Czerwoną.

Jan (*do p. Moranowskiego*).

Sługa pana Dobrodzieja.

P. Moranowski (*niby wyciągając rękę*).

A... a... sługa, upadam do nóg..., (*jak gdyby był zły, że to powiedział siada nie podając ręki*).

Jenerał.

Polóż kapelusz i siadaj z nami. (*Do Drzymierskiego*). Proszę cię, posuń się trochę. (*Drzymierski z widoczną niechęcią przysuwa się do Barona, Jenerał siada przy nim na kanapie, do Jana*).

P. Moranowski (*do Elskiego półgłosem*).

Djabli wiedzą, jak do niego mówić, per Pan, czy per Ty?

Elski (*taksamo*).

Oczywiście, per Pan.

Jenerał.

Helenko, usłużże przyjacielowi lat dziecinnych.

(*Jan siada na miejscu Jenerała*).

Helena.

Zaraz, zaraz, widzi dziadzio, że się spieszę (*przynosi filiżankę herbaty Janowi*)

Jan.

Ślicznie pani dziękuję.

Jenerał.

Powiedzże mi, długo w naszych stronach zabawisz?

Jan.

Tego jeszcze nie wiem, to będzie zależało od zajęcia, jakie znajdę.

P. Moranowski (*cicho do Szmucera*).

A co? Nie mówilem?

Szmucer (*taksamo*).

Naturalnie, ale my tu żadnego miejsca nie mamy.

Jenerał.

Wiesz, że się zawsze o tobie dowiadywałem i kontent byłem z Waszeci, jednak przyjemnie byłoby mi usłyszeć z twoich własnych ust przebieg twego życia w ostatnich latach.

Jan.

Łatwo da się streścić. Jak panu Jenerałowi wiadomo, poszedłem do powstania z hrabią Leonem Zoratyńskim. W krótcie zostaliśmy oficerami w jednym oddziale i tam nasze koleżeństwo w ścisłą przyjaźń się przemieniło. Jemu wszystko winien jestem, bo po skończonem powstaniu wziął mnie z sobą za granicę i dał mi środki utrzymania i pobierania nauk.

Szmucer (*na stronie*).

Zatem służalec hrabiego.

Jan.

Dwa lata temu wyszedłem z drugim dyplomem z paryskiej szkoły centralnej...

Drzymierski.

Pan byłeś w Paryżu?

Jan.

Przez pięć lat się tam uczyłem. Ukończywszy szkołę centralną zaraz umieszczony zostałem jako inżynier przy kolei północno-wschodniej...

Elski (*na stronie*).

Inżynier ma swadę, mógłby mi się przydać.

Jan.

W tej posadzie zostawałem aż do wojny przezłocznej. Z początku nie umieszczony, po upadku ce-

sarstwa przyjęty zostałem w stopniu porucznika inżynierii do korpusu generała Chanzy.

Jenerał (dotykając jego wstążeczki).

I tam jak widzę, nie próżnowałeś.

Jan.

Naśladowałem w tem tylko Pana Jenerała i jego dawnych kolegów, z tą niestety różnicą, że wy biliście a nas bito.

Baron.

Ja niemiałbym żadnego gustu do tego.

Drzymierski.

Mam orderów trzynaście, proszę uważać trzynaście, zatem więcej, niż tuzin, a wszystkie zawdzięczam szczególnej łasce książąt w Niemczech i we Włoszech panujących.

Baron.

Ja mam tylko trzy, ale z brylantami, ale ja ich w powsz dnie dnie nie noszę.

Jenerał (do Jana).

Cóż dalej, cóż dalej?

Jan.

Po bitwie pod Orleanem zostałem kapitanem, wszakże skoro się wszczęła wojna domowa, wzięłem dymisyę i udałem się do Anglii. Tam mając zbyt wiele czasu, napisałem geometryę po polsku i byłem tak szczęśliwy, że ją teraz w tutejszych szkołach przyjęto. To mi daje skromne utrzymanie zanim przy jakiej kolei umieszczonym zostanę. Teraz przyjechałem w te strony odwiedzić Hrabiego i dawnych dobroczyńców mojej rodziny, <http://rcin.org.pl>

Jenerał (*ściskając go za rękę*).

Nie zawiodłem się na tobie.

P. Moranowski (*wstał i idzie do Jana*).

Panie kapitanie, niezmiernie ci wdzięczny jestem za twoje odwiedziny (*ściska go za rękę*).

Jan.

To było moją powinnością.

Ludmiła.

Czy hrabia dłuższy czas zabawi w Starogrodzie?

Jan.

Namawiam go do tego, ale dotąd ma zamiar zabawić tylko parę tygodni.

Szmucer (*na stronie*).

Kłamie, czy nie kłamie, to indywiduum mi tutaj nie potrzebne (*głośno, patrząc na zegarek*). Pan Marszałek wybaczy, ale już będzie czas jechać na posiedzenie.

P. Moranowski (*patrząc na zegarek*).

W samej rzeczy. Państwo wybaczycie, ale sprawy polityczne przede wszystkim.

Baron.

Ja także jadę radzić, mogę panu marszałkowi ofiarować miejsce w moim faetonie. Na resorach wygodniej, bo droga duże kiepsko zła.

P. Moranowski.

Chętnie przyjmuję; a ty Szmucerku jedź naprzód moim wózkiem. (*Szmucer się kłania i wychodzi po prawej*).

Baron (*do Elskiego*).

Kochany Michał, zobacz, czy mój ekwipaż zajechał?

Elski.

Natychmiast (*wychodzi po prawej*).

P. Moranowski.

A więc jedźmy. Kapitanie, wszakże zostaniesz z nami na obiad?

Jan.

Przepraszam, ale mam się zjechać z Hrabią w starostwie.

P. Moranowski.

Zatem do widzenia, może razem przyjedziecie. Helenko pamiętaj, obiad o drugiej.

Baron (*do Ludmiły*).

Całuję rączki (*całuje ją w rękę*).

Ludmiła.

Nie dajcie nam panowie czekać na siebie.

Baron (*do Heleny*).

Jadę, ale wrócę, jak gdyby zdmuchnięty wiatrem, bo ja lubię tam zostawać, gdzie Pani jest. (*Moranowski i P. Baron wychodzą p. pr.*).

Drzymierski.

A ja pójdę rybki łapać na wędkę, un délicieux passe-temps. Messieurs et mesdames, au plaisir. (*wychodzi po lewej*).

Jenerał.

No ja także was pożegnam; moja godzina pracy nadchodzi, a że już nie mam wiele czasu przed sobą, nie wolno mi go marnować.

Jan.

Pan Jenerał zapewne znowu piszesz jakieś dzieło wojskowe.

Jenerał.

Ot, jak stary furman, bicze kręcę kiedy już powozić nie mogę.

Jan.

Jeszcze powiózłbyś nas wszystkich pan Jenerał, gdyby się tylko sposobność zdarzyła.

Jenerał.

Tempi passati! Nie żegnam się z tobą, do widzenia.

Jan.

Sługa pana jenerała. (*Jenerał odchodzi po lewej poza dom*).

Ludmiła.

Liczę na pana, że namówisz hrabiego, by nas odwiedził.

Jan.

Uiszczę się z łaskawego polecenia.

Ludmiła.

Bonjur capitaine. (*wchodzi do domu wschodami*).

SCENA XV.

Jan, Helena.

Jan (*chcąc odejść*).

Skorzystam z zaproszenia pana generała i z parę dni będę miał przyjemność moją wizytę powtórzyć.

Helena.

Spodziewam się, że pan drugi raz dłużej u nas zabawisz, bo przecie liczę na pańskie częste odwiedziiny.

Jan.

O, mnie do tego zbyt namawiać nie potrzeba, obawiałbym się tylko być natrętnym.

Helena.

Natrętnym, pan? (*wesolo*) Widzę, że się pan za granicą zupełnie zmieniłeś, skoro zapomniałeś dawną naszą przyjaźń, o której nawet dziadzio wspomniał.

Jan.

Nie uwierzysz pani jak mnie to uszczęśliwia, że o tem pamiętasz.

Helena.

A to byłoby pięknie gdyby się przyjaciel zapominał.

Jan.

Ośm lat, to długi przeciąg czasu, a jednak gdy tu przyjechałem wydało mi się, jak gdybym się ztąd nigdy nie oddalił. Wszystko tu jest jak dawniej, kwiaty, klomby, szpaler, dalej stawek...

Helena (*śmiejąc się*).

Z którego mnie pan wyciągnąłeś, gdy w niego wpadłam goniąc za jaskółką.

Jan.

A tutaj, nasze partye wolanta; pamiętasz pani jak tę szybę stłukłem, a pani winę na siebie wzięłaś.

Helena (*z westchnieniem*).

Dobre to były czasy.

Jan.

I na dzisiejsze się nie użalam.

Helena (*smutno*).

Wiele, wiele rzeczy się zmieniło.

Jan.

Jak pani to powiedziałaś!

Helena (*trochę zmieszana*).

Ja,... nie,... powiedziałam jak się zwykle mówi.

Jan (*żywo*).

O nie!... ale wybacz pani mojej śmiałości...

Helena (*z udaną wesołością*).

Wspaniałomyślnie przebaczam. — (*Jan się w nią wpatruje, ona się bardziej mięsza*). Widzisz pan, że jestem wesołą jak dawniej.

Jan.

A jednak wrażenie słów pani nie chce ustąpić,... panno Heleno, przebacz, ale pani masz jakiś ciężki smutek na sercu.

Helena (*śmiejąc się z przymusem*).

Czy mam przysięgać?

Jan.

Daleki jestem od tego, bym się chciał wciskać w pani tajemnice, ale przypomnij sobie pani nasze dziecinne lata. Czyż nie byłem przyzwyczajony z lada chmurki na twojem czole odgadywać powód zmartwienia. Dzisiaj jeżeli przyczyny dostrzedz nie mogę, nie mniej smutek jest dla mnie widocznym.

Helena (*podając mu rękę*).

Prawda, przed panem tać się nie powinnam, ale tego co mnie dziś martwi, pan jak dawniej usunąć nie zdołasz.

Jan.

Kto wie; w mojem burzliwem życiu nie jedną chmurkę spotkałem, może mi się uda i panią od niej uchronić.

Helena.

A więc powiem panu wszystko; i tak, długo ukryć się to nie da. Jesteśmy blisko ruiny.

Jan.

Czy być może! Ten majątek tak piękny, tak zagospodarowany....

Helena.

Był nim gdy go dziadzio oddał mojemu ojcu i jak długo ojciec sam gospodarował, lecz od czasu jak pan Szmucer wszedł do naszego domu, wszystko się zmieniło.

Jan.

Szmucer, ... znam go, znam od dawna... Czemże on jest tutaj?

Helena.

Sekretarzem Rady powiatowej. On posiadał zupełne zaufanie mego ojca. Odciaął go od pożytecznej pracy,

by go na drogę mniemanej polityki naprowadzić. Po-
chlebia jego miłości własnej, wzbija w ambicję i tero-
ryzuje zarazem. Przewrotne swoje dążności zakrywa
imieniem ojca a środki do działania w jego czerpie
kieszoni.

Jan.

Znam ten rodzaj ludzi.

Helena.

Skoro się spostrzegłam, że z bezrządem i niedo-
statek zaczyna się wkradać do naszego domu, wzięłam
na siebie cały ciężar męskiego gospodarstwa, lecz cóż
mogę bez sił ni doświadczenia?

Jan.

Biedna panno Heleno!

Helena.

Nie traciłabym odwagi, gdyby mi co krok w dro-
dze przeszkód nie stawiano, ale pan Szmucer zdaje się
systematycznie ojca prowadzić do zguby. Jeżeli się je-
szcze kiedy ojciec wmięsza do gospodarstwa, to tylko
na to, by za jego poradą, zmienić moje dyspozycye,
oficyaliści co chwila bywają, bez mojej wiedzy zmie-
niani, pieniądze na konieczne wydatki prawie z ręki
mi wzięte...

Jan.

To niegodziwie!

Helena.

Tymczasem dochody nie pokrywają wydatków mo-
jego ojca, czyli raczej pana Szmucera; coraz nowe

długi, niewiedzieć zkąd powstałe, obciążają majątek, jednem słowem, klęska następuje po klęsce od chwili, gdy on o władnął mego ojca.

Jan.

Widoczna ruina. I nie masz sposobu otworzyć oczy pani ojcu?

Helena.

Jego zaślepienie jest niepojęte i upokarzające zarazem. Wszelkie moje przedstawienia, prośby, łzy nawet, rozbiły się o ślepią wiarę w tego człowieka.

Jan.

Nie pierwszy to taki wypadek.

Helena.

Widzisz pan, że powodu mego zmartwienia usunąć nie zdołasz.

Jan.

W samej rzeczy, w tej chwili nie Pani poradzić nie umiem, ale zastanowię się nad tém. Zobaczymy, być może, że mi się uda złemu zapobiedz.

Helena.

Daj Boże, ale wątpię.

Jan.

Nie tracę odwagi. Z wielu jemu podobnymi miałem zagranicą do czynienia, znam ja ich dobrze. Panią zaś proszę, miej dobrą nadzieję. Teraz żegnaj panią.

Helena (*podając mu rękę*).

Do widzenia,... w krótkce, nieprawda?

Jan (*całując ją w rękę*).

Może jeszcze dzisiaj.

(Zastona spada).

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II.

(Teatr przedstawia salon. — W głębi drzwi, przy nich wisi taśma od dzwonka. W obu rogach drzwi, po prawej szklane do ogrodu, po lewej do pokoju Jenerała. Po prawej w pierwszej kulisie okno, w drugiej stojące zwierciadło. Na przodzie sceny stolik z szufladą nakryty dywanikiem. Na nim kilka książek, obok fotel i kilka krzesel. Po lewej w pierwszej kulisie kominek. Przed nim tak z ukosa postawiona kanapa. Żeby stał fotel i prócz tego było wolne miejsce do przejścia. Po drugiej stronie kanapy od środka sceny fotel. Przed nią okrągły stolik dywanikiem przykryty, na którym jest przyrząd do pisania, buvar z papierem i kopertami i koszyk z damską robotką, album, etc. W drugiej kulisie drzwi do pokojów Ludmiły i Heleny. — Na jednym z krzesel w głębi leży packa do zabijania much).

SCENA I.

S z m u c e r (*sam*).

Przyjazd tego pana Dymara i hrabiego mnie nie cieszy, zwłaszcza pana Dymara... Radość Heleny gdy go zobaczyła, przyjęcie jenerała (*p. k. m.*). Przecie on nie zechce... nie, nie,... syn karbowego!... Ale Helena młoda, on przystojny,... to mnie bardzo nie cieszy, muszę go mieć bacznie na oku. (*p. k. m.*). Dotąd wszy-

stko szło jak z płatka. Interesa towarzystwa międzynarodowego z mojemi, postępowały w parze wspierając się wzajemnie. Zadawałem razem moją nienawiść do szlachty i każdy dzień niwelował różnicę majątku między mną a Moranowskim. Dziwnie dobrze mi idzie. Radzi mi się co chwila jak zaspokoić mnożące się długi, a przezemnie zaciąga pożyczki i mnie na moją cele oddaje pieniądze. Jeszcze pół roku: rok a będzie zruinowany. Wtedy Helena nie będzie miała innego środka wyratowania z nędzy rodziców, jak pójść za mnie.

SCENA II.

Szmucer, Wisiadlik.

(Wisiadlik w wytartym ubiorze, czapka w ręku).

Wisiadlik *(wchodząc szklanemi drzwiami).*

Czy można?

Szmucer.

Czego chcesz? Co tu robisz? Przecie ci zakazałem tu przychodzić.

Wisiadlik.

Przepraszam pana sekretarza, ale pan byles wciąż przy marszałku, a ja mam ważną i pilną wiadomość.

Szmucer.

Mów prędko i cicho.

Wisiadlik.

W naszym miasteczku bezrobocie czeladników szewskich i garbarskich jutro się rozpocznie.

Szmucer.

Pewnym tego jesteś?

Wisładlik.

Mówilem z czeladnikami. Dziś wieczór mają oświadczyć majstrom, że roboty zaprzestają; tylko żądają pieniędzy z góry.

Szmucer.

Wielu ich jest?

Wisładlik.

Będzie z trzydziestu.

Szmucer (*dostając pieniędzy*).

Masz tu sześćdziesiąt reńskich; rozdaj i powiedz, że komitet ich dalej wspierać będzie; byle wytrwali jak długo im się każe. Mnie oczywiście nie wymienisz!

Wisładlik.

Gdzieżbym ja to zrobił, ... mój honor...

Szmucer.

Dajno temu pokój. Wiesz, że mam inny środeczek na ciebie; ów fałszywy wexel wystawiony na marszałka. Pamiętaj, że za najmniejszą indyskrecją ten wexel przeszedłby z mego pugilaresu prosto w ręce sądu.

Wisładlik (*kładąc rękę na sercu*).

Niech się pan sekretarz spuści na moje słowo.

Szmucer.

Dosyć tego, teraz idź i spraw się zgrabnie.

Wisładlik.

Może pan być zupełnie spokojnym. (*głęboko się kłania i idzie ku drzwiom szklanym*).

Szmucer.

Ale, ale,... Już dawno nie zdałeś mi raportu, czy przybyło co członków do twojej sekcji?

Wisładlik.

Temi dniami tylko dwóch. Nowy nauczyciel szkółki ludowej...

Szmucer.

To ważny nabytek.

Wisładlik.

I pisarz prowentowy pana barona.

Szmucer.

A tutejsi oficyaliści dobrze się sprawują?

Wisładlik.

Z ekonoma bardzo kontent jestem. Ma znaczny deficyt w szpichlerzu; tém go się trzyma. Chłopom daje robić co im się podoba, worywać się w dworskie łany ile który chce. O jeden, dwa snopki także mu nie chodzi; nawet poddał mi wcale nie złą myśl.

Szmucer.

Jaką?

Wisładlik.

Podejmuje się gromadę podmówić, by wytoczyła dworowi proces o łąkę na Niwkach.

Szmucer.

Doskonale, możesz mu powiedzieć, że komitet z jego gorliwości zadowolony. A cóż leśniczy?

Wisładlik.

O, z tym nie ma co robić. Przestrzega szkody w lesie, kultury zakłada, a o przystąpieniu do między-

narodówki ani słyszeć nie chce. Powiada, że jemu obowiązek w głowie a nie komunizm.

Szmucer.

Tak powiada pan leśniczy?... Nie masz przeciwko niemu jakiego faktu,... bodaj jak małego przewinienia.

Wisładlik.

Chyba że nie daje chłopom kraść.

Szmucer.

Głupis! przecie z tém nie pójdę go oskarżyć przed Marszałkiem.

Wisładlik.

A tak,... czekaj pan. — Kiedyś tu zaprosił mnie na chrzciny. Biedaczysko, to jego czwarte dziecko. Podochocił sobie trochę...

Szmucer.

Bardzo dobrze, cóż dalej?

Wisładlik.

Gdy go na temat polityki naprowadziłem, powiedział, że się dziwi panu marszałkowi, że założył „Przyszłość“ i dla swoich oficyalistów abonuje, bo i prostemu człowiekowi, między linijami dostrzedz nie trudno... tu użył wyrazu...

Szmucer.

Nie żenuj się, mów, czego dostrzedz nie trudno?

Wisładlik.

Szelmowskich tendencyj.

Szmucer.

Więcej nie potrzeba, za kwartał już go tu nie będzie! — Możesz odejść, staraj się, by cie tu nie widziano.

Wisładłk.

Wyjdę po za klomby tylną furtką. *(kłania się głęboko cofając się w tył aż do drzwi szklanych, któremi wychodzi).*

SCENA III.

S z m u c e r *(sam).*

Dobrze, bardzo dobrze. Komitet będzie ze mnie zadowolony. *(p. k. m.).* Wszystko zatem szłoby doskonale tylko Dymar i Helena;... ona wyraźnie mnie nie lubi,... za to marszałkowa zanadto mnie lubi. — Diabli nadali żeby się starej waryatce zachciało romansów. — Hola!... a gdybym przez matkę trafił do córki?... *(chodzi zamysłony).* Tak, tak, to byłby niechybny środek. *(Śmieje się).* W istocie, gdybym wierzył w szatana, mógłbym mu powiedzieć: Mistrzu, który z nas lepszy?

SCENA IV.

S z m u c e r, J a n.

Jan *(wchodząc drzwiami w głębi wesoło).*

Myślałem, że pierwszy będę przebrany, bo się szczycę talentem prędkiego ubierania, ale widzę, że mnie pan prześcignąłś. *(Staje przed zwierciadłem i poprawia sobie nógę w łosy i kołnierzyki).*

Szmucer (*n. str.*).

Paniez elegant. (*głośno*). O, ja nie mam czasu zajmować się moją powierzchownością; kurz z siebie otrzepałem i dla tego prędeż byłem gotów.

Jan.

Nie myśl pan żebym wielką wagę przywiązywał do stroju; wszakże w świecie, zwłaszcza u nas, trzeba się trzymać zasady: „Jakim cię widzą, takim cię piszą“. — Co panu uchodzi będąc tutaj znanym, mnie mogłoby zaszkodzić.

Szmucer.

W jakim względzie?

Jan.

Wracając z emigracyi, starając się przytem o posadę, gdybym się z dużą brodą i włosami à la: „Jestem miotany jeniuszem!“ ludziom przedstawił, pierwszą ich myślą byłoby niezawodnie: „Emigrant, republikanin, może międzynarodowiec?“

Szmucer (*n. str.*).

Nie głupio. (*głośno*). Nie podzielam pańskiego zdania, bo chcę, żeby moja powierzchowność nosiła cechę mego wyznania politycznego.

Jan.

Chwalebnie, ale nie praktycznie.

Szmucer.

Czy śmiałym pana zapytać dla czego?

Jan.

Jeżeli chodzi o czeze okazanie strojem do jakiego stronnictwa się należy, pańskie zapatrywanie prawdzi-

we, ale jeżeli się chce interesa robić, nie trzeba żadną excentrycznością na siebie zwracać uwagi.

Szmucer (*n. str.*).

Materyalista. (*głośno*). Pan mówisz, jak gdybyś li tylko robienie interesów miał na celu; wszakże się to nie zgadza z pańskim życiem. Służyłeś pan dwa razy wojskowo i to sprawom, w których sobie materyalnych korzyści obiecywać nie mogłeś.

Jan.

Nie widzę w tem sprzeczności. Pierwszy raz miałem lat ośmnaście, więc nie mówmy o tém. Drugi raz wstąpiłem do wojska, bo trzeba było żyć, skoro bowiem kolej północno-wschodnia przestała być w naszym ręku, utraciłem posadę. Zapewniałem sobie także służąc nadal stanowisko we Francyi. Wreszcie, może pan uważałeś, że wstąpiłem do służby dopiero po upadku cesarstwa.

Szmucer (*n. str.*).

To coś zakrawa na republikanina. (*głośno*). Dlaczegoż pan wziąłeś dymisyę? W armii wersalskiej byłbyś pan znalazł karyerę.

Jan.

Nie zgadzało się to z mojem przekonaniem.

Szmucer.

Czy równie, jak i służyć komuni'e, jeżeli zapytać wolno?

Jan.

Nie widziałem w tem korzyści.

Szmucer.

Hm, hm.

Jan.

Cóżby mi przyszło z stopnia, może nawet z chwilowego majątku, skoro się rzecz utrzymać nie mogła.

Szmucer (*n. str.*).

Przecie materyalista.

Jan.

Wolałem się zachować na lepszą sposobność i działać na pewniejszej drodze.

Szmucer (*n. str.*).

Międzynarodowiec!

Jan.

Pojmujesz pan, że się tem chwalić nie będę ani przed Jenerałem, ani przed Hrabią (*znacząco*). Panu mogę to bez obawy powiedzieć.

Szmucer (*niedowierzając*).

Dlaczego właśnie mnie?

Jan (*drwiąco*).

Bo mam w panu zaufanie.

Szmucer (*zaniepokojony n. str.*).

Co to ma znaczyć? (*głośno*) Przecież pan...

Jan.

Czy pana to dziwi?

Szmucer.

Nie,... ale...

<http://rcin.org.pl>

Jan *(od niechcenia)*.

Ciekawy jestem, gdzie pan Moranowski tak długo bawi?

Szmucer.

Sądzę, żeby się komu niejako zwierzyć...

Jan.

Pan jeszcze o tem myślisz?... Nie warto. Niemógłbyś mi pan raczej powiedzieć, gdzie znajdę marszałka?

Szmucer *(zamyślony przed siebie)*.

Pana Moranowskiego?

Jan *(idąc do zwierciadła)*.

Tak jest, pana Moranowskiego.

Szmucer *(jakby się budząc)*.

Zapewne załatwia swoje korespondencye.

Jan *(poprawiając wąsy)*.

Dziękuję panu; pójdę do niego, bo radbym z nim pomówić *(idzie zwolna ku drzwiom w głębi obserwując z drwiącym uśmiechem Szmucera, który stoi zamyślony)*.

SCENA V.

Szmucer, Jan, Hrabia.

(Hrabia, postać elegancka bez najmniejszej przesady. Surdut czarny).

Hrabia *(wchodząc w głębi, do Jana)*.

Przecież cię znajduję. A wiesz, to osobliwszy dom. Nie widać ni pana, ni pani. Od kwadransa chodzę sam po domu i ogrodzie.

Jan.

Panie zapewne się ubierają, a marszałek podobno listy pisze.

Hrabla.

Mniejsza o to, skoro ciebie odszukałem.

Szmucer (który stał nieruchomy w zamyśleniu).

Niebezpieczny! Trzeba marszałka uprzedzić. *(Idzie szybko ku drzwiom w głębi, wychodzi).* Sługa pana hrabiego.

SCENA VI.

H r a b i a, J a n.

Hrabla.

A to co? Wyleciał jak z procy. *(Jan śmieje się).*
Cóż to znaczy?

Jan.

Ależ mu ćwieka w głowę wbilem.

Hrabia.

Przestańże się już raz śmiać i wyjaśnij mi, co się tu święci?

Łapiesz mnie w rynku, powiadasz, że ci mogę oddać wielką usługę, ciągniesz do rady powiatowej, po drodze pleciesz coś o zawikłanych interesach Moranowskiego, o intrygach jakiegoś Szmucera, tak dochodzimy do rady. Tam Moranowski wybiega, ściska mnie za rękę i zaprasza do siebie. Odmawiam, ty mi depczesz na nogę; Moranowski nalega, ... wykręcam się, ty mi

dajesz potężnego szturkańca w bok i zaproszenie przyjmujesz. Na to radość, podziękowania, jedziemy. Tu gospodarz wprowadza nas do osobnych pokoi gościnnych i znika. Przebieram się, wychodzę, nigdzie żywej duszy; wreszcie znajduję cię i to z kim, z tym panem Szmucere, który stoi przed tobą, jak na śmierć skazany i jak oparzony wybiega. Jeszcze raz, co to wszystko znaczy, dlaczego mnie tu prawie gwałtem sprowadziłeś?

Jan.

Siadaj, w dwóch słowach ci rzecz powiem. Na to, bym ztąd Szmucera wyrugował, muszę tu parę dni zabawić, wszakże moje położenie względem państwa Moranowskich, którzy sami nie wiedzą czy mają we mnie widzieć kapitana, czy syna swego karbowego, nie jest takie, bym się mógł tu dowoli rozgościć. Ty zaś uszczęśliwiasz ich swoją bytnością. Potrzebnym mi zatem tutaj jesteś, jako punkt oparcia, jako firma.

Hrabia.

Myślisz, że będę tu ad infinitum siedział?

Jan.

Będziesz, będziesz, jak cię bardzo o to poproszę, nie ad infinitum, ale dzień, dwa, póki tego Szmucera ztąd nie wysadzę.

Hrabia *(z uśmiechem)*.

Ty mu już jakąś trutkę zadałeś.

Jan.

Dlatego się śmiałem. Na pierwszy rzut oka go poznałem, i ty go znasz.

Hrabia.

Jak żyję go nie widziałem, dopiero tutaj.

Jan.

Mylisz się. Przypomnij sobie, pierwszy raz widziałeś go w obozie, w wilią bitwy pod Kobylanką, drugi raz w wilią śmierci Narbuta. Obydwa razy przyjeżdżał z misyą niby bardzo ważną, kręcił się po obozie, ale w nocy przed bitwą znowu z misyą odjeżdżał. To był jeden z tych, których my missyjonarzami nazywali.

Hrabia.

Prawda, teraz go sobie przypominam.

Jan.

Demagog czystej krwi.

Hrabia.

W istocie, źle mu z ócz patrzy.

Jan.

Chciałem go trochę wybadać, tymczasem on mnie badać zaczął; tak mu więc zakręciłem, że teraz nie wie czy jestem materyalistą, czy reakcyonaryuszem, czy międzynarodowcem, ale instynktowo mię się boi. To mnie rozśmieszyło.

Hrabia.

Niedobra taktyka budzić czujność nieprzyjaciela nim go się atakuje.

Jan.

Pozwól, już ja znam ich doskole i teraz nie oni mnie w pole wyprowadzą, ale ja sobie z nimi dam radę, jednak potrzebuje twojej pomocy.

Hrabia.

Jeżeli zostaję, to tylko dla ciebie, inaczej nie przemocowałbym w tym domu.

Jan.

Zkądże ta niechęć?

Hrabia.

Nie cierpię, brzydzę się tem, gdy szlachcic polski z krwi i kości, dla popularności, właściwie z braku cywilnej odwagi boi się przyznać, że jest szlachcicem, ma to sobie za występki i daje się za nos wodzić partyi, do której Szmucer należy i to w nadziei, że płaszcząc się, uzyska rozgrzeszenie ze swego szlachectwa. Takim jest Moranowski, zaś jego godna małżonka, afektowana, pełna przesady waryatka, lata po obłokach, rymuje, Boże zlituj się, i wszystkich napada swojemi teoryami o emancypacyi kobiet. Przepędziłem z niemi zimę w Krakowie dwa lata temu. Oboje chcieli bądź co bądź odgrywać rolę i rzeczywiście dosyć śmieszłą odegrali.

Jan.

Czy podobne zdanie masz i o pannie Helenie?

Hrabia (*żywo*).

Panna Helena, to perła (*miarkując się, zimno*). Szkoda, że takich ma rodziców.

Jan.

Zatem wzywam cię, dla panny Heleny dopomóż mi usunąć ztąd Szmucera.

Hrabia.

Dla panny Heleny...

Jan.

Wszakże jej przyszłość od tego zawisła.

Hrabia.

Ha, kiedy mnie już tu wciągnąłeś w imię Boże!

Jan (*ściskając go za rękę*).

Wiedziałem, że zostaniesz.

SCENA VII.

Hrabia, Jan, Drzymierski.

(Drzymierski w okrągłym słomianym kapeluszu; w prawej ręce trzyma wędkę w lewej koneweczkę blaszaną, pod lewą pachą duży parasol).

Drzymierski (*wchodząc drzwiami szklanymi*).

Uf! Nieznośne gorąco i rybki nie biorą, będzie burza (*spostrzegając hrabiego*). Co widzę? hrabia Leon! Comment allez Vous cher Comte! (*chcąc uściskać hrabiego, którego obejmuje z jednej strony wędką, z drugiej koneweczką, upuszcza z pod pachy parasol. Jan podnosi go, Drzymierski nie patrząc na niego, machinalnie oddaje mu wędkę i koneweczkę, które Jan z uśmiechem, ruszając ramionami bierze i w kącie stawia*). Na honor, to niespodzianka! Charmé, enchanté de vous voir!

Hrabia.

Wzajemnie się cieszę widzieć w dobrem zdrowiu pana dobrodzieja.

Drzymierski.

Przedewszystkiem kochany hrabio, proszę cię nie nazywaj mnie panem dobrodziejem. Nie cierpię tego. Na słowo dobrodzieju, dusza we mnie się wzdryga. Zaraz widzę się przemienionym w grubego szlachcica, zdaje mi się, że tyję, czuję, jak mi brzuch rośnie!

Hrabia.

Jakże mam pana nazywać.

Drzymierski.

Jak ci się podoba, nazywaj mnie monsieur, szambelanie, chevalier, nawet jeżeli wolisz Vicehrabio, bo moja matka une Pempuchac de la Culevière, była vicehrabianką; wszystko, co chcesz, tylko nie wasze panie dobrodzieju.

Hrabia.

A zatem,... jakże mam powiedzieć?...

Drzymierski.

Niech będzie szambelanie, bo mi to moje dobre czasy przypomina, gdy byłem szambelanem Jego Królewskiej Mości Karola X. Ah! c'était la le bon temps! I gdyby nie ten przeklęty rok trzydziesty...

Jan (n. str.).

Zaraz przyjdzie ośmdziesiąty dziewiąty.

Hrabia (z pewnem roztargnieniem).

Tak, tak, rozumiem po dwudziestym dziewiątym listopada, czuleś się pan obowiązany do kraju wrócić.

Drzymierski.

Ja? wracać do kraju, gdzie także była rewolucya, a niech mnie Pan Bóg broni!... Ale nas, nas, mnie

i Jego Królewską Mość zdetronizowali. Te lotry republikanie, byliby nam obydwom głowy poucinali, gdybyśmy nie byli uciekli.

Hrabia *(z uśmiechem)*.

Sądziłem, że wtedy nikogo nie ścięto.

Drzymierski.

Ścinali panie ścinali! Krew pili, zupełnie jak w roku ośmdziesiątym dziewiątym, o którym mi mój dziad Vicehrabia dzień w dzień opowiadał. Ludożercy, Kanibale!

Jan.

W pierwszej rewolucyi podobno dopiero w dziewięćdziesiątym drugim roku zaczęły się okrucieństwa.

Drzymierski.

Ale się rewolucya zaczęła w ośmdziesiątym dziewiątym, a czy mi mój panie łeb zetną w ośmdziesiątym dziewiątym, czy w dziewięćdziesiątym drugim, czy w trzydziestym, to mi wszystko jedno.

Jan.

Zawsze zysk na czasie.

Drzymierski *(w pasyi)*.

Tygrysy, Rozbójniki!

Hrabia.

No, no, nie gniewaj się panie szambelanie.

Drzymierski.

Jakże się nie mam gniewać, kiedy od trzydziestego roku żyję w ciągłej irytacyi *(dostaje z kieszeni gruszkę, którą zaczyna jeść)*.

Hrabia (*z uśmiechem*).

Irytacya zdrowiu szkodzi.

Drzymierski (*jedząc*).

Nie pojmuję, że dotąd żyję i to w tym kraju!
Ot na przykład uczciwej gruszki dostać nie można!
Paskudztwo! kwasota!

Jan.

Mnie się zdawało, że panu smakuje.

Drzymierski (*jedząc*).

Gdzieżtam. — Szczególna rzecz, że ludzie żyją
w tym klimacie, w tych błotach, śniegach... (*rzuca
resztę gruszki na ziemię*).

Hrabia.

Dziś na przykład.

Drzymierski.

Dziś,... żartujesz hrabio? Ale pojmuję to ironia,
une charmante ironie,... nieznośny upał, oddychać nie
można i rybki nie brały.

Jan.

Niegrzeczne!

Drzymierski.

W Sekwanie łapałem kielbiki kopami, les goujons
d' Asnières, ale w tym przeklętym kraju i płotki zła-
pać nie można.

Hrabia.

Może słońce zbyt piekło.

Drzymierski.

Co piekło, to piekło! U nas zawsze tak, albo upał, albo burza. Dusisz się, raptem łysk! fiut! trzask! dom się pali! I oni to ojczyznę nazywają!

Jan.

Więc pan szambelan utrzymujesz, że we Francyi burz nie ma?

Drzymierski.

Przynajmniej za panowania Ich Królewskiej Mości Ludwika XVIII. i Karola X. nie bywało. Ma parole, żadnej nie pamiętam.

Jan (*cicho do Hrabiego*).

Jak ci się to podoba.

Drzymierski (*opędzając się od much*).

O! już muchy! dokuczają! Psi klimat!

Jan.

Przecie nie zechcesz pan szambelan twierdzić, że za Karola X. much nie było.

Drzymierski.

Nie pamiętam, nie pamiętam (*zrywając się*). Ha! Lafayette! siadasz mi na nosie! Nieznośne stworzenia, poczekajcie dam ja wam! (*szukając po pokoju*) Gdzież moją packę podziałem?

Jan (*cicho do Hrabiego*).

Czy tego co teraz przyjdzie jeszcze nigdy nie widziałeś?

Hrabia.

Jak kto muchy bije?

Jan.

Zaczekaj chwilkę.

Drzymierski (*znalazłszy paczkę*).

Aa, otóż jest! Tak kochany hrabio, trzeba być takimi ludźmi prawdziwie ze stali wykutymi... (*uderzając muchę paczką*) Masz Lafayecie, mówiłem ci nie siadaj mi na nosie!... jakimi my za Jego Królewskiej Mości Karola X. byliśmy... (*zabija muchę*) Palnąłem cię panie Odillon Barrot... żeby w tym kraju wytrzymać. (*zabija muchę*) I ty tu panie Lafitte!... A wszystkiemu winno co? Ta przekłeta rewolucya ośmdzie... siątego dziewiątego roku (*wciąż bijąc muchy po pokoju i zapalając się coraz bardziej*). Ha Robespierze, ścinałeś nam głowy, giń;... O, Voltaire; Rousseau, filozofy, przygotowaliście rewolucyę; dokuczacie mi, siadacie na moim nosie, na mojej brodzie, na moich uszach! Demokraci, republikanie, nie wiecie że ten kraj mój, ten dom mój, to powietrze moje!... O! Maracie pijesz wodę, jak gdybyś chciał pić krew moją! To moja woda! A widzisz, teraz fikasz nogami!... O,... o! Mirabeau, Gambetta, Danton, Wiktor Hugo! smakuje wam moja gruszka? To moja gruszka, moje resztki, wara wam od tego!... Ha, Mazzini, Saint Just, Pyat, Lamartine, Jules Favre, Kosuth, Cluseret, Washington, rewolucyoniści, komuniści, demokraci, republikanie, chciało się wam naszych dóbr, zamków, łąk, lasów, stopni, orderów, przywilejów,... macie, macie, macie, zgniotę, zabiję, rozmiazgam was na proch! Wiedźcie, że ja, Vicehrabia, paż jego królewskiej Mości Ludwika XVIII., a szambelan Jego Królewskiej Mości Karola X., ja tu jestem z Bożej łaski panem, a wam zasie od tego co moje! (*przewracając się na krzesło*) Uf! Już nie mogę!

Hrabia *(śmiejąc się)*.

Ależ to im kurtę skroiliś szambelanie?

Drzymierski.

Od trzydziestego roku tak ich morduję, ale wymordować nie mogę, jednak mi to ulgę sprawia.

Jan.

I nikomu prócz muchom nie szkodzi.

Drzymierski.

Niestety! Lecz skoro Jego Królewska Mość Henryk V. na tronie ojców *(opędzając się)* znowu mucha!... zasiądzie,... A to nie do wytrzymania!... Wiesz co hrabio, lepiej im się ustąpmy.

Hrabia.

Jak Karol X.?

Drzymierski.

Dobrze mówisz, jak Jego Królewska Mość Karol X. z Rambouillet. Chodźmy do werandy, może ich tam mniej będzie.

Hrabia.

Jak pan szambelan rozkażesz.

Drzymierski *(wskazując drogę)*.

Proszę cię hrabio.

Hrabia.

Chodźmy.

(Hrabia i Drzymierski wychodzą drzwiami szklanem.)

Jan *(p. k. m.)*.

I to miałooby być przeszłością? — Nie, to wyjątek z przeszłości. *(wychodzi za nimi)*.

SCENA VIII.

Pan Moranowski, Szmucer.

P. Moranowski (*wychodząc z głębi z Szmucere*m).

Więc powiadasz, że oni reakcyonaryusze.

Szmucer.

Z najzaciętszych.

P. Moranowski.

Cóż mi to wreszcie szkodzi.

Szmucer.

Mogłoby cię rzucić na pana marszałka.

P. Moranowski.

O, o, o, dlatego że sąsiad i ten drugi raz do mnie przyjechali!

Szmucer.

Raz nie nie szkodzi, ale gdyby tu częściej lub dłużej przebywali mogłoby to opinię naprowadzić, na podejrzenie, że pan marszałek w bliższych stosunkach zostajesz z reakcją.

P. Moranowski.

Baśnie, moja popularność na silniejszych podstawach oparta.

Szmucer.

Zapewne, wszakże sędzę, że gdyby się to rozgłosiło, albo naprzykład do uszu redakcyi „Przyszłości“ doszło; mogliby napisać, że dom pana marszałka stał się ulubionem miejscem schadzki reakcyonaryuszów i ultramontanów.

P. Moranowski.

Co? mój własny organ pisałby przeciwko mnie?

Szmucer.

Obowiązkiem sumiennego dziennika jest chłostać wszelkie przewinienie.

P. Moranowski.

Ale bójże się Boga, cóż ja temu winien, że oni reakcyonaryusze.

Szmucer.

Pan marszałek ich do swego domu zapraszasz, podejmujesz...

P. Moranowski.

Przecie ich wypędzić nie mogę... sąsiad... gościnność...

Szmucer.

O wypędzeniu nie ma mowy, ale jest sposób przyjęcia niemiłego gościa taki, że wizytę skróci i drugi raz nie przyjedzie.

P. Moranowski.

Z ojcem hrabiego byłem w przyjaźni.

Szmucer.

W polityce nie ma przyjaźni, a na pana marszałka oczy kraju zwrócone.

P. Moranowski *(skrobiąc się w głowę)*.

Djabelnego mi sęka zabiłeś.

Szmucer.

Niech się pan marszałek tem nie martwi i mojej rady posłucha; trzeba być bardzo ceremonialnym dla

hrabiego i tego pana Dymara. Zresztą któż to jest? syn karbowego pana marszałka, awanturnik,... kto wie czy wszystko co on o sobie mówi jest prawdą?

P. Moranowski.

Hm, hm, być może, ludzie tak kłamią.

Szmucer.

Mógłby pana marszałka w jaką sprawę zawikłać; dlatego radziłbym żebyś pan przed nim i przed hrabią jaknajmniej swoje zdanie objawiał, zaś mnie utrzymywał w dokładnej wiadomości wszystkiego co panu marszałkowi o stosunkach krajowych, może i o mnie będą mówili, ja będę czuwał.

P. Moranowski.

Dobrze mówisz, wszystko ci powiem, a ty czuwaj Szmucerku.

SCENA IX.

Moranowski, Szmucer, Ludmiła.

(Ludmiła wychodzi z pierwszych drzwi po lewej, z trochę przesadną elegancją ubrana).

Ludmiła.

Gdzież jest hrabia? (*P. Moranowski stoi zamysłony, na przemian przebierając palcami po ustach, albo w głowę się skrobiąc. Szmucer trochę więcej w głębi stojący, na widok Ludmiły widoczne okazuje zachwycenie, co ona spostrzega.*)

Ludmiła *(z wdzięcznym uśmiechem)*.

Cóż, żaden z panów mi nie odpowie?

Szmucer.

Hrabia z panem szambelanem są podobno w werandzie.

Ludmiła *(do p. Moranowskiego)*.

Dlaczego nie idziesz bawić gości? Chodźmy ich przywitać. *(Szmucer składa ręce, błagając mimiką Ludmilę, by została)*.

P. Moranowski.

A tak, tak, trzeba tam iść, chodźmy.

Ludmiła.

Idź naprzód; zaraz tam przyjdę, tylko bransoletki zapomniałam.

P. Moranowski *(idąc ku drzwiom szklanym)*.

Idę już, idę.

Szmucer *(zbliżając się do niego, po cichu)*.

Grzecznie, ale zimno.

P. Moranowski.

Dobrze, dobrze. *(wychodzi)*.

SCENA X.

Ludmiła, Szmucer.

Szmucer.

Ach pani! Jakże mam podziękować, że mnie zrozumieć raczyłaś.

Ludmiła.

Nietrudno było odgadnąć, że mi pan masz coś do powiedzenia.

Szmucer.

W istocie, pragnąłem mówić z tobą pani, a teraz gdy ta chwila nadeszła, drzę cały i słowa znaleźć nie umiem.

Ludmiła.

Zkąd to pomieszanie?

Szmucer.

Sama sobie przypisz je pani.

Ludmiła.

Ja? sobie?

Szmucer.

Tak jest! Dotąd żyłem cichy, ubogi, nieznany; w pocie czoła pracowałem na kawałek chleba; panią widywałem jak świetlący meteor, podziwiałem panią, wdzięczny jej byłem za udzielane mi światło, ale miłując jedynie ludzkość, byłem przytem, jeżeli nie szczęśliwym, to przynajmniej spokojnym. Od dziś rana wszystko się zmieniło. Przedstawiając mi w niebiańskich

kolorach ową przyjaźń, ową miłość brata i siostry, rozdarłaś pani przed mojemu oczami zasłonę. Spojrzałem w głębię serca i poznałem... O, nieba!...

Ludmiła.

Cóż? Mów pan, co poznałeś...

Szmucer.

Że panią kocham!

Ludmiła.

Nieszczęśliwy!

Szmucer.

O tak, śmiem panią kochać miłością nieograniczoną, namiętą, szaloną!

Ludmiła.

Biedny panie Ferdynandzie!

Szmucer.

O, biedny zaprawdę! Bo coż mi teraz spokój przywróci? Zkąd wziąć sił do pracy? Jakże się poświęcać wysokiemu celowi, do którego razem mieliśmy dążyć, skoro tylko jedną postać przed sobą widzieć, jedną tylko kochać jestem w stanie.

Ludmiła.

Ale jakże pana ta namiętność tak raptem porwała?

Szmucer.

Twoje słowa pani! O weź je nazad, weź, a przywróć mi spokój!

Ludmiła.

Chętniebym to dla pana uczyniła, ale...

Szmucer.

Nie, nie... nie cofaj pani tych wyrazów, które są mojem cierpieniem, ale i szczęściem zarazem!

Ludmiła.

Lecz cóż mam robić? Czegóż pan żądasz odemnie?

Szmucer.

Niczego. Lecz gdyby ci serce parę słów podykto-
wało...

Ludmiła.

Wierszem?

Szmucer (*zadziwiony chwilkę się zatrzymuje, jakby z toru zbity*).

Nie, pani; poezya takich ran zagoić nie może. Ja potrzebuję, chcę stanowczej odpowiedzi. Ja bardzo jestem nieszczęśliwy. Teraz jej od ciebie nie żądam, żądać nie mogę. Wiem, pojmuję, żeby cię to zbyt kosztowało. Szanuję to uczucie. (*n. str.*) Twoja mania pisania mi dopomoże. (*głośno*) Ale gdy będziesz samą, pomyśl o moich cierpieniach i napisz do mnie, to ci łatwiej przyjdzie. Pismo twoje będzie dla mnie talizmanem, będę je nosił na sercu, a w chwilach zwątpienia i rozpaczycy odczytam je, brzeg papieru ucałuję i zacerpnę w tem siły żyć i pracować dalej!

Ludmiła.

Nie, nie obiecuję, bo wzruszenie, którego sama doznaję...

Szmucer.

Zechceszże mnie pani rzucić na pastwę rozpaczycy?

Ludmiła.

Nie, panie Ferdynandzie, lecz daj mi czas namysłu... ja głowę tracę...

Szmucer *(n. str.)*.

Napiszesz i więcej napiszesz, aniżeli byś chciała. Znam twój styl. *(głośno, biorąc ją za rękę)* Ja ciebie ubóstwiam!

Ludmiła *(bardzo zmięszana)*.

Oddał się pan, oddał, zaklinam cię!

Szmucer *(całuje ją w rękę i cofa się)*.

Jestem posłuszny, ale błagam.

SCENA XI.

Ludmiła, Szmucer, Jenerał.

Jenerał *(we drzwiach swego pokoju, n. str.)*.

Znowu razem! *(głośno)* Sądziłem, że tutaj wszystkich zastanę; gdzież reszta towarzystwa?

Szmucer.

Pan marszałek w tej chwili wyszedł do werandy, czy mam go uprzedzić?

Jenerał.

Dziękuję, nie potrzeba. *(do Ludmiły)* Gdzie Helenka?

Ludmiła.

Nie wiem; może się jeszcze ubiera, albo z gośćmi w ogrodzie.

Szmucer.

Natychmiast zobaczę. *(Wychodzi spiesźnie drzwiami szklanymi)*.

SCENA XII.

Ludmiła, Jenerał.

Jenerał.

Nie pojmuję, co pan Szmucer ma zawsze z tobą do mówienia.

Ludmiła.

Ze mną? Wcale nie; był tu z moim mężem, a że go o coś zapytałam, wstrzymał się chwilkę i na to właśnie stryj nadszedłeś.

Jenerał (*n. str.*).

Widocznie zmięszana; nie spuszczę ich z oka. (*głośno*) Chodźmy do ogrodu.

SCENA XIII.

Ludmiła, Jenerał, Helena.

(Helena w białej sukni pod szyję, róża we włosach).

Helena (*wchodząc po lewej*).

Dziadzio już tu?

Jenerał.

A tu, moja mościapanno, prędzej niż ty; ale nie dziw, panna się stroiła... fiu, fiu, fiu... róża we włosach.

Helena (*trochę zmięszana*).

Że też dziadzio wszystko zaraz dostrzedz musi.

Jenerał.

Od czegoż mam oczy, jeżeli nie od tego, bym na ciebie patrzył, mój ty kwiateczku.

Ludmiła (*przypatrując się Helenie*).

Mogłaś się dzisiaj trochę strojnziej ubrać.

Jenerał.

Dajże jej pokój; czyż w tej świeżej sukience nie jest jej najlepiej do twarzy?

Ludmiła.

Już się nie odezwę, skoro we wszystkim znajduję opozycję; ale mi się zdaje, że trochę elegancyi młodej dziewczynie w oczach ludzi zaszkodzić nie może.

Jenerał (*spoglądając na suknię Ludmiły*).

Przesada nie zawsze jest elegancyą.

Ludmiła.

Dziękuję za nauczkę.

Helena.

Jeżeli mama każe, pójdę wziąć inną suknię.

Ludmiła (*cierpko*).

Nie potrzeba; wszakże słyszałaś, co jenerał powiedział.

SCENA XIV.

Ciż, Baron, Elski (*wchodzą w głębi*).

Baron.

Ja nie radzę...

Jenerał.

Czego pan Baron nie radzisz?

Baron.

Tych transatlan...

Elski.

Kiedy sam nie masz odwagi, nie psujże mi kredytu.

Baron.

Nieprzespiecznie, nieprzespiecznie.

Jenerał (*n. str.*).

To się źle skończy.

SCENA XV.

**Ciż, Hrabia, Drzymierski, Jan, P. Moranowski,
Szmucer** (*wchodzą szklanemi drzwiami*).

Jenerał (*do hrabiego*).

Jak się masz Leonie? dawno się z tobą nie widziałem. (*podaje mu rękę*).

Hrabia (*z uszanowaniem*).

Dopiero co z Anglii wróciłem. Jenerał pozwolisz, że się z paniami przywitam. (*Hrabia idzie do Ludmiły*,

której się naprzód kłania, potem Helenie. Baron idzie krok w krok za nim i naśladuje wszystko, co on robi. Ludmiła pierwsza podaje rękę hrabiemu. Baron wyciąga do niej rękę i tak stoi; Ludmiła po chwili podaje mu jeden palec. Helena oddaje hrabiemu jego ukłon naturalnie, ale trochę zimno; potem idzie do Jana, któremu rękę podaje i trochę w głębi z nim rozmawia. Jenerał mówi z Drzymierskim, Elskim i p. Moranowskim. Szmucer zostaje sam w głębi).

Ludmiła.

Jakże wdzięczną jestem kochanemu hrabiemu, że o nas przecie nie zapomniał.

Hrabia.

Wdzięczność z mojej strony należy się panu marszałkowi za jego uprzejme zaproszenie.

Ludmiła (siadając na kanapie od kominka i wskazując miejsce obok siebie hrabiemu).

Niechże pan hrabia będzie łaskaw. *(Hrabia siada. Jenerał i Drzymierski zbliżają się naprzód sceny, siadają przy stoliku po prawej: jenerał w fotelu od środka sceny, Drzymierski od okna. Elski, p. Moranowski i Szmucer rozmawiają więcej w głębi po prawej).*

Baron (do Heleny).

Pani się tak gustownie ubrała, że i w Praterze nie można widzieć coś osobliwszego.

Helena (z uśmiechem).

Pan baron zbyt pobłażający.

Baron.

Ja na honor nie łgam.

Drzymierski.

O! o!

Elski (żywo chcąc odwrócić uwagę).

Ach, jak tu gorąco! *(niekontent chodzi chwilę po pokoju, potem siada obok jenerala trochę więcej w głębi i ku środkowi sceny; Helena, by ukryć chęć do śmiechu, przechodzi po za kanapę, siada na krzesle plecami do kominka, bierze robotę i zaczyna haftować. Jan zbliża się do p. Moranowskiego i Szmucera, razem tworzą stojącą grupę. Baron siada w fotelu po lewej hrabiego).*

Ludmiła (do hrabiego).

Przecie hrabia zawitałeś do swego majątku; jaka to szkoda, żeby tak prześliczne établissement prawie zawsze pustką stało.

Hrabia.

Ze mnie nieszczególny gospodarz.

Jenerał.

I to ci mam za złe.

Drzymierski.

Ja trzymam z hrabią, gospodarstwo, fi done! Obora, gorzelnia, gnój, woły, parobki, wszystko to śmierdzi, fi done, fi, fi, fi!

Baron.

To nie dla nas. Ja mam pałac i ogród i oranżerye pachnące dla mojej wygody i przyjemności, a rządę, żeby on gospodarował.

Elski

Trzeba przyznać, że u barona wszystko jest prawdziwie po pańsku.

Baron.

No, od czego ja pan?

Ludmiła.

Tym razem jednak hrabia dłużej zabawisz?

Hrabia.

Nie, pani, w pierwszych dniach jesieni jadę na wschód. (*Ruch mimowolny lub spojrzenie Heleny na hrabiego*).

Ludmiła.

Na wschód!

Jan.

Mam nadzieję, że się ta podróż jeszcze odwlecze; niechno przyjdą jesienne polowania...

Generał.

Jak psy w kniei zagrają.

Hrabia.

Przyznaję, że bardzo lubię polowanie; jednak nie tyle by mnie zdołało zatrzymać.

Drzymlerski.

My z Jego Królewską Mością Karolem X. tylko z meutą polowaliśmy.

Baron.

Ja już więcej na polowanie nie pójde...

Elski (*chcąc przerwać*).

Nie wszyscy są myśliwymi, ja pierwszy...

Baron.

Jak kupiłem ten majątek po panu Tulejce z całym inwentarzem i meblami i flintami i wszystkim, co jego

jest, powiada mi rządcą, że u mnie jest piękne polowanie. Ja powiadam do mego krewnego de Schmulberg...

Elski.

Dajże pokój...

Baron.

Dlaczego? ja opowiem... *(Elski zniecierpliwiony rusza ramionami, wstaje i idzie do drzwi szklanych, patrzy chwilę na ogród, zaraz jednak wraca naprzód na środek sceny)*. Ja mu więc powiadam: „Nu, to chodźmy na polowanie“. On nie bardzo chciał, ale ja mu powiadam: „Schmulberg, wszyscy panowie chodzą na polowanie“. Więc rządcą nabił nam flinty i poszliśmy polować. A w moim majątku jest płot zaraz za oborą. Patrzą, na płocie siedzą jakieś ptaszki. Ja mu powiadam: „Schmulberg, idź ty z jednej strony, ja pójde z tamtej, weźmiemy ich w ten... ten...“

Jan.

Krzyżowy ogień.

Baron.

Tak, kreuzfeuer. I tak się stało. Ja go się pytam: „Schmulberg, czy ty gotów?“ — On powiada: „Gotów“. Raz, dwa, trzy, pif, paf! Gwałtu! mało my się oba nie zabili!

Elski *(z przymuszonym śmiechem)*.

Ha, ha, ha! Baron zawsze lubi żartować.

Baron.

To nie było żartów.

Hrabia.

Postrzeliliście się panowie?

Baron.

Dziękować Bogu, nie, poszło pomimo; ale tak nas flinty w pyski uderzyły, że on się przewrócił. Ja już więcej nie pójdę na polowanie.

Jenerał.

W samej rzeczy bolesny wypadek.

Baron.

Tak, to mocno bolało.

Ludmiła.

Dziwię się hrabiemu, że ci się chce jechać na wschód, wszakże to dziez.

Hrabia.

Właśnie dlatego tam jadę.

Baron.

Dlaczego dziez? W Konstantynopolu są bankiery.

Hrabia.

Daleko dalej pojedę. Chciałbym zwiedzić małą Azyę, Egipt, kto wie, może mnie potem skorci przez kanał Suezki jeszcze dalej popłynąć.

Ludmiła.

Ależ to okropne! Z pańskim majątkiem wolałabym pojechać do Paryża, Londynu, przecie do krajów cywilizowanych.

Hrabia.

Nie szukam cywilizacyi, raczej przed nią uciekam.

Jenerał.

Cóż to, stałeś się odludkiem?

Hrabia.

Prawie.

Drzymierski.

A ja tylko wzdycham za pełnieniem służby u dworu. Ach, dwór, królewskie pokoje, ceremoniał, ach!...

Baron.

Ja wolę giełdę.

Elski.

Na miejscu hrabiego przystąpiłbym do jakiej wielkiej finansowej operacji.

Jenerał.

Na to, żeby operował, czy żeby był zoperowanym?

Ludmiła.

Jakiż to powód do mizantropii mogłeś hrabia znaleźć w cywilizowanym świecie.

Hrabia.

Bardzo prosty, fałszywy postęp.

Ludmiła.

Ach czyż się godzi coś podobnego powiedzieć wśród dziewiętnastego wieku, gdzie cały świat się rusza.

P. Moranowski *(wysuwając się naprzód)*.

Postęp... nie... właściwie... nic nie powiedziałem. *(Jakby zawstydzony, cofa się ku Szmucrowi)*.

Hrabia.

Ruch, nie koniecznie jest postępem, źle kierowany może zamiast naprzód na bezdroża i w przepaść prowadzić.

Drzymierski.

Czy ruch, czy postęp, wszystko w przepaść prowadzi. Stać na miejscu jak pień, wreszcie się i cofnąć to moja teorya.

Hrabia.

Nie moja.—Zwiedziłem niemal całą Europę w chęci zbadania wszystkiego co dobre, by to w obrębie sił do własnego kraju zastosować. Więc przypatrywałem się, śledziłem i szukałem prawdy. Gdybym był bodaj w jednym kraju znalazł wiarę niezachwianą i jej przepisy w życiu zastosowane, władzę silną, rodzinę zgodną, prawa jasne i zwięzłe, sprawiedliwość szybką: jednym słowem cnotę przodkującą, a występki karany nietylko prawem ale i opinią publiczną, uchyliłbym czoła, bo to byłby postęp. Natomiast cóż zastałem? Rozkoszujące w zaślepieniu słabość, pychę i materyalizm, podkopywane zanim będą szturmem wzięte przez zawiść, rozpój i anarchię. Kto zwycięży, przewidzieć łatwo, ale z tego zwycięstwa opartego na rozprężeniu namiętności ludu wyjdzie, bo wyjść musi, powrót do barbarzyństwa.

Ludmiła.

Hrabia jak widzę nie kochasz ludzkości.

Hrabia.

Właśnie dla tego że ją Kocham, nie chcę patrzeć na jej upodlenie, wolę dziki stan Araba, który w Boga wierzy, rodzinę szanuje, między swemi wroga nie zna a od obcych kraj mieczem i piersią zasłania.

Jan.

Chwytam cię za słowo. Cóż powiedziałbyś o Arabie, który porzuciłby swoją puszcę bo w niej Simun

wieje, hyeny i szakale wyją, bo jadowite węże tam pełzają?

Jenerał.

Z serca mi przemówiłeś.

Helena (*półgłosem przed siebie*).

I mnie.

Baron.

Co wiem to wiem, ja z hyenami bym nie mieszkałbym.

Hrabia (*który usłyszał słowa Heleny, zamyślony*).

Co jeden człowiek pomoże?

Jan.

Z dobrą wolą i wytrwałością wiele zrobić można; (*spoglądając na Helenę*) znam nawet niewiasty, których przykład byłby do naśladowania.

Ludmiła (*żywo zwracając się do Jana*).

Kochany kapitanie zawstydzasz mnie prawdziwie!

SCENA XVI.

Ciż, Marcin.

Marcin (*od drzwi w głębi*).

Dano do stołu.

Drzymierski (*który zadrzynał, budząc się*).

Co? obiad!

P. Moranowski (*n. str.*).

Uf! Dzięki Bogu!

Jenerał.

Leonie, podaj rękę Ludmile. (*Hrabia podaje rękę Ludmile, idą razem w głąb*).

Elski.

A ty baronie Helenie.

Baron (*przyskakując do Heleny*).

Służę pani.

Helena.

Przepraszam muszę dziadzia prowadzić. (*przychodzi do jenerała, który się na niej niby wspiera*).

Jenerał (*po cichu do Heleny*).

Oj ty filutko! (*wszyscy wychodzą w głąb prócz Szmucera*).

Szmucer.

Na mnie niki nie spojrzal, zawsze i wszędzie ostatni. Ale poczekajcie (*grożąc pięścią ku drzwiom w głąb*). Dobrze mówisz hrabio! Zwyciężymy, a wtedy ja będę pierwszy! (*wychodzi za tamtymi*).

(*Zastona spada*).

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT III.

(Teatr jak w poprzednim akcie).

SCENA I.

Ludmiła *(sama)*.

(Siedzi przy stoliku po lewej i składa list).

Biedny młodzieniec, tak szlachetny a tak nieszczęśliwy i to przezemnie. Ile w nim ognia, zapалу! Jego oczy jak rozżarzone węgle wskrósł mnie palą... Co to przecie jest młodość!... Jaka tam siła! Co za magnetyzm wejrzenia!... On mnie podziwia, ubóstwia, ale mój mąż, Helena,... Nie, nie, a przecie nie mogę młodziana do rozpaczki doprowadzać. Napisałam,... ale go utrzymam w granicach idealnej miłości. — *(p. k. m.)* Jak pięknem to marzenie w miłości dzielić się sławą. *(Szmucer wchodzi szklanymi drzwiami staje i z ironicznym uśmiechem przysłuchuje się ostatnim słowom Ludmiły)*. Jest w tem urok, urok niewymowny... *(p. k. m.)* Ferdynandzie, biedny Ferdynandzie, mój Ferdynandzie!

SCENA II.

Szmucer, Ludmiła.

Szmucer.

Oto jestem Ludmiło!

Ludmiła.

A! (rzuca mu list pod nogi i ucieka do swego pokoju).

SCENA III.

Szmucer (sam).

(Rzuca się na list który otwiera i czyta).

Tak, dobrze przewidziałem, tu jest więcej niżeli potrzeba by zgubić najuczciwszą kobietę. Szalona! (*wynosząc z tryumfem list do góry*). Ha! Teraz nie boję się nikogo! Helena jest moją! Ludmiła w moim ręku, marszałka to ambitne, trwożliwe zero skruszę kiedy zechcę, Helena mi nie sprzyja, ale w ostatecznym razie poświęci się dla ocalenia honoru matki. Zostaje tylko generał, to będzie twardy orzech do zgryzienia, z nim żartów nie ma. Nie cierpi mnie, zaś proteguje Dymara... Przecie nie w zamiarze oddania mu Heleny? Nie, to być nie może, syn karbowego, raczej przez niego chce złapać hrabiego... To prawdopodobniejsze. Ten Dymar dla mnie zagadką. Dlaczego przedemną inaczej mówi, inaczej przed niemi? Może on przy hrabi, w inny sposób, gra tę samą rolę co ja przy marszałku.

SCENA IV.

Szmucer, Burbasiewicz

(Burbasiewicz otyły mieszczanin, nosi się po polsku).

Burbasiewicz (*wchodząc w głębi*)

Impertynent! Arystokrata! Ja mam mu brać miarę!
Jeszcze czego! (*sapie*).

Szmucer.

Czegoż się pan burmistrz gniewasz czy kto pana obraził?

Burbasiewicz.

To rzecz niesłychana! (*sapie*). Przychodzę tu do pana jako burmistrz z ważnym interesem politycznym, na dziedzińcu spotykam tego starego szambelana. Kłania mi się panie i powiada: „Ach jak to dobrze że pan przyszedłeś, właśnie pękł mi trzewik, chciej pan wziąć miarę na drugą parę; proszę o szersze bo te były ciasne.“

Szmucer (*z lekką ironią*).

On panu burmistrzowi śmiał to powiedzieć!

Burbasiewicz.

Śmiał panie i to niby w grzeczny sposób. Podwójna obraza panie; raz żebym ja burmistrz, brał mu miarę, bo on tam jakiś Wicepempuszek, po drugie, że powiada że moje trzewiki za ciasne.

Szmucer.

Ale pan mu odpowiedziałeś?...

Burbasiewicz.

Wyprostowałem się panie i z godnością odrzekłem: „Jeżeli panu trzewik pękł, to dlatego bo pan źle chodzisz.“ Na to on: „Mniejsza o to, ale mnie gniotły.“ Na to ja: „Bo panu nagniotki narosły.“ Na to on: „Ja właśnie od nich nagniotków dostałem (*odmiennym głosem*). „Proszę pana jakby od trzewików można dostać nagniotków? Śmiech gadać, więc ja na to: „To pan masz złe nogi; chcesz pan mieć trzewiki udaj się pan do mego pierwszego czeladnika. Ja tu przychodzę do pana Szmucera w sprawach krajowych, a nie na to bym panu brał miarę.“ Tak mu panie powiedziałem! (*sapie*).

Szmucer.

Bardzo słusznie; arystokratom nie można się dać deptać. Ale niechże pan burmistrz siada; jakiemuż to interesowi zawdzięczam przyjemność.

Burbasiewicz (*siadając*).

Prawda, zapomniałem o interesie. Byłem już dziś trzy razy u pana sekretarza w kancelaryi...

Szmucer.

O co chodzi panie burmistrzu?

Burbasiewicz.

Pan dobrodziej poddałeś nam myśl, żeby nasza rada miejska napisała protestacyę do delegacyi z naganą jej postępowania. Ta myśl się mieszczanom bardzo podobała, bo to przecie miło przeczytać w gazetach, że nasza rada protestuje, bo się nie zgadza, że to tego, daje dobry przykład panie ot tak, to tego, jak to zwykle gazety pisza,

Szmucer.

Tak, tak, ułożę to...

Burbasiewicz.

Otóż panie mieszczanie się niecierpliwią, siedzą mi na karku żeby już raz napisać tę delegację... protestację. Musiałem obiecać, że jutro będą mieli gotową do podpisu, przyszedłem więc pana prosić byś ją nam zredagował, ale tak to tego... z pieprzem, jak to pan umie.

Szmucer.

Bądź pan spokojny, jutro rano będziesz miał protestację. Co się tyczy honorarium, wprawdzie nic nie żądam, ale...

Burbasiewicz.

Honorarium także jutro będzie. W imieniu miasta panu dziękuję, a teraz *(wstaje)*.

Szmucer.

Zawsze gotów jestem na usługi moich współobywateli.

Burbasiewicz.

Dziękujemy, dziękujemy.

Szmucer.

Ale... przy tej sposobności dobrze że sobie przypomniałem pana burmistrza zapytać, jakże tam stoi sprawa z moim dyplomem na obywatela honorowego waszego miasta?

Burbasiewicz.

Jest w trakcie, już byłoby zrobione, gdyby stary Maciej Bruzda nie bruździł; wiesz pan ten stary co to

jeszcze służył z panem generałem. On go się podobno radził, bo powiada że obywatelstwo honorowe jest zaszczytem, którego się lada łapser... przepraszam, lada komu nie daje.

Szmucer.

Takie zdanie pana Bruzdy?

Burbasiewicz.

Ot plecie stary, jak gdyby to pan był pierwszy lepszy. Zbałamucił mi trochę mieszczan ale temu dam radę.

Szmucer.

Więc mi pan obiecujesz?...

Burbasiewicz (*podając mu rękę*).

Daję panu na to rękę; niechaj ona już nigdy nikomu z przeproszeniem w pysk nie da, jeżeli pan nie zostaniesz obywatelem honorowym naszego miasta.

Szmucer (*z mimowolnym uśmiechem*).

To zapewnienie mnie rozrzewnia i zawczasu dziękuję panu jako naczelnikowi miasta, równie jak i panom mieszczanom.

SCENA V.

Ciż, Jan.

Jan (*wchodząc w głębi do Burbasiewicza*).

Dowiedziawszy się że pan tu jesteś, przyszedłem się z panem przywitać. (*podaje mu rękę którą Burbasiewicz chciałby wziąć ale nie śmie*).

Burbasiewicz.

Przepraszam wielmożnego pana ale...

Jan.

Pan mnie nie poznajesz, mnie Jana Dymara.

Burbasiewicz.

Co? Pan? Jan Dymar? Jaś, syn... (*prostując się*)
A, witam, witam pana,... Jak się macie,... widzę że
wam się powiodło. (*Jan z początku zmianą tonu Burba-*
siewicza zdziwiony zaczyna się śmiać). No, czego się
śmiejesz?

Jan.

Bo pan tak zabawną minę zrobiłeś.

Burbasiewicz.

Tfy! (*n. str.*). Komu to się śmiać, komu panoszyć?
(*głośno do Szmucera*). Sługa najniższy pana sekretarza
dobrodzieja. (*podając rękę Szmucerowi, który ją uprzej-*
mie ściska, rzuca groźne spojrzenie na Jana wyprostow-
wany, wolnym, poważnym krokiem wychodzi w głębi do
drzwi odprowadzony przez Szmucera, który do niego po
cichu mówi).

SCENA VI.

Jan, Szmuc er.

Jan (*do siebie z uśmiechem*).

O przesady, przesady, jak długo jeszcze trwać bę-
dziecie? Jak długo? Póki ludzie będą ludźmi; wszakże
bez głupców, świat być nie może.

Szmucer (*wracając naprzód sceny*).

Obraziłeś pan swoim śmiechem pana burmistrza.

Jan.

To on teraz burmistrzem? Bardzo żałuję, ale mam takie nieszczęśliwe usposobienie, że gdy mnie śmiech porwie, parsknąć muszę, chociażby o moje życie chodziło.

Szmucer (*obserwując go z pod oka*).

Cóż pana tak bardzo rozśmieszyło?

Jan.

Nie uważałeś pan jak stopniowo w estymie pana Burbasiewicza spadałem gdy poznał we mnie syna karbowego! (*śmiejąc się*). Najprzód wielmożny pan, potem pan, potem wy, nareszcie ty.

Szmucer.

Ta wesolość panu zaszczyt robi.

Jan.

Mnie? A to dlaczego?

Szmucer.

Inny byłby się uraził. Nie każdy który się wzniósł lubi żeby mu jego pochodzenie przypominano.

Jan.

Mnie to obojętne. Mój ojciec był chłopem, wszyscy to wiedzą; skoro był uczciwym dlaczego mam go się wypierać.

Szmucer

Zapewne i gdybyś się pan był wzniósł o własnych siłach.

Jan (*ostro*).

Jak pan to rozumiesz?

Szmucer.

Wszakże pan sam powiedziałeś, że hrabia dawał panu środki utrzymania zagranicą.

Jan (*n. str.*).

Żmija! (*głośno*) Tak panie Szmucer. Jenerał pierwszy dopomógł mi dając swoje rodzinne stypendyum w gimnazyum. Zagranicą hrabia dał mi środki pobierania nauk. Tym dwom ludziom winien jestem moje niezawisłe stanowisko w świecie.

Szmucer.

Niezawisłe?

Jan.

Zupełnie niezawisłe. Tego nigdy nie zapomnę i pana proszę o tem pamiętać.

Szmucer.

Nie złego nie miałem na myśli.

Jan (*z ironią*).

W istocie?

Szmucer.

Na honor, lecz widzę że pana zajście z burmistrzem rozdrażniło, nie chcę dłużej się panu naprzykrzać. Sługa pana dobrodzieja.

Jan (*zimno*).

Żegnam pana.

Szmucer (*wychodząc w głębi n. str.*).

Przecie ja ciebie dojdę.

SCENA VII.

Jan (*sam*).

Podły, niktzemny, wszystkich podług siebie sądzi. (*Chodzi chwilkę zamysłony*). Jednak to dziwna rzecz; podczas tylu lat zagranicą w wojsku zapomniałem o różnicach stanu; tutaj zaledwie wróciłem do kraju różne osoby w różny sposób, wciąż mi moje pochodzenie przypominają. Czyliż to miałyby być tutaj przeszkodą?... Ba, jakież to osoby mi tem dokuczyć chciały,... Nie, nie,... a jednak,... to byłoby okropne, zwłaszcza teraz. Gdyby i Helena tak myślała?... Ale nie, ona jest tak dobrą, tak uprzejmą, tak przyjazną. Lecz ona nie wie jakie jej widok wrażenie na mnie zrobił. Gdyby się spostrzegła czy wtedy to uczucie nie wydałoby się jej śmiesznem, moje nadzieje szaleństwem? (*p. k. m.*). Nie myślmy teraz o tem, pierwszą rzeczą jest ją ratować. Jak? Na próżno sobie dotąd głowę łamię, nie nie znajduję.

SCENA VIII.

Jan, Hrabia.

(Hrabia wchodzi w głębi znać myślami zajęty).

Jan.

Ach to dobrze że przychodzisz! Cóż nic nie wymyśliłeś?

Hrabia.

Względem czego?

Jan.

Względem Szmucera.

Hrabia.

Co chcesz żebym wymyślił? Próbowałem mówić z Moranowskim, ale ile razy imię Szmucera wspomniałem, zwracał rozmowę na inny przedmiot. Widocznie ten człowiek jakiś magnetyczny wpływ na niego wywiera.

Jan.

Cóż ci przecie powiedział.

Hrabia.

Nawet mówić o tem nie chciał; on jest tak zaślepiony i zawojowany że na to nie byłoby innej rady jak Szmucera ztąd oddalić, albo jego zasady i dążności z gruntu przemienić.

Jan (*zamyślony*).

To niepodobna.

Hrabia.

Przynajmniej na to ostatnie tylko jeden znam sposób.

Jan (*żywo*).

Jaki?

Hrabia.

Dać mu wioskę i tytuł.

SCENA IX.

C i ż, M a r c i n.

(Marcin wchodzi w głębi, niosąc w rękę kilka gazet, w których powinny być dwa listy, jeden w eleganckiej kopercie, drugi większy drukowany).

Hrabia *(do Marcina)*.

Co takiego?

Marcin.

Nic, proszę jaśnie pana, przynoszę listy i gazety z poczty. Może jaśnie pan...

Hrabia.

Dziękuję, połóż na stole.

(Marcin kładzie gazety z listami na stoliku po prawej i wychodzi w głębi).

SCENA X.

J a n, H r a b i a.

Jan.

Biedna panna Helena, nie dość na nią nieszczęścia, trzeba jeszcze przykrości.

Hrabia *(żywo)*.

Przykrości?

Jan.

Czyliż nie uważałeś w jakich zamiarach baron tutaj przyjeżdża.

Hrabia.

To nie podobna.

Jan.

Nie wątpię, że Helena odmówi, ale wystaw sobie jej uczucie gdy się przekona, że rodzony wuj na to spekuluje by ją sprzedać Baronowi.

Hrabia (*porywczo*).

To jest podłość bez granic! Helenę, tego anioła!...
(*chodzi mocno wzruszony*).

Jan (*niezważając*).

Lecz jak powiadam to tylko przykrość, bo Helena sprzedać się nie da, ale Szmucera wpływ w tym domu zagraża jej niedostatkiem, może nędzą. (*chwila milczenia, podczas której Jan zdaje się szukać myśli*). Gdyby można bodaj na jakiś czas go ztąd oddalić.

Hrabia.

Jakim sposobem?

Jan.

Czyliż wiem!... Obiecać jakieś korzystniejsze miejsce, ... zapłacić i wysłać gdzieś z interesem, wreszcie zmistyfikować.

Hrabia.

Wiesz, że takich środków nie lubię, zresztą na cóżby się przydała mistyfikacya. Oddalisz go dzisiaj, jutro wróci. Marszałek wzięłby to za złe i dalej wierzył w niego, może bardziej niż dotąd.

Jan.

Pytanie. Poczekajno, poczekaj, ... (*uderzając się z radością w czoło*) O! już mam!

Hrabia.

Pewnie jakieś szaleństwo.

Jan *(który szybko dostał pularesu i czegoś u nim szukał)*.

Są, na honor są. *(dostaje z pularesu marki pocztowe)*.

Hrabia.

Co takiego? Marki pocztowe?

Jan.

Tak jest. Taki mu list zfabrykuję jakiego w życiu na „Prima aprilis“ nie odebrał.

(Siada na kanapie, otwiera buwar, bierze pióro i w górę patrzy jakby w głowie list uktadał).

Hrabia.

Mój Janie, gdybyś już raz mógł zapomnieć, że byłeś studentem; czas już na to. Przecie byłeś w wojsku kapitanem...

Jan *(pisząc)*.

Proszę cię, nie przerywaj myśli bo się snują, płaczą, gmatwają.

Hrabia.

Widzę to niestety!

Jan *(pisząc)*.

Chwilkę, chwileczkę cierpliwości.

Hrabia *(ruszając ramionami)*.

To coś będzie pięknego, znam pana Jana *(idzie do stoliczka po prawej, siada i zaczyna książkę przeglądać, chwila milczenia)*.

Jan (*pisząc*).

Coraz nowe myśli mi przychodzą, coraz więcej różnych rzeczy sobie przypominam. (*podnosząc głowę*)
Pamiętasz ty jego ojca?

Hrabia (*patrząc w książkę*).

Ojca Szmucera?

Jan.

Tak jest.

Hrabia (*tak samo*).

Nawet nie wiem czy on miał ojca.

Jan (*wstając*).

Jako nie pamiętasz starego Szmucera w Krakowie? Postrach powstańców, den Spitze-Fritze, z czerwonym, szpiczastym nosem, którego tyle przy protokolach prześladowaliśmy tem, że jego syn Ferdynand przystał do Polaków. Nie pamiętasz jak się na to krztusił, oczami lypał i nos tabaką zapychał, a raz gdy mu bardzo dokuczyłem ze złości zamiast tabaki piasku zażył.

Hrabia (*śmiejąc się*).

Waryat byłeś i jesteś.

Jan.

A jego matkę, „Die Madame Kunigunde“, która na wspomnienie o swoim Ferdusiu, łzami się zalewała, zapomniałeś? (*śpiewa*)

Ja der Spitze

Gute Fritze

Und Madame Kunigunde,

Gunde, Gunde, Gunde, Gunde,

Gunde, de, de, de, de, de!

<http://rcin.org.pl>

Hrabia *(śmiejąc się)*.

Pamiętam, pamiętam!

Jan *(śpiewa)*.

Ja der gute
Gute Fritze
Und Madame Kunigunde
Mieli dziwną tabakierkę,
Kierkę, kierkę, kę, kę, kę!

(Jan wraca na kanapę).

Hrabia *(śmiejąc się)*.

Przeniosłeś mnie w dalekie czasy.

Jan.

Przejeżdżając teraz przez Kraków pytałem się Jerzego co się z niemi stało, wystaw sobie, już dwa lata jak się oboje przenieśli na łono Abrahama. Teraz widzę jak to dobrze pamiętać o dawnych znajomych.

Hrabia.

Dosyć już śmiechu. To jest rzecz seryo. Nie rób żartów, mógłbyś siebie i mnie skompromitować!

Jan *(pisząc)*.

To bynajmniej nie jest żartem, chociaż ma pozór żartu; tu chodzi o zdemaskowanie panicza. Zresztą całą odpowiedzialność biorę na siebie.

Hrabia.

Zastanów się.

Jan.

Bądź spokojny.

Hrabia.

Jakże mam być spokojny, kiedy w tobie jest dwóch ludzi. Jeden stateczny, nad swój wiek poważny, myślący, pracowity, jednym słowem kapitan; drugi student, ale to student całą gębą. Jak cię tarantula ukąsi, bądź zdrów o rozsądku nie ma mowy.

Jan *(wstając)*.

Gadaj sobie, gadaj, tymczasem list napisany. Teraz trzeba na kopercie dać znaki pocztowe. *(Idzie do stolika po prawej)*. Jeżeli się w tym domu nic nie zmieniło w tej szufladzie powinny być panny Heleny kredy do rysunku *(otwiera szufladę)*. A, otóż są, czerwona, czarna, niebieska, więcej mi nie potrzeba. *(Wraca do stolika po lewej i siada na kanapie)*.

Hrabia *(który z zadziwieniem mu się przypatrywał)*.

Twoja pewność siebie zaczyna mi imponować.

(Jan przyklepia marki na kopercie, przybija je piętami, potem dostaje z kieszeni pieniądze, dobiera ich wielkość i kredą robi w okółko nich kółka na kopercie).

Jan.

Kiedy ci powiadam, że mam taki plan, że chyba Szmucer byłby samym djablem, żeby się na niego nie zlapał.

Hrabia.

Powiedz przynajmniej jaki?

Jan *(nóci rysując znaki na kopercie)*.

Gunde, gunde, de, de, de,... *(mówi)* Widzisz, że nie mam czasu. — Nie masz przypadkiem przy sobie podwójnego Frydrychsдора?

Hrabia.

Zdaje mi się, że mam. (*Szuka w porte-monnaie*).

Jan.

Potrzeba mi jeszcze stępla tej wielkości. (*Hrabia daje mu Frydrychsora, Jan przymierza go do koperty*). Doskonale. (*Robi około niego kółko i oddaje go hrabiemu, który się jego robocie przypatrywał*). Ten list znać chodził po świecie, patrz: Wrocław, Kraków, Przemyśl, ale ztąd zaczął się błąkać; muszę jeszcze dodać Jaworów retour Jarosław, aż do naszej poczty.

Hrabia.

W samej rzeczy, ty to zgrabnie zrobisz.

Jan.

Jak wszystko, ... ale pst, ... zdaje mi się, że ktoś nadchodzi, zobacz proszę cię.

(*Hrabia idzie na środek sceny, słucha, potem idzie do drzwi szklanych*).

Hrabia.

Nikogo nie widzę prócz Barona, który się melancholicznie kwiatom przypatruje.

Jan.

Barona!... A, na honor dzisiaj jestem jeniałny! Powiedz co dałbyś za zdemaskowanie Szmucera?

Hrabia.

Czyżli wiem.

Jan.

Ale przecie, ... pamiętaj, że tu chodzi o przyszłość panny Heleny.

Hrabia.

Mów jaśniej.

Jan.

Zaryzykowałbyś na to... sześć tysięcy reńskich?

Hrabia.

Twój żart zaczyna przybierać kosztowne rozmiary.

Jan.

Słowo ci daję, że to ma tylko pozór żartu, a mogąc rozrzucić taką sumą, zyskuję sto procent pewności, że się plan uda. Zresztą mógłbym prawie zaręczyć, że do wydania tych pieniędzy nie przyjdzie.

Hrabia (*seryo*).

Moranowskiemu przyszedłbym chętnie w pomoc i większą sumą, ze względu na pannę Helenę, ale ryzykować sześć tysięcy, Bóg wie na co...

Jan.

To mnie je pożycz.

Hrabia.

Wiesz, że moja kasa zawsze dla ciebie otwarta, ale...

Jan.

Dziękuję ci. Biorę cię za słowo. Teraz proszę cię idź do ogrodu i przyślij mi tu Barona pod jakim bądź pozorem.

Hrabia.

Jakto i teraz jeszcze mi nie powiesz?

Jan.

Później, później, bo czas nagli. Idź po Barona.

Hrabia (*idąc ku drzwiom szklanym*).

Na honor nie wiem kto z nas większy waryat, czy ty który szaleństwa wymyślasz, czy ja który cię słucham.

Jan.

Idźno idź.

(*Hrabia wychodzi szklanemi drzwiami*).

SCENA XI.

Jan (*sam, patrząc za nim*).

Poczeiwa, szlachetna dusza, dałby się za mnie porąbać, ale i ja za niego. — Teraz trzeba jeszcze trochę list zabrukać; naturalnie skoro taką podróż odbył bardzo czystym być nie może. (*Rzuca list na ziemię; przydeptuje nogą i sunie po posadzce; to samo powtarza obróciwszy list na drugą stronę; podnosząc go*). Tak, teraz jest dosyć brudny (*obtrzepuje go*). Marsz na pocztę! (*wsuwa list między gazety, które Marcin na stoliku położył*). A ty panie Janie, przestań być studentem, czas być arytmetykiem.

SCENA XII.

Jan, Baron.

Baron (*wchodząc szklanemi drzwiami*).

Mówił mi hrabia, że ja tu pannę Helenę zastanę.

Jan.

Właśnie ztąd wyszła, ale bardzo się cieszę, że pana tu spotykam, bo radbym z panem sam na sam pomówić.

Baron (*zaniepokojony*).Sam na sam? (*n. str.*) Może jakie pojedynkowanie?

Jan.

Panie baronie, tu chodzi o interes, tylko nie wiem jak,... nie śmiem...

Baron (*n. str.*).Taaak,... on chce pożyczyć. (*głośno*) Przepraszam ale ja nie mam czasu...

Jan.

Ale...

Baron.

Przepraszam, przepraszam, właśnie mi rządca pisał, że w kasie niema ani grosza, to samo pisał mój dyrektor, to samo wszyscy piszą, no zkąd ja mam brać?

Jan.

Pan baron mnie nie zrozumiałeś; ja dla pana mam korzystny interes.

Baron.

Korzystny?... Wiem, pan masz dać projekt, a ja mam dać pieniądze. Ja się w takie spekulacye nie...

Jan.

Mylisz się pan, ja panu chcę dać pieniędzy, tylko nie wiem jak zaproponować, żeby pan tego za złe nie wziął.

Baron (*żywo*).

Kto pieniądze bierze, za złe nie bierze. Siadaj pan. (*siadają*).

Jan.

Rzecz jest dosyć delikatnej natury, a ja w podobnych interesach nie mając wprawy...

Baron.

No gadaj pan, gadaj, co?

Jan.

Więc krótko mówiąc, radbym od pana Szmucera nabyć jego prawa sukcesyjne.

Baron.

Więc jakaś sukcesya spada na niego?

Jan.

Nie wiem,... nie ma żadnej pewności... prawdopodobnie on się żadnej sukcesyi nie spodziewa,... ale pomimo tego, chociaż nie jestem majętny, dałbym mu za to cztery tysiące reńskich.

Baron.

Jako bez żadnej pewności?

Jan.

Bez najmniejszej.

Baron.

To pan za pozwoleniem waryat.

Jan.

Bądź co bądź dalbym cztery tysiące reńskich. — Ale ponieważ nie wiem jak się wziąć do tego interesu i dla pewnych, osobistych przyczyn, nie życzyłbym sobie, by ta cessya na moje imię była daną, chciałem prosić pana barona byś od pana Szmucera tę cessyę starał się uzyskać za cztery tysiące reńskich, a ja za retrocessyę na mnie, dalbym panu baronowi prócz wymienionych czterech jeszcze dwa tysiące reńskich.

Baron (*przeciągłe*).

Puiiii!! ... (*n. str.*) On nie jest waryat, on coś wie!

Jan.

Pan baron zechce zauważać, że nic przy tem nie ryzykujesz, ponieważ biorąc jedną ręką od pana Szmucera cessyę za cztery tysiące reńskich, drugą ręką mnie ją za sześć tysięcy odstępujesz. Nawet, żebyś pan baron nie miał najmniejszej obawy, gotów jestem te pieniądze naprzód złożyć do rąk barona.

Baron (*zamyślony*).

No, ja wiem, że z panem strachu niema,... ale ja potrzebuję się namyślić,... ja zobaczę,... może później...

Jan.

Prosiłbym pana barona prędko się zdecydować, najdalej za godzinę, inaczej musiałbym sam interesu próbować. Pojmujesz pan baron, że wtedy już nie

wzjąłbyś dwóch tysięcy reńskich, bo nie byłoby za co; powtóre, że przez moją nieznajomość interesów, musiałbym może panu Szmucerowi ofertę o te dwa tysiące podwyższyć. Niechże pan baron raczy się namyśleć; teraz jest pół do czwartej, za godzinę wrócę po odpowiedź. Sługa najuniżeńszy pana barona. (*Kłania mu się głęboko i wychodzi szklanemi drzwiami*).

SCENA XIII.

Baron (*sam*).

Co on powiada, że on interesów nie rozumie, on majster. Tu jest pewna successya, kiedy on tyle faktornego daje. Na co ja mam brać faktorne, kiedy ja mogę interes dla siebie zrobić?... Nur niszt gorąco Techtelman... (*chodzi zamyślony i głaszcząc się po faworytach półgłosem rachuje*) Fer... und... zypcen... draj achtel percent,... fyrcych nan und achcych,... ficeń tauzend ranez!... Nie, ja się trochę pomylił, ruig Techtelman!... Zyben,... draj, draj,... finf und zwancych,... finf zechstel,... tak, tak, ficeń tauzend! Może trochę mniej, może trochę nad! Trzeba mu dać tysiąc reńskich, albo pięćset! (*Idzie spiesznie ku drzwiom w głębi, spotyka wchodzącego Elskiego*).

SCENA XIV.

Baron, Elski.

Elski (*bardzo zmięszany*).

Dokąd spieszysz? Czekaj, mam ważne wiadomości...

Baron.

Nie mam czasu...

Elski.

Wiesz, towarzystwo transatlantyckich balonów,... zagrożony jestem oskarżeniem o oszustwo.

Baron (*chcąc odejść*).

No, ja ci mówiłem...

Elski.

Przecie poradź, wszak to kryminałem pachnie!

Baron.

Co mam radzić? Oszustwo jest oszustwo! (*wybiega w głąbi*).

SCENA XV.

Elski (*sam*).

Stój, czekaj! Poleciał! Liczże tu na przyjaźń!... W głowie mi się kręci,... przecie mnóstwo takich towarzystw istnieje i wzbogaca założycieli, dlaczegoż ja... ale się nie dam... Nie, nie,... lecz co robić!?... Tak,

trzeba barona conajprędzej z Heleną ożenić,... przecie wuja nie opuści,... pieniędzmi wszystko da się zatagodzić!

SCENA XVI.

Elski, Helena.

Helena (*wchodząc po lewej*).

Cóż wuj tu sam porabia!

Elski.

A, to ty... dobrze że przychodzisz. (*n. str.*) Tylko zimnej krwi. (*gł.*) Mam z tobą do pomówienia.

Helena.

Ze mną?

Elski.

Jesteś osobą rozsądną, praktyczną, stoisz po nad przesądami...

Helena.

Dokąd ta przedmowa?

Elski.

Doszły mię wieści, że majątek twego ojca się zachwia!,... (*Helena spuszcza oczy*) widzę, że mi prawdę powiedziano, tem bardziej sądzę, że jeżeli ci podam środek wyratowania rodziców...

Helena (*z radością*).

Jaki? <http://rcin.org.pl>

Elski.

Gdyby ci się naprzykład trafiła partya pod względem majątkowym świetna,... *(Helena spuszcza głowę)* człowiek w najlepszych latach, przywoity,... baron...

Helena *(żywo)*.

Proszę wuja...

Elski.

Sądzę, że głupie przesady...

Helena.

Zatem wuj nazywasz sprzedać się i wyprzeć religii przesadami; tak dalece praktyczną nie jestem i stanowczo odmawiam.

Elski *(rozgniewany z ironią)*.

Odmawiasz? Prawdziwie,... i to stanowczo!... A ja ci powiadam, że pomówię o tem z twojemi rodzicami i zobaczymy czy upor kobiecy przełamie wolę całej rodziny.

Helena.

Zbyt kocham i szanuję rodziców bym mogła chwilę wątpić, że po mojej stronie staną.

Elski.

To się wkrótce pokaże! *(wybiega w głębi zatraskując drzwi za sobą)*.

SCENA XVII.

Helena (*sama*).

Zaczynają się upokorzenia. — I trzebaż by on tego był świadkiem?... Dlaczego tu przyjechał? Dawniej tego pragnęłam, dziś widzę w tem tylko ironię losu. O, na jedną istotę tego za wiele! (*ociera oczy chustką*). Gdzież teraz moja odwaga, wytrwałość, spokój? Wszystko mnie na raz opuściło... Boże mój dodaj mi siły oddal zwątpienie!

SCENA XVIII.

Helena, Hrabia.

(Hrabia wchodzi szklanemi drzwiami, spostrzegłszy Helenę staje, robi krok w tył ku drzwiom, parę sekund zdaje się wahać, potem spokojnie idzie ku Helenie. Ona zobaczywszy hrabiego powinna okazać utajone wzruszenie).

Hrabia.

Zdaje się, że nadchodząca burza nas wszystkich wkrótce w salonie zgromadzi.

Helena.

Czy na burzę się zanosi?

Hrabia.

Tak jest pani; czarne chmury się gromadzą, a w powietrzu panuje ta cisza, która ją poprzedza.

Helena (*chcąc odejść*).

Pan pozwoli muszę posłać...

Hrabia.

Jeżeli pani chce wydać dyspozycje gospodarskie, mogę panią zaspokoić, bo widziałem właśnie jak ludzie z łanu wracali a bydło instynktem wiedzione już ich na oborę poprzędziło.

Helena (*z uśmiechem*).

W samej rzeczy odgadłeś pan moją myśl. Widzę, że i pan gospodarz, chociaż się pan tego wypierasz.

Hrabia

To są rzeczy, które każdy wie, jeżeli tylko parę miesięcy na wsi przepędził. Któż na widok groźnej chmury nie doznał niepokoju o swój folwark, siano nie zebrane, nie dokończoną stertę, o te tysiączne kłęski z którymi gospodarz wечно walczy. Burza elementarna ma przynajmniej to dobrego, że ludzi gromadzi gdy moralna ich rozprasza.

Helena.

Sądziłabym że moralna powinna ich raczej zbliżać.

Hrabia.

Zapewne, gdy są w życiu jakieś więzy, lecz gdy się jest samym, mniejsza o to gdzie burza zanieśie. (*chwila milczenia*). W takim razie może lepiej dać się jej porwać i na to byłem do dziś rana zdecydowany, jednak zaprzeczyć nie mogę, że zakończenie naszej dyskusyi zachwiało moje postanowienie.

Helena *(z odcieniem radości).*

Czy miałbyś pan zamiar zaniechać podróży?

Hrabia.

Sam jeszcze nie wiem, lecz tam gdzie była decyzja, nastąpiło wahanie. *(słychać daleki grzmot).*

Helena.

Nie mogę jak tylko życzyć panu, żeby zdanie pana Jana przeważało.

Hrabia.

Więc moje postanowienie nie byłoby pani zupełnie obojętne?

Helena *(trochę zmięszana).*

Mnie,... myślałam że... pan Jan... będąc pana najlepszym przyjacielem, może... panu tylko dobrej rady udzielić.

Hrabia.

I pani zdanie Jana podzielasz?

Helena *(coraz bardziej zmięszana).*

Mówiliśmy dziś rano o obowiązkach...

Hrabia.

Pani zatem sądzisz, że mnie tu nie prócz obowiązku wstrzymać nie powinno? *(bliższy grzmot).*

SCENA XIX.

Ciż, Drzymierski.

(Podczas prawie całej sceny hrabia stoi zamysłony patrząc wciąż na Helenę).

Drzymierski (*wchodząc w głębi*).

A co? Nie mówiłem? Jest!

Helena (*żywo*).

Co dziaduniu?

Drzymierski.

Burza, miła burzyczka! Chien de climat va!

Helena (*idąc ku oknu*).

Może przejdzie... (*silniejszy grzmot*).

Drzymierski.

Proszę cię nie otwieraj okna,... nie rób przeciągów, jeszcze gotów trzasnąć!... Jak raptem pozimniało, brrrrr... Hola! hej!... Jest tam kto?..

Helena (*idąc ku drzwiom w głos*).

Może zadzwonić!

Drzymierski.

Nie,... nie ruszaj drutu! Hej Marcinie! Pieprze Pietrze! Jest tam który?

SCENA XX.

Ciąż, Marcin.

(Grzmot i łyskawica w chwili gdy Marcin drzwi w głębi otwiera).

Zamykaj, Zamykaj!

Marcin *(od drzwi).*

Co wielmożny pan rozkaże?

Drzymierski.

Brrr... Rozpał ogień na kominku. To zaraz pokój ro... *(grzmot i łyskawica)* o... ozweseli... Brrrr... Cóż brabio stoisz taki za... *(grzmot i łyskawica)* a... a...myślony? *(Marcin dostaje kilka polan z kosza przy kominku i rozpala ogień potem wychodzi w głębi).*

Hrabia.

A, tak podobno grzmi.

(Hrabia chce się zbliżyć do Heleny, która by tego uniknąć bez afektacyi zbliża się do kominka).

Drzymierski

Podobno! Lubię to podobno! Cały dom się trzęsie! *(n. str.)* I ja także. *(gł.)* Helenko, nie stój przy kominku, on tamtędy lubi wpadać. *(Helena staje przy stole po lewej, niby album przegląda, wszakże widać, że o czem innem myśli. Drzymierski oglądając się).* Nie wiedzieć gdzie siaść? Tu okno, tam komin, tam znowu drzwi szklane! Nie tu palnie to tam. O... *(grzmot i łyskawica)* o...sobliwszy sposób stawiania domów mają tutaj ci ludzie. Gdyby chociaż o... *(grzmot i łyskawica)* o...kiennice dali,

Hrabia.

Pan szambelan zdajesz się być niespokojnym.

Drzymierski.

Ja... nie... ale mam dziś nerwy ro... *(grzmot i ły-skawica)* o...ozdrażnione. Pójdę się po... *(grzmot i ły-skawica)* o... o...ołożyć. *(wychodzi w głębi)*.

SCENA XXI.

Helena, Hrabia, *później* P. Moranowski, Jan.

(Helena idzie ku drzwiom po lewej).

Hrabia.

Pani na moje pytanie nie raczyłaś mi odpowiedzieć?

Helena.

Na jakie? W istocie już nie pamiętam... *(Zbliża się ku drzwiom. Grzmot słabszy i daleki)*.

P. Moranowski *(wchodząc z Janem w głębi)*.

Ależ to leje!

Jan.

Dlatego prędko minie.

P. Moranowski.

Gdzie idziesz Heluniu? Nie odchodź.

Helena.

Zobaczę tylko co mama robi, razem wrócimy. *(wychodzi po lewej. Ostatni grzmot już bardzo oddalony)*.

SCENA XXII.

P. Moranowski, Hrabia, Jan.

P. Moranowski *(n. str.)*.

Otóż macie, zostawia mnie w krzyżowym ogniu.

Hrabia *(n. str.)*.

Wyraźnie mnie unika.

P. Moranowski *(zaambarasowany nuci)*.

Trum, trum, trum...

Jan *(cicho do hrabiego)*.

Może teraz byłaby chwila z nim pomówić?

Hrabia.

Próbuje. (siada przy stoliku po prawej, bierze książkę, którą niby przegląda, ale się zamysła, wszakże od czasu do czasu podnosi głowę i przysłuchuje się rozmowie).

P. Moranowski *(nucąc)*.

Trum, trum, trum...

Jan.

Jakże pan marszałek zadowolony ze swego powiatu, wszystko idzie w porządku?

P. Moranowski.

Ooo... tak, tak.

Jan.

Członkowie rady zapewne czynni?

P. Moranowski.

Aaa... czynni.

Jan.

W miasteczku usposobienie mieszczan dobrę?

P. Moranowski.

Do...dobre, bardzo dobre. (*n. str.*) On protokół ze mnie ciągnie.

Jan.

W istocie?... I nie okazują się czasem między nimi jakie tendencje, tak trochę ultra...

P. Moranowski.

Montańskie, nie bynajmniej.

Jan.

Nie to rozumiałem, lecz demagogiczne.

P. Moranowski (*n. str.*).

Masz go! (*głośno*) Tak dalece... właściwie... nie wiem... zresztą co mnie to obchodzi.

Jan.

Sądziłem, że walka z żywiołami obcemi i krajowi szkodliwemi każdego obchodzić powinna.

P. Moranowski (*n. str.*).

Myślisz, że mnie złapiesz, ho, ho, ho!

Jan.

A jakże w gospodarstwie, z ludu, z oficyalistów pan jesteś kontent?

P. Moranowski.

Bardzo, bardzo poczciwi ludzie. (*n. str.*) Wszystko będę chwalił, to najbezpieczniej.

Jan.

I z sekretarza rady powiatowej?

P. Moranowski (*n. str.*).

Jest! (*głośno*) Najzacniejszy, najpoczeiwszy człowiek.

Jan.

To mnie dziwi: miałem o nim inne wyobrażenie. Myślałem, że to jeden z tych ludzi, których zdania i czynności tylko z osobistych wpływają widoków.

P. Moranowski (*urazony*).

Bardzo się pan myślisz; za tego ręczę, jak za siebie.

Jan.

A gdybym panu dowiódł, że on w to, co mówi, nie wierzy, najgorszy wpływ wywiera i pana oszukuje.

P. Moranowski (*w złości*).

Dosyć już tego, mój panie! Kto mego przyjaciela obraża, mnie obraża.

Hrabla (*który wstał, po cichu do Jana*).

Widzisz!

SCENA XXIII.

Ciż, Ludmiła, Helena (*wchodzą po lewej*).

Ludmiła.

Jak uważam, znowu dyskusya polityczna.

P. Moranowski.

Tym razem całkiem osobista. (*Idzie do drzwi szklanych i patrzy na ogród; po chwili zaczyna bębnić na szybie*).

Jan (*żartobliwie*).

Nawet burza i ulewa nie zdołały nas ostudzić.

Ludmiła (*n. str.*).

Niežnośnie poufały. (*siada na kanapie, głośno*)
A ogień na kominku. Komuż ten dobry pomysł za-
wdzięczamy? (*Jan rozmawia po cichu z Heleną, śnać*
dosyć wesóło, w środku sceny trochę w głębi).

Hrabia (*który się chciał zbliżyć do Heleny zatrzymany zapy-
taniem Ludmiły*).

Panu szambelanowi było zimno.

Ludmiła.

Nie uwierzysz hrabio, czem są dla mnie na wsi
kominek i księżyc; bez nich popadłabym w melancholię.
(*do p. Moranowskiego*) Ach proszę cię, przestań bębnić
na szybie! (*P. Moranowski przestaje bębnić, chwilę stoi*
nieruchomy, potem zaczyna chodzić w głębi tam i nazad
ze spuszczoną głową i rękami za plecami, czasem jednak
niemi macha, jak gdyby sam ze sobą rezonował. Ludmiła
do hrabiego, który jej słucha z widoczną niecierpliwością).
Wpatrując się w nich, lubię dumać, lubię wodzę roz-
puścić fantazyi; płomień jednego, światło drugiego są
dla mnie studnią, w której się moje natchnienie zapala.

Hrabia (*n. str.*).

Czemuż się nie utopiło!

Ludmiła.

Prawda, że i bogactwo myśli jest czasem uciążli-
wym i tak na przykład w tej chwili wpada mi na
myśl kilka rymów do zaczętej poezyi. Wszakże po-
zwolisz hrabio, że je sobie zanotuję. Nieprawda sans

façons. Helenko, żeby się hrabia nie nudził, pokaż mu tymczasem album z twojemi rysunkami. *(dostaje z kieszeni książeczkę do notatek i w niej ołówkiem zapisuje).*

Helena *(żywo).*

Proszę mamy...

Hrabia *(do Heleny).*

Czy nie będę tak szczęśliwym?...

Helena *(zmięszana).*

Nie masz pan o co prosić, kilka małych widoków z okolicy.

Hrabia.

Mnie rysunki niezmiernie zajmują. *(Helena idzie do stolika po prawej, dostaje z szuflady album i podaje je hrabiemu, który obok niej stanął od strony okna. Jan idzie do p. Moranowskiego, który zrazu zdaje się dąsać, jednak zaczyna odpowiadać i tak chodzą w głębi, rozmawiając po cichu aż do wejścia Szmucera i barona).*

Helena *(podając album).*

Proszę pana.

Hrabia.

Dziękuję pani. *(zaczyna przeglądać album, ona stoi ze spuszczonei oczami).*

Ludmiła *(wznosząc oczy w górę, półgłosem).*

W miłości pęta... pęta, hm, *(szybko)* jęta, cęta, bęta, dęta, nadęta... tak, dusza nadęta. *(pisze).*

Hrabia.

Rysunek lekki, śmiały, przytem dokładny; znać że pani wiele z natury rysowałaś.

Helena.

Dawniej się tem więcej zajmowałam.

Hrabia.

Nim pani wzięłaś na siebie cały ciężar gospodarstwa.

Helena (*półgłosem*).

Zkąd pan to wiesz?

Hrabia (*powoli i znacząco*).

Patrzę, podziwiam i za przykładem pójdę. (*Chwila milczenia*). Co widzę, mój zamek!

Helena (*żywo*).

Przejeżdżałyśmy tamtędy, jako zabytek starożytności naszkicowałam... (*Hrabia z zachwyceniem spogląda jej w oczy, które ona spuszcza bardzo zmięszana*).

Hrabia (*po chwili oddając album zamknięte*).

Niezmiernie, nieskończenie pani dziękuję.

(*Helena przechodzi na lewo sceny, bierze ze stolika robotę, siada po lewej Ludmiły i drżącą ręką zaczyna haftować*).

Hrabia (*n. str.*).

Czyby to być mogło!

SCENA XXIV.

Ciż, Szmucer, Baron.*(Szmucer, za nim Baron wchodzą w głębi).***Baron.**

Dam panu trzy...

Szmucer *(zniecierpliwiony).*

Dajże mi pan baron pokój! *(Przechodzi po za kanapę i od kominka damom się kłania. Hrabia bierze znowu album, roztwiera i przypatruje się rysunkowi).*

P. Moranowski.

Cóż to, sprzeczka?

Baron *(żywo).*

Nie, zgoła nie. Ja prosił, żeby mi napisał jedno podanie, ale on powiada, że nie ma czasu.

Jan *(n. str.).*

Uhm!

Ludmiła.

Gdzież baron mego brata podziałeś?

Baron *(trochę zmieszany).*

Nie wiem... tu go zostawiłem.

Jan.

Widziałem, że wszedł do swego pokoju i tam się zamknął.

P. Moranowski.

Pewnie oblicza przyszłe miliony.

Szmucer *(do Ludmiły)*.

Pani tworzysz?

Ludmiła.

Nakreśliłam parę wierszy. *(podaje mu książeczkę)*
Ale, cóż to za milczenie, przepraszam za moją niegrze-
czność; czy gazet nie przyniesiono z poczty?

P. Moranowski *(przychodząc naprzód sceny)*.

Prawda, gdzie są gazety? A, leżą na stole; jest
i kilka listów. *(idzie do Ludmiły i podaje jej listy)* To
twój departament. Kto chce gazety?

Baron.

Jakie tam kursa? *(P. Moranowski podaje mu gazetę)*.

Ludmiła *(przyglądając się listom)*.

Od Matyldy. *(do p. Moranowskiego)* To do ciebie,
jakiś prospekt. *(oddaje mu list drukowany; do Szmucera)*
Jest i do pana. *(oddaje mu list)*.

Szmucer.

Ślicznie dziękuję. *(chowa list do kieszeni, nie spoj-
rzawszy na niego)*.

Ludmiła.

Teraz panowie chwila czytania, ktoby miał jaką
ciekawą wiadomość, prosimy o nią.

Szmucer *(do Ludmiły)*.

Pani pozwala?

Ludmiła *(już swój list czytając)*.

Proszę pana.

<http://rcin.org.pl>

Szmucer (*dostaje list i spogląda na kopertę*).

Z Wrocławia, nie znam tego pisma. (*rozdiera kopertę i rzuca ją do kominka, sam idzie list czytać przy drzwiach szklanych. Jan go z początku obserwował, ale od chwili, jak kopertę wrzucił do kominka, już wcale na niego nie patrzy i zbliża się do barona, który przegląda kursa w gazecie*).

P. Moranowski (*który założywszy pince-nez, czytał prospekt*).

Jest! Chwała Bogu nowe towarzystwo! (*zarzuca w złości pince-nez przez ramię na plecy, prospekt muie w rękę i zaczyna chodzić po pokoju*).

Baron.

Anglosy spadły.

Jan (*dobrodusznie*).

Ktoby się był spodziewał!

Baron.

Ja, dlatego zawczasu sprzedałem.

Jan.

Dobry węch.

Baron.

Już to jak ja wącham, tak nikt nie wącha.

Szmucer.

A!

Ludmiła, p. Moranowski, Baron (*razem*).

Co się stało? (*Ludmiła i Helena wstają, Jan się tylko spokojnie bejrzał*).

Szmucer (*przychodząc na środek sceny*).

Czy to by <http://rcin.org.pl>

Ludmiła, p. Moranowski, Baron *(razem)*.

Co? co?

Szmucer.

Gdzie koperta? *(rzuca się ku kominkowi)* Spalona!

Ludmiła.

Przestraszasz mnie pan!

P. Moranowski.

Co ci jest?

Szmucer *(drżący)*.

Czy to sen? Wszak my tu jesteśmy na jawie!...
ja żyję... nie śnię... wszak stempel widziałem!

P. Moranowski.

Jaki stempel?

Ludmiła.

Dla Boga, co panu jest?

Baron.

Co jest? co jest?

Szmucer.

Proszę państwa... jeżeli to sen, obudźcie mnie...
jeżeli żart, nie dręczcie! *(Ihrabia robi żywo krok ku
Szmucerowi, jak gdyby chciał przemówić, Jan chwytła go
za rękę)*.

Jan *(cichy z siłą)*.

Milez, tu litość byłaby słabością!

Szmucer *(patrzac po wszystkich)*.

Ale nie, wy nie wiecie... Na waszych twarzach
przestrach, zadziwienie; wy nie nie wiecie! Panie
marszałku czytaj, ja nie mogę! *(podaje mu list zmięty)*.

P. Moranowski (także bardzo wzruszony uderza ręką po liście by go rozprostować i zaczyna się macać, szukając pince-nez).

Gdzież do diabła pince-nez podziałem!

Ludmiła (wyrywając mu list).

Ja przeczytam! (czyta) „Jaśnie Wielmożny Panie!
 „Dnia siódmego grudnia 1870 roku umarł, bezdzietnie,
 „na swoim zamku Schmutzenhausen, w księstwie Reis-
 „Schleis, Jaśnie Wielmożny Hrabia Arnold Schmutzer
 „von und zu Schmutzenhausen, nie zostawiwszy testa-
 „mentu i jak mniemano, ostatni swego rodu. Wszakże
 „przez sąd wyznaczony kurator ogłosił w gazecie urzę-
 „dowej księstwa Reis-Schleis wezwanie, by się spadko-
 „biercy, jeżeli się jacy znajdują, zgłosili. Trudniąc się
 „podobnemi interesami i znając niegdyś w Krakowie
 „Wielmożnego Fryderyka Schmutzera, doszedłem primo,
 „że majątek po ś. p. Hrabiu Arnoldzie von und zu
 „Schmutzenhausen, wynosi w dobrach i kapitałach
 „trzykroć pięćdziesiąt tysięcy talarów; secundo, że
 „istniała druga, młodsza linia Wielmożnych Schmutze-
 „rów, której ostatnią (jak wtedy sądziłem) latoroślą
 „był ów Wielmożny Fryderyk Schmutzer. Napisałem
 „więc do Krakowa, lecz odebrałem smutną wiadomość,
 „że ś. p. Wielmożny Fryderyk Schmutzer już przed
 „dwoma laty swój doczesny żywot zakończył, zosta-
 „wiając jednak syna Ferdynanda, którego miejsce po-
 „bytu nie było znane. Dopiero teraz dowiedziałem się
 „od przejeżdżającego rodaka, że Jaśnie Wielmożny Pan
 „masz być tym Ferdynandem Schmutzerem. Jeżeli Pan
 „zatem jesteś synem ś. p. Fryderyka i Kunegundy
 „Schmutzerów, chciej się Pan do mego bióra zgłosić
 „lub przesłać mi dowody legitymujące Pańskie pocho-
 „dzenie, a ja bezzwłocznie dostarczę Panu potrzebnych

„dokumentów do objęcia sukcesyi oraz tytułów po ś. p.
 „Jaśnie Wielmożnym Arnoldzie Hrabi von und zu Schmutzenhausen. W nadziei, że Jaśnie Wielmożny Pan zechcesz mnie w przeprowadzeniu tego interesu swoim zaufaniem zaszczycić, mam honor pisać się z najgłębszym uszanowaniem Jaśnie Wielmożnego Pana i Dobrodzieja najniższym sługą, Ham... Hem... Hend...
 „Not... Not...

P. Moranowski.

Notaryusz.

Ludmiła *(mówi).*

Niewyraźny podpis. *(czyta)* Wrocław dnia 11 sierpnia 1871 roku.

Szmucer.

Sześć dni temu.

Baron *(uderzając się w czoło, przed siebie).*

O, ja wól!

Szmucer.

Więc to prawda, to nie sen! Ja... ja... jestem panem... ja jestem hrabią! *(pada na krzesło na pół omdłony, wszyscy się koło niego grupują).*

(Zastona spada).

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

<http://rcin.org.pl>

AKT IV.

(Teatr jak w poprzednim akcie).

SCENA I.

B a r o n (*sam*).

(Przy podniesieniu kurtyny baron siedzi przy stoliku po prawej w postawie zupełnego pogiębienia. Głowa i ręce zwieszane, wzrok w ziemię wlepiony; chwila milczenia).

Baron (*uderzając się w czoło*).

O, ja wól! O, ja wól! (*zrywając się*) Trzysta pięćdziesiąt tysięcy talarów! I ten przeklęty pan Jan każe mi za to dawać cztery tysiące! Ja daję finf hundred, potem tausend, cwaj tausend, nareszcie trzy tysiące; ale on mnie słuchać nie chce. Ja dobrze powiedział, co tamten nyszigen! Kto za drajmalhundert fifeig ofiaruje fer tausend? Gdyby był powiedział, trzeba było dać cen, fifeen, cwancig tausend ranesz! Ale i on głupi i ja głupi i oba cwaj my głupi!

SCENA II.

Baron, Elski.

Elski (*wchodząc w głębi blady i bardzo zmięszany*).

Wszystko stracone!

Baron.

Oj stracone, stracone!

Elski.

Już wiesz, wszak dopiero telegram odebrałem.

Baron.

Znowu telegram?

Elski.

Policya wpadła do naszych biur...

Baron (*żywo*).

Do waszych, do waszych...

Elski.

Opieczętowała wszystko, proces wytoczony.

Baron.

A nie mówiłem?

Elski.

Mój sekretarz zdołał uciec; telegrafuje mi żebym się także wynosił, bo będę aresztowanym. Ty jeden możesz mi pomóc...

Baron.

Co ja, w czym ja ja nie mogę.

Elski.

Pożycz mi kilkanaście tysięcy; dziś jeszcze wyjadę za granicę. Ztamtąd wszystko pieniędzmi da się zrobić.

Baron.

Kilkanaście tysięcy! Ja nie mam... właśnie wielką stratę miałem!

Elski.

Przecie mi dziś jeszcze mówiłeś, że zarobiłeś trzydzieści tysięcy na anglosach.

Baron.

Ale od rana straciłem trzysta pięćdziesiąt...

Elski.

Bajki!

Baron.

Piękne bajki!

Elski.

No baronie, mój baronie pożycz.

Baron.

Nie mogę, toby mój kredyt zachwiało.

Elski.

Zaklinam cię...

Baron.

Ja się w sprawy kryminalne nie wdaję.

Elski.

Oddam ci Helene.

Baron.

Ja się i tak ożenię... teraz jeszcze łatwiej.

Elski (*klękając*).

Patrz, klękę przed tobą.

Baron (*odwracając się*).

Nie widzę.

Elski (*zrywając się*).

Niech cię piorun trzaśnie. — Odjeżdżam, ale napiszę do Ludmiły, żeby ci Heleny nie dała.

Baron.

Ja się przecie ożenię.

Elski.

Pierwej tobie albo sobie w łeb strzelę!
(*wybiega w głębi*).

SCENA III.

Baron sam, później Jan.

Baron (*który na słowa w łeb strzelę, drgnął*).

Co strzeli? Zkąd strzeli? Z pozagranicy? Niech strzela... sobie!

Jan (*wchodząc w głębi*).

Cóż to się panu Elskiemu przytrafiło? Spotkałem go z tak zmienioną twarzą.

Baron.

Nie to, nie, ale dobrze, że ja pana spotykam; pięknie się pan podpisał. (*widząc że się Janowi śmiać chce*) Co tu się śmiać?

Jan.

Cóż mam robić, płakać? Na coby się to przydało, co stracone, to stracone.

Baron.

Ja wiem co stracone, ale dlaczego pan mi nie powiedział, że to trzysta pięćdziesiąt tysięcy!

Jan.

Bo nie wiedziałem.

Baron.

Co pan nie wiedział! Gdzie pan nie wiedział, kiedy pan dawał cztery tysiące a mnie dwa to sześć! Kto to widział za taki majątek dawać sześć tysięcy!

Jan.

Ale uspokój się panie baronie, prawdziwie nie pewnego nie wiedziałem. Przejeżdżając przez Kraków, słyszałem coś... o jakiejś sukcesyi, ale mi na myśl nie przyszło żeby mogła być tak znaczną.

Baron.

Czemu panu nie przyszło na myśl? Kto chce mieć pieniądze musi myśleć. (*do siebie*) Drażmal hundert fifeig tausend!

Jan.

Słuchaj panie baronie, co się stało, to się nie odstanie. Nie udało się, szkoda nie ma co mówić, ale teraz o to chodzi, żeby się pan baron nie skompromitował.

Baron.

Ja się już skompromitowałem kiedy ja straciłem taki majątek.

Jan.

Nie w tym sensie mówię, ale żeby się nie wydało, że pan o sukcesyi wiedziałeś.

Baron (*z westchnieniem*).

Gdybym był wiedział!

Jan.

Pan Szmucer zapewne będzie pana względem tego wypytywać.

Baron.

To ja mu powiem, że ja dla pana chciałem robić interes.

Jan.

Więc go pan dla siebie zrobić chciałeś?

Baron (*zdekoncertowany*).

No... no... tego nie powiem.

Jan.

Czy dla mnie, czy dla siebie zawsze interes niekoniecznie czysty, skompromitowałby pana i mnie tak w oczach hrabiego Schmutzenhausen, który dziś jest wielkim panem jak i państwa Moranowskich. Wiadomo panu jak wysoko oni cenią pana Szmucera, to jest hrabiego; (*drwiąco*) mogłoby to panu bardzo zaszkodzić i u panny Heleny.

Baron.

Prawda słusznie, bardzo słusznie. Ale co powie-
dzieć jak on będzie pytał?

Jan.

Przedewszystkiem wyprzeć się, że pan o czemkolwiek wiedziałeś, chociażby pana miano posiekać.

Baron.

Na co siekać, ja nic nie wiedział.

Jan.

A gdyby pana bardzo naciskał możesz pan wreszcie powiedzieć to co pan już bardzo zgrabnie rzuciłeś...

Baron.

Ja nic nie rzucił.

Jan.

O czem pan wspomniałeś, że potrzebując czasem usług pana Szmucera jako sekretarza rady powiatowej, wiedząc przytem, że nie jest bogatym, chciałeś mu pan w delikatny sposób przyjść w pomoc.

Baron.

A, tak, tak.

Jan.

To się wyda wspaniałomyślnie i ładnie z pańskiej strony i pannie Helenie się spodoba a teraz już nie kosztować nie będzie.

Baron.

Nie będzie... bardzo dobrze... podobam się... wspaniałomyślnie i ładnie... dobrze pan mówisz. Dziękuję panu.

Jan.

Zatem pamiętaj panie baronie ani mru-mru, ani pan pisnij!

Baron.

Nie pisnę.

Jan (patrząc w stronę drzwi po lewej).

Zdaje mi się, że panna Helena nadchodzi.

Baron.

Bardzo się cieszę, bo ja jej zaraz powiem...

Jan.

Nie pan nie mów — na co? Hrabia Schmutzenhausen pierwszy pana wypytywać będzie, wtedy się wszyscy o pańskim pięknym czynie dowiedzą.

Baron.

I ona?

Jan.

Oczywiście i cała Galicya.

Baron.

Bardzo, bardzo dobrze.

SCENA IV.

Baron, Jan, Helena.

(Helena wchodzi drzwiami po lewej, spokojna, radość w niej przebijać powinna).

Jan.

Mówimy tu właśnie z panem baronem o dzisiejszym niespodzianem zdarzeniu.

Helena.

Bardzo się tem ucieszyłam.

Baron.

Ja także, bo to bardzo przyjemnie widzieć jak kto bierze sukcesyę.

Helena (z wejrzeniem na Jana).

Moje ukontentowanie może nie zupełnie z tej przyczyny pochodzi.

Jan (n. str.).

Cóżby to było, gdyby wiedziała!...

Baron.

Ja bo z natury jestem wspaniałomyślny.

(Helena odwraca się by się nie śmiać).

Jan (do barona cicho).

Nie teraz, nie teraz.

Baron (taksamo).

Ja chciałem ją przygotować.

Jan (cicho).

Później, teraz odejść pan baron dyskretnie.

Baron (taksamo).

Po co odejść, kiedy ja tu lubię zostać! *(głośno)*
Ja właśnie gadam do pana Jana, że ja bardzo lubię koło pani być.

Helena.

Pan baron zawsze mówisz komplementami.

Baron (z ogniem).

Panno Heleno prawdziwie...

Jan (cicho).

Dosyć na raz, odejść pan baron.

Baron (*taksamo*).

Dlaczego?

Jan (*taksamo*).

Zbyt gwałtownym jesteś; spłoszysz ją pan.

Baron (*taksamo z zadowoleniem*).

Ja zbyt gwałtowny! (*głośno*) Panno Heleno prawdziwie... ja mam honor się kłaniać.

Helena.

Do widzenia panie baronie.

Baron (*n. str.*).

Powiedziała do widzenia! Ach! (*głośno*) Do widzenia panno Heleno, do widzenia. (*wychodzi w głębi*)
Au revoir.

SCENA V.

Helena, Jan.

Jan.

Przecie panią od niego uwolniłem.

Helena.

Od chwili jak pan wstąpiłeś do naszego domu cały horyzont zdaje się rozjaśniać.

Jan.

Wszakże dziś rano pani mówiłem miejmy dobrą nadzieję.

Helena.

Wszystko tak raptownie dobry obrót wzięło, że się prawie lękam. Któż byłby się spodziewał, że tak szczęśliwy wypadek nas od pana Szmucera uwolni.

Jan.

Uhm... a tak... *(n. str.)* Wypadkiem byłem trochę ja tym razem.

Helena.

Wyrzucam sobie moje dzisiejsze zwątpienie. Są chwile w życiu, w których mimowoli się zdaje, że nas wszystko opuszcza. O, jakże niesłusznie, jakże nam się później naszej słabości wstydzić wypada.

Jan.

Początek dobry, wszakże jeszcze nie wszystkie trudności zwalczone.

Helena.

O, nie mów pan tego, ja mam nadzieję i panu ją zawdzięczam *(podaje mu rękę)*.

Jan *(zmiieszany)*.

Ja... panno Heleno... ja...

Helena.

Nie wypieraj się pan, że pański powrót przyniósł mi spokój... może szczęście, ja chcę temu wierzyć.

Jan *(n. str.)*.

Boże mój, Boże, czy to podobna!

Helena.

Pan milczysz, — rozumiem, nie chcesz sobie przypisywać zasługi tam gdzie wyraźnie ręka boska wszystko prowadzi.

Jan.

Radość... szczęście!... *(n. str.)* Odejdę bo głowę tracę!

Helena.

Nie, nie, jeszcze zbyt się nie cieszymy, ale miejmy ufność i nadzieję.

Jan.

O miejmy, miejmy nadzieję!... Ale pani wybaczy... ja... ja... taka radość... muszę trochę myśli pozbierać.

(wybiega szklanemi drzwiami).

SCENA VI.

Helena *(sama).*

Co jemu jest?... takie wzruszenie... pocziwy może się domyśla... wszak to jego przyjaciel. *(Idzie do stolika po prawej bierze album, otwiera i przypatruje się rysunkowi).* Sama sobie nie wierzę a serce wierzyć każe. — On mnie kocha. — Boże, dzięki tobie, tobie jednemu za tyle łaski, za tyle szczęścia!

SCENA VII.

Helena, Szmucer.

(Szmucer wchodzi w głębi; w głosie, postawie i ruchach odmienny od tego czem był w poprzednich aktach. Widać w nim pewność siebie i zadowolenie).

Szmucer.

Tak rzadko zdarza się sposobność mówienia z panią, że można ją sobie do szczęścia policzyć.

Helena (*jakby śród marzenia niemile przebudzona, spojnie jednak zamyka album i chowa do szuflady; zimno*).

Zdaje mi się, że się dosyć często widzujemy.

Szmucer.

Dla mnie nigdy dość często.

Helena (*chcąc odejść*).

Pan wybaczy...

Szmucer.

Pani mnie unikasz.

Helena.

Bynajmniej, ale pan wiesz ile mam w domu zatrudnienia.

Szmucer (*ironicznie*).

Nie zdawało się przed chwilą, byś się pani bardzo do niego spieszyła.

Helena (*urazona*).

Sądzę, że mój czas do mnie należy. (*chce odejść*).

Szmucer (*zastępując jej drogę*).

Panno Heleno, jeżeli panią mimowoli obraziłem, nie chciej tego przypisać złej woli, ale uczuciu...

Helena.

Ani słowa więcej, nie dodawaj pan obelgi do urazy.
(*wychodzi po lewej*).

SCENA VIII.

S z m u c e r (*sam*).

Obelgi do urazy! Moja miłość jest obelgą! (*chodzi bardzo wzruszony*) Nienawidzi mnie... lecz to jeszcze więcej uroku jej dodaje. — Przełomię tę hardą duszę, którą nawet moje terażniejsze położenie olśnić się zdołało. (*wskazując miejsce na piersiach gdzie ma pulares*) Chcesz nie chcesz, będziesz brabiną von und zu Schmu-tzenhausen!

SCENA IX.

Szmucer, Ludmiła.

Ludmiła.

Jeszcze jednej wolnej chwili nie miałam, by pomówić z panem, mój drogi przyjacielu, a tak pragnęłam, nie przed obojętnymi, ale sam na sam powiedzieć ci jak niezmiernie pańskim szczęściem się cieszę.

Szmucer.

Bardzo obowiązany jestem.

Ludmiła.

Moja radość tem większa, że jeżeli mam wyznać szczerze, w naszej przyjaźni, w tej idealnej miłości łączącej nasze dusze czułam... jakby pewną dysharmonię...

Szmucer (*ironicznie*).

W istocie?

Ludmiła.

Nie umiałam sobie zdać sprawy z mego uczucia, wszakże w naszej różnicy stanu było coś...

Szmucer.

Co pani sumienie zatrważało względem Szmucera a zaspakaja skoro idzie o hrabiego Ferdynanda.

Ludmiła.

Przyznaj jednak przyjacielu, że tak jest lepiej.

Szmucer.

Nie przeczę, zwłaszcza dla mnie.

Ludmiła.

Powiedz mi drogi panie Ferdynandzie, mój list cię ucieszył?

Szmucer.

Nad wszelki wyraz.

Ludmiła.

Ile razy go odczytałeś?

Szmucer.

Hmm... kilka razy.

Ludmiła.

Tylko kilka?... Ale prawda nie miałeś dotąd powodu do rozpacz.

Szmucer.

Żadnego.

Ludmiła.

I mnie zawdzięczasz... Ach, jak błogiem jest uczucie kogoś uszczęśliwiać!

Szmucer (*n. str.*).

Oooo, nudna!

Ludmiła.

Ale jesteś jakiś roztargniony, może masz jakieś zmartwienie... podziel ze mną twoje troski kochany panie Ferdynandzie.

Szmucer.

Nie, żadnych trosk nie mam, przeciwnie...

Ludmiła.

Rano byłeś jednak inszym gdy mówiłeś o świetłym meteorze, powtórz, jak to było?

Szmucer.

Niepamiętam co w zapale powiedziałem.

Ludmiła.

To wzbudź zapal.

Szmucer.

Gwałtowne wzruszenia, które przeszedłem... nie mogę.

Ludmiła.

Chcesz, odczytam ci moją ostatnią odę do miłości.

Szmucer.

Nie nie nie,... nie teraz.

Ludmiła.

Cóż ci jest, tak jesteś zimnym... Może przynieść moje dzieło, trzydziesty siódmy rozdział...

Szmucer (*zniecierpliwiony*).

Ale nie, co mi tam...

Ludmiła.

Co słyszę! Co, co pan wyrzekłeś! Więc ów węzeł, który nasze dusze łączył...

Szmucer.

Węzeł się znajdzie, może wprowadzie inszy...

Ludmiła.

Inszy?...

SCENA X.

Ciż, Drzymierski.

(Podczas tej sceny i następnej Ludmiła znać rozdrażniona i niemilkiemy miśłami zajęta).

Drzymierski (*wpadając w głębi*).

Ce cher Comte! Wszędzie cię szukam, pytam o ciebie, rozbijam się na wszystkie strony, żeby cię uściskać i powinszować tytułu i majątku! (*ściska go*).

Szmucer.

Bardzo dziękuję panu szambelanowi.

Ludmiła (*n. str.*).

Jaki on inny węzeł mógł rozumieć.

Drzymierski.

Mówże do mnie „ty” kochany hrabio, przecie między hrabią von und zu, a vice-hrabią, bo wiesz, że moja matka była vice-hrabaną Pempuchac de la Culevière, „pan” jest zbyt ciężkie. Nie prawda?

Szmucer.

Jak rozkażesz kochany vice-hrabio.

Drzymierski.

Ale powiedzże mi jak się to stało, dostałeś list od nieboszczyka... od notaryusza chciałem powiedzieć, wiem, wiem, ale przecie napisałeś, telegrafowałeś? Czy może sam jedziesz do Wrocławia, ztamtąd do Schmutzenhausen. Von und zu Schmutzenhausen wspaniałe nazwisko!

Szmucer (*żywo*).

Znasz je?

Drzymierski.

Nie, ale zobaczę w herbarzach. Niestety nie mam ich tu pod ręką, a mój nieodstępny almanach de Gotha gdzieś mi się zapodział. Kto wie może między nami znajdzie się jakieś pokrewieństwo. Między rodem hrabiów von und zu Schmutzenhausen a vice-hrabią Pempuchac de la Culevière, łatwoby to być mogło, chociaż sobie nie przypominam. Może jesteśmy kuzynami. Cieszyłoby mnie to niezmiernie (*ściska go*).

Szmucer (*n. str.*).

Mnie z Drzymierskiemi nie bardzo.

Drzymierski.

Ale mi nie odpowiedziałeś? Cóż, telegrafowałeś czy jedziesz?

Szmucer.

Oczywiście, chciałem natychmiast telegrafować, ale z tą nieszczęsną manią niewyraźnych podpisów, nie wiem do kogo adresować; telegrafowałem zatem na-przód do policyi wrocławskiej, prosząc by przysłała nazwiska i adresy wszystkich notaryuszów na H., bo to jedna wyraźna litera podpisu.

Drzymierski.

Charmant, charmant, nie można dowcipniej.

Ludmiła (*n. str.*).

Muszę się z nim rozmówić.

SCENA XI.

Ciż, Baron, Jan.

Szmucer (*spostrzegając wchodzących w głębi, złośliwie*).

Aa! Baron!

Drzymierski (*cicho do Ludmiły*).

Ludmilciu, mnie jedna myśl przyszła. (*Siada obok niej na kanapie od strony kominka i prawie do ucha jej coś mówi. Na pierwsze jego słowa Ludmiła drgnęła, żywo mu odpowiada; gdy on zdaje się nalegać, zniecierpliwiona*

odwraca się od niego. Z początku tej sceny Jan, to się ogląda ku drzwiom po lewej, to idzie do okna, jak gdyby wyglądał Heleny).

Baron.

Otóż i jest nasz kochany nowy hrabia! Od razu ja nie chciałem się naprzykrzać, bo jak się panu tak słabo zrobiło, marszałek nas wszystkich za drzwi zaprosił, ale teraz ja przychodzę także powinszować.

Szmucer *(zimno).*

Dziękuję baronowi.

Baron.

Ja się bardzo, bardzo cieszę.

Szmucer *(ironicznie).*

A ja temu bardzo, bardzo wierzę. *(Baron tak się dekoncertuje, że na wszystkich się ogląda chcąc coś przemówić, ale słowa znaleźć nie może).*

Drzymierski *(cicho do Ludmiły).*

Wierzaj mi to byłaby doskonała partya dla Helenki, von und zu...

Ludmiła *(żywo, półgłosem).*

Sensu nie ma!

Szmucer *(n. str.).*

Poczekaj podstępny baronie!

Baron *(jakby myśl znalazł).*

Pani znowu poetyzuje?

Ludmiła *(spoglądając na Szmucera).*

Nie, o prozie życia myślałam.

Jan.

W ogóle życie zawiera więcej prozy niż poezyi, trzeba jednak przyznać, że dzisiejszy wypadek niespodzianej sukcesyi ma w sobie wiele poezyi.

Ludmiła (*zrywając się*).

Nieznajduję (*cicho do Szmucera przechodząc po przed niego*). Staraj się pan ich pozbyć i czekaj tu na mnie.

(*wychodzi szklanemi drzwiami*).

SCENA XII.

Ciż bez Ludmiły.

Baron.

Pani marszałkowa czegoś zła.

Szmucer.

Nerwy kobiece (*siada na kanapie*).

Drzymierski.

Może poduszeczki?

Szmucer (*rozpierając się*).

Dziękuję. — Ale teraz przyznaj się kochany baranie zkąd o mojej sukcesyi naprzód wiedziałeś?

Drzymierski.

Jakto baron wiedział?

Baron.

To nie ja...

(*Jan daje z tyłu szturkańca w zióbro baronowi*).

Szmucer *(n. str.)*.

Drgnął. *(głośno)*. No, — trochę szczerości, — gniewać się nie będę.

Baron.

Ja na honor nie nie wiedział.

Szmucer.

Ależ baronie, baronku drogi.

Jan.

Czemże to hrabia biednego barona prześladujesz?

Szmucer *(śmiejąc się)*.

Wystawcie sobie panowie, baron ofiarował mi trzy tysiące...

Baron.

Bo ja taki wspaniałomyślny...

Szmucer.

Ha, ha, ha! wspaniałomyślny! Powiedz raczej że masz w Wrocławiu doskonałego korespondenta. *(uderzając pięścią w stół i zrywając się)*. Ale ten korespondent musi wiedzieć nazwisko notaryusza!

Baron.

Niech szczęśliwie do domu nie zajadę...

Szmucer.

Nie chcesz powiedzieć, — mniejsza o to, jutro, pojutrze będę miał odpowiedź.

Jan *(n. str.)*.

Więc mamy czas do jutra!

SCENA XIII.

Ciż, p. Moranowski, Marcin.

(P. Moranowski wchodzi w głębi, pod każdą pachą trzyma po jednej butelce, prócz tego w rękę niesie zapaloną świecę. Za nim niesie Marcin tacę z kieliszkiem).

P. Moranowski (*z dobroduszną wesołością*).

Otóż jestem. Chodziłem sam do piwnicy po węgryzna i to z dobrego kąta, by wypić zdrowie naszego kochanego... jakże mam powiedzieć Szmucerka, czy hrabiego von zu...

Szmucer.

Dla kochanego marszałka zawsze będę Szmucerkiem, albo Ferdynandem.

Jan (*n. str.*).

Trzymaj się teraz dobrze Ferdusiu!

P. Moranowski (*do Marcina*).

Postaw to tutaj. — Niechże mi który z was pomoże.

(*Jan pomaga mu postawić butelki na stole; Marcin skoro tacę postawił, wychodzi w głębi*).

Drzymierski.

Ja siadam obok kochanego hrabiego.

P. Moranowski (*zdmuchując św. ecę*).

Ale gdzież są Michał i hrabia?

Szmucer (*który się zbliżył do okna odwracając się żywo*).

Jestem tu. <http://rcin.org.pl>

P. Moranowski.

Widzę, ale o hrabiego Leona pytałem.

Jan.

Musi być w ogrodzie, albo u siebie, pewnie zaraz przyjdzie.

P. Moranowski (*nalewając kieliszki*).

A Michała nikt z was nie widział?

Baron.

On... podobno wyjechał.

P. Moranowski.

Wyjechał? kiedy? dokąd?

Szmucer.

Do pociągu, przed kwadransem; byłem przypadkiem na dziedzińcu gdy siadał do powozu. Kazał wszystkim pożegnać. (*n. str.*) I zgubił telegram.

P. Moranowski.

Osobliwszy człowiek! Co to przecie jest gorączka robiebia milionów. Ale my zasiadajmy. (*Zasiadają w następującym porządku. P. Moranowski plecami do kominika w fotelu, obok niego na kanapie baron, przy nim Drzymierski. Szmucer w fotelu naprzeciwko p. Moranowskiego. Jan jedną nogą siada na poręczu kanapy między p. Moranowskim i baronem.*)

Baron (*do Jana, chcąc się posunąć ku Drzymierskiemu*).

Posadź się pan tutaj.

Jan.

Dziękuję, mnie tak doskonale,

P. Moranowski.

Niechaj nam więc żyje nasz poczciwy Szmucerek!

Drzymierski.

Hrabia von und zu Schmutzenhausen!

Baron.

Na zdrowie jego.

Jan.

Zdrowie hrabiego von und zu Schmutzenhausen...

Szmucer.

Dziękuję, dziękuję.

Jan.

Chociaż sędzę, że swego tytułu nigdy używać nie będzie.

Szmucer *(odstawiając kieliszek)*.

A to dlaczego?

Jan.

Myślałem, że się to pańskim zasadom sprzeciwi.

Szmucer.

Zapewne... nie dbam o tytuł...

Drzymierski.

O, o, hrabio!

Szmucer.

Ale skoro go się już raz ma, trudnoż się wyrzec urodzenia.

P. Moranowski.

Co tam urodzenie, aby serce było.

Baron.

Byle były pieniądze.

Drzymierski.

Comment, co tam urodzenie! Bardzo przepraszam,... gdyby mnie moja matka une Pempuchac de la Culevière niebyła urodziła...

Jan.

Nie żyłbyś pan prawdopodobnie.

Drzymierski.

Nie, ale...

Szmucer.

Dajmy pokój dyskusom; lepiej wypijmy zdrowie marszałka.

Wszyscy.

Zdrowie marszałka!

P. Moranowski.

Dziękuję, serdecznie dziękuję.

Jan.

Hrabia zapewne sprzedasz dobra w Niemczech i osiądziesz w przybranej ojczyźnie.

Szmucer.

Tego jeszcze nie wiem; żal byłoby mi zapewne opuszczać kraj, który tak pokochałem, ale Schmutzenhausen jest majątkiem rodzinnym... przywiązane do niego imię... tradycje... wszystko to są więzy...

Baron.

Ja więzów nie lubię, gdyby mi było niewygodnie, sprzedalbym. Co tu trzymać stary gr.

Szmucer *(żywo)*.

Grat! grat! kto panu powiedział, że mój zamek jest gratem?!

Baron.

No, ja nic nie gadam; tylko myślałem, że stary.

Szmucer.

Grat!

P. Moranowski.

No, no, panowie nie kłóćcie się, kieliszki pełne.

Drzymlerski.

Ja na miejscu brabiego zamieszkałbym w Schmutzenhausen, ale wziąłbym sobie ztąd żonę, dobrą, ładną z pięknem imieniem...

Jan.

Na pamiątkę.

Szmucer *(trochę rozweselony)*.

He, he, może i o tem pomyślę. *(ściska za rękę Drzymierskiego)*.

Baron *(cicho do Jana)*.

Co on będzie myślał, co?

Jan *(taksamo)*.

Szambelan swata.

P. Moranowski.

Wiesz co Szmucerku, przecie mi przykro, kto będzie rządzić bez ciebie powiatem. Może ty tam gdzieś w Niemczech będziesz marszałkiem.

Szmucer.

My się tam w Prusach w takie głupstwa nie bawimy.

P. Moranowski.

Głupstwa.

Drzymierski.

Pewnie że głupstwa; oni tam mają dziedziczne krzesła w parlamencie. Zagranicą wiedzą co się komu należy.

Szmucer.

Niestety od czterdziestego ósmego roku już tak nie jest.

Drzymierski.

Także miły roczek!

P. Moranowski *(do siebie)*.

Hm, głupstwa.

Jan.

· Wie hrabia co zrobiłbym na jego miejscu?

Szmucer *(poziwając)*.

Cóż takiego?

Jan.

Uświęciłbym dzień tak dla hrabiego szczęśliwy opuszczając wszystkim moim dzierżawcom przynajmniej połowę czynszu.

Baron.

Dlaczego od głupstwa zaczynać?

Drzymierski.

Podwyższyc to rozumien

Jan.

Teraz po wojnie ciężki rok. Ci biedacy nie mieli czem pól obrobić ni pozasiewać; z czegoż będą płacić?

Szmucer.

Co mnie do tego. A z czegoż ja utrzymam zamek, służbę, stajnię, etc. Mnie się nikt nie będzie pytał z kąd biorę pieniędzy, dlaczegóż mam się pytać z kąd oni wezmą. Niech płacą i kwita.

P. Moranowski *(n. str.)*.

Czy to ten sam człowiek?

Baron.

Zdrowie dzierżawców! *(wszyscy piją)*.

Jan.

Kiedy pan hrabia tego nie chcesz, zaproponowałbym co innego, bo przecie po tym dniu musi zostać jakaś pamiątka.

Baron *(n. str.)*.

Ja i tak będę miał pamiątkę.

Szmucer *(z niechęcią)*.

Cóż znowu takiego?

Jan.

Stań hrabia na czele składki.

P. Moranowski *(dobywając pularesu z westchnieniem)*.

Chętnie się przyczynię.

Szmucer *(ironicznie)*.

Naturalnie, jest i składka.

Jan.

Na bogatych.

Szmucer.

Czy pan drwiesz sobie ze mnie?

Jan.

Bynajmniej, ja myślałem tylko, że hrabia mając do tego wprawę...

SCENA XIV.

Ciż, Marcin.

(Wchodzi w głębi niosąc na tacy telegram).

(Szmucer rozgniewany obraca się z krzesłem twarzą do publiczności).

Marcin.

Telegram do pana Szmu.... do pana hrabiego. (podaje mu telegram).

Szmucer (z radością).

Telegram z Wrocławia. (rozdziera spiesźnie kopertę).
To mi policya!

Baron.

Może druga sukcesya!

Szmucer (zrywając się i mniąc w rękę telegram).

To bezczelność!

Wszyscy.

Cóż takiego?

Szmucer.

Poznaję w tem Wisiadlika, nie miał nie pilniejszego, jak telegrafować do redakcyi „Przyszłości“ o mojej sukcesyi. Pewnie on!

Jan.

Przepraszam, to ja się ośmieliłem; myślałem, że tem przyjemność zrobię hrabiemu.

Szmucer.

Dziękuję panu! Jeszcze grosza z majątku nie widziałem, już mi się dobierają do kieszeni! *(chcąc rzucić telegram na stół, trafia nim w brzuch p. Moranowskiego, odwraca się i chodzi rozgniewany na przodzie sceny).*

P. Moranowski.

Co się stało?

Szmucer *(nie patrząc na niego).*

Czytaj pan! *(do Marcina, który słuchał z otwartą gębą).* Czego się gapisz? Idź precz! *(Marcin wychodzi w głębi).*

P. Moranowski *(założywszy pince-nez, czyta).*

Winszujemy serdecznie. Spodziewamy się, że zechcesz nie tylko artykułami, ale czynem wspierać nasz dziennik, który format powiększa. Redakcyja „Przyszłości“.

Szmucer.

Czy oni mnie za dudka mają, żebym wspierał ich paszkwil!

P. Moranowski.

Nasz organ!

Szmucer.

Co tam nasz organ, co było nie jest i tobie panie marszałku radzę zerwać z tymi ludźmi.

Jan *(cicho do p. Moranowskiego)*.

I cóż pan na to?

P. Moranowski *(przed siebie)*.

Głupieję.

Drzymierski.

Cher Comte, chodźmy trochę do ogrodu, to cię ochłodzi, tam jest Helenka.

Baron *(cicho do Jana)*.

Dlaczego on go ciągnie do Helenki?

Jan *(taksamo drwiąco)*.

Bo hrabia von und zu.

Baron *(do siebie)*.

Von und zu, no to ja baron się pośpieszę. *(wychodzi spiesznie w głąbi)*.

Drzymierski.

Eh bien, idziesz hrabio?

Szmucer.

Przyjdę później.

P. Moranowski *(do siebie)*.

Niedouwierzenia. *(wychodzi zamysłony szklanemi drzwiami razem z Drzymierskim)*.

Jan *(patrząc na Szmucera, n. str.)*.

Nie długo dam ja ci spocząć!

(wychodzi za tamtymi).

SCENA XV.

S z m u c e r (*sam*).

Zaraz dawaj pieniędzy! Cóż to oni sobie myślą, że ja Moranowski? Ale się zanadto uniosłem. Ten Dymar przeklęty tak mnie drażni, zdaje się drwić nieustannie. Djabli wiedzą co on jest. Odjeżdżając nie mam wielkiej ochoty go tu zostawiać, gotów owładnąć Moranowskiego. Co mi to zresztą teraz szkodzi... ale hola! Helena! I ten hrabia! Kto wie, czy on także o niej nie pomyśli!... (*to mówiąc zbliżył się do okna*). Piekło i szatany! Co widzę, on ją w rękę całuje, Helena się do niego uśmiecha,... idą tutaj! Przeklećcie! (*przyciska się w kąt okna*).

SCENA XVI.

Helena, Hrabia, Szmucer (*ukryty*).

(Helena, hrabia wchodzą szklanemi drzwiami).

Hrabia.

Całe moje życie nie wystarczy, by pani oddać szczęście, którem mnie obdarzasz.

Helena.

Idźmy do dziadzia.

Hrabia.

Jeszcze chwilę

Helena.

Nie, nie, mnie i tak dręczy sumienie, że bez jego wiedzy sobą rozrządziłam, chodźmy do niego; on pomówi z rodzicami. Chodźmy, chodźmy, proszę pana.

Hrabia.

Pójdę gdzie pani rozkażesz. *(odchodzą do narożnych drzwi po lewej).*

SCENA XVII.

Szmućer *(sam, wychodząc z ukrycia).*

Przekłęcie! Przekłęcie! ale ja tu jestem! Ja wam w drodze stanę! Wasz związek rozerwę *(kładąc rękę na piersiach w miejscu, gdzie ma pularę)*. Szczęściem, że mam broń po temu. Teraz trzeba wielkich środków użyć! Chodźmy do Ludmiły! *(wybiega szklanemi drzwiami).*

SCENA XVIII.

P. Moranowski, Baron.

(Wchodzą w głębi. Baron cały czarno ubrany we fraku, białej krawacie i rękawiczkach, które dopiero zawdzięwa; duża brylantowa szpilka wpięta do koszuli, długi złoty łańcuch od zegarka. Na piersiach trzy ordery na różnokolorowych wstążeczkach, pod pachą trzyma cylinder).

P. Moranowski.

Co znaczy kochany baronie, ten ubiór i oficjalna mina, z którą żądasz odemnie rozmowy sam na sam, jakby posłuchania.

Baron.

Ja ubrałem się oficjalnie i oficjalną mam minę, bo do oficjalnego aktu przystępuję. Panie marszałku, jestem baronem pełnoletnim, mam jeden i pół miliona, mam trzy ordery z brylantami i mam honor pana prosić o rękę panny Heleny.

P. Moranowski.

Pan!... Pan, o moją córkę!

Baron.

Ja wiedział, że się pan bardzo ucieszy, tak jest ja proszę o pańską córkę, bo ona mi się bardzo spodobała.

P. Moranowski.

Czyś pan oszalał panie baronie?

Baron.

Ja oszalał, ja baron Techtelmann, dlaczego ja miał oszalać?

P. Moranowski.

Jakto, żebym ja, ja szlachcic polski wydawał córkę za... za... człowieka pańskiego wyznania?

Baron.

Dlaczego nie? Te owe czasy już minęły, teraz baron jak ma milion i pół, już nie żyd ale izraelita i taki dobry jak szlachcic polski, nawet lepszy!

P. Moranowski.

Panie baronie,... przestań proszę...

Baron.

Czemu ja mam przestać? Dziś jest równouprawnienie; małżeństwa jakie kto chce, cywilne, mieszane, bezwyznaniowe, jak się komu spodoba.

P. Moranowski (*wo pasyi*).

Panie baronie!... panie baronie!

SCENA XIX.

Ciż, Ludmiła, Szmucer.

(Ludmiła wchodzi szklanemi drzwiami blada i bardzo wzruszona, za nią Szmucer).

Ludmiła.

Szukam cię mężu...

P. Moranowski.

Dobrze że przychodzisz, żeby usłyszeć propozycję pana barona. Chce się z Helenką bezwyznaniowo ożenić.

Ludmiła.

Tu o inną rzecz chodzi...

Szmucer.

Tak jest, panie marszałku, gdyż nie przypuszczam, byś pan baronowi inną dał odpowiedź jak ta, na którą jego arogancya zasługuje.

Baron.

Arogancya, dlaczego arogancya, jestem baronem...

SCENA XX.

Ciż, Jan.

(Jan wchodzi w głębi niespostrzeżony przez tamtych).

Szmucer.

Panie marszałku, ja Ferdynand, hrabia Szmucer von und zu Schmutzenhausen, mam zaszczyt prosić pana o rękę panny Heleny.

P. Moranowski (*ostupiały*).

Co, ty, pan także?

Ludmiła (*n. str.*).

On mnie nigdy nie kochał.

Jan.

Za pozwoleniem, muszę tu małą rzecz sprostować, a tą jest, że nie hrabia von und zu Schutzenhausen, ale pan Schmutzer prosi o rękę panny Heleny, albowiem hrabia Arnold i cała jego sukcesya były czystym moim wymysłem.

Szmucer.

A!

Baron.

Wiwat!

Lndmiła (*n. str.*).

Zginęłam!

Jan.

List z niewyraźnym podpisem, był przezemnie napisany.

Szmucer.

Panie!

Jan.

Gdybyś pan był koperty nie spalił, a lepiej jej się przypatrzył, byłbyś pan poznał, że była podrobioną.

Szmucer *(odchodząc od siebie ze złości)*.

Panie,... a,... ja pana przed trybunały zawlokę!

Jan.

Jeszcze nikt nikogo przed trybunały nie włókł za list jakich setki u nas co pierwszego kwietnia kursują, *(drwiąc)* wprowadzie teraz sierpień...

Szmucer.

Ja pana...

Jan *(prostując się pogardliwie)*.

Co?

Szmucer.

Nie, ale się później zemszczę!

Jan *(do p. Moranowskiego)*.

Uczyniłem to, by pana przekonać w jakim człowieku pan położyłeś zaufanie. Nie dosyć na tem, że panu swoje przewrotne zasady wpajał, że panu pieniądze na niepotrzebne lub niegodziwe cele wyludzał, jeszcze inne o nim powziąłem wiadomości. Jeżeli się panu w gospodarstwie nie wiedzie, jeżeli pan masz złych i niesumiennych ofycjalistów, jeżeli lud w pańskiej wiosce zdemoralizowany, nauczył się próżnować, kraść i procesa wytaczać, jeżeli wreszcie mieszczenie sąsiedniego miasteczka są co najmniej to nieprzychylni, wszystko to on sam i przez swoich agentów zdziałał,

jemu pan to wszystko zawdzięczasz. Teraz skoro myślał, że się jego stanowisko zmieniło, widziałeś pan jak prędko się wyparł dawnych zasad i czynności, zaś w nagrodę żąda pańskiej córki.

P. Moranowski *(do Jana podając mu rękę)*.

Dziękuję ci kochany kapitanie.

Szmucer *(do Jana)*.

Skończyłeś pan? Teraz pozwólcie, że ja przemówię. Prawda, że mnie pan nieszlachetnym podstępem zwiodłeś, prawda, że niespodzianą zmianą losu mogłem chwilowo dać się olśnić, prawda, że pod wpływem wina, które mi tak hojnie dolewano, powiedziałem niektóre rzeczy moim dawnym zasadom przeciwne, lecz na to, bym od pana marszałka pieniądze na niegodziwy cel wyludzał, bym jego ofycjalistów, lud i mieszczan na złe drogi naprowadzał i buntował, gdzież są tego dowody? Moje zasady były i są zasadami pana marszałka. Pytam się jego, jakiegokolwiek dziś zdanie o mnie mieć może, czy zechce zerwać ze swoją przeszłością, która jest naszą; czy wyrzeknie się popularności, której dzięki moim radom używał, czy będzie wreszcie śmiały otwarcie stanąć do walki ze mną, który nie jestem jednostką ale partją i to partją potężną! On wie, że my w środkach nie przebieramy a narzędzia mamy silne, wie, że skoro zechcemy w oczach jego rodaków, zniszczymy go na dobrej sławie, na honorze, na tem wszystkim co mu jest najdroższe.

Jan.

Tego za wiele!

Ludmiła *(przed siebie)*.

Okropne!

<http://rcin.org.pl>

Szmucer *(do Jana)*.

Pozwól pan, dałem panu mówić przeciwko sobie, teraz mówię do pana Moranowskiego. Jeszcze raz go się pytam, czy będzie miał odwagę w tych warunkach ze mną walczyć?

P. Moranowski *(który w miarę jak Szmucer mówił coraz bardziej się mieszał, przygnębnym, na pół cichym głosem)*.

Panie Szmucer,... ja nic nie powiedziałem..

Jan.

Jakto? pan się mienisz, wahasz! *(do Ludmity)*. Przemówże pani! *(Ludmiła stoi nieruchoma z spuszczo-nemi oczami)*. I pani milczysz! *(spojrzawszy po obojgu)*. Ha, dla was niema ratunku *(do Szmucera z pogardą)*. Zwyciężyłeś, panie Szmucer!

Szmucer *(dumnie)*.

Słuszność i siła zwyciężyły podstęp. Dlatego nie cofam oświadczenia, już nie jako hrabia, ale jako ja, Ferdynand Szmucer. Daję państwu Moranowskim godzinę czasu do uspokojenia się i namysłu. *(cicho do Ludmity)* Pamiętaj pani, że tak być musi.

Baron.

To ja arogant, a on co?

SCENA XXI.

Ciż, Jenerał, Helena, Hrabia.

(Wchodzą narożnemi drzwiami po lewej).

Jenerał.

Co się tu dzieje, co znaczą te podniesione głosy?

Jan (z goryczą).

Ha cóż, pan Szmucer oświadczył się o rękę panny Heleny i daje państwu Moranowskim godzinę do namysłu.

Jenerał (ruszając ramionami).

Śmieszne! Ale z czem innym tu przychodzę. (*do p. Moranowskiego i Ludmiły*) Ja was proszę o rękę Heleny dla hrabiego Leona Zoratyńskiego.

Jan (n. str.).

Wielki Boże!

Szmucer (cicho do Ludmiły).

Odmów pani stanowczo.

Jenerał.

Cóż to oniemieliście?

P. Moranowski.

Wybacz stryju... ale... muszę się poradzić z Ludmiłą i Helenką...

Szmucer (cicho do Ludmiły).

Odmów pani natychmiast.

Ludmiła *(po weicnętrznej walce złamanym głosem)*.

Ja... na ten związek... nigdy nie zezwolę.

Jenerał *(groźnie)*.

Ludmiło!

Helena.

Mamo!

Hrabia.

Pani!

} prawie razem.

Ludmiła.

Niemogę!... Chodź Heleno. *(wychodzą drzwiami po lewej)*.

Hrabia.

Heleno! Pani! *(do p. Moranowskiego)* Panie!

P. Moranowski *(kłaniając mu się zimno z rodzajem zmieszania)*

Słyszałeś pan hrabia.

Szmucer *(n. str.)*.

Zwyciężyłem!

(Zastona spada).

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

AKT V.

(Teatr jak w poprzednim akcie).

SCENA I.

Jan (*sam*).

Wszystko w około mnie runęło! Wszystko! Ta, którą tak kochałem, przyjaciel, ci których ratować chciałem, wszyscy mnie odstąpili! Stoję sam z moją rozpaczą! O, Heleno, Heleno! Przed godziną takie mi robiłaś nadzieje! Pokazano ci zamek, hrabską koronę i o wszystkim zapomniałaś! I ty Leonie, ty mnie zdradziłaś! Naturalnie! Czemże dla was byłem? Synem chłopca, sługi! Ha! pogardzam wami i przekli... (*p. k. m.*). Za co! Czyliż ona była czem innem jak przyjaciółką, on przyjacielem i dobroczyńcą? Jakież mi robiła nadzieje? Może jej nie zrozumiałem, wziąłem do siebie to, co ona do niego mówiła... Tak, tak, oni się przed dwoma laty znali... ona go kochała. On ją także kochał!... Nie zwierzył mi się, ale czyż ja mu powiedziałem że ją kocham? Nie, nie, precz odemnie złe

myśli. Trzeba iść prostą drogą, którą dotąd szedłem. (p. k. m.). A jednak tak raptem utracić nadzieję... to okropne!

(Pada na krzesło obok stolika po prawej i twarz rękami zakrywa).

SCENA II.

Jan, Jenerał.

Jenerał (wychodząc z narożnych drzwi po lewej).

To nie do pojęcia, nie mogę się uspokoić!... A, to ty Janie. Cóż na to powiadasz?... Lecz co widzę, łzy?

Jan (który się zerwał na głos jenerała).

Mylisz się panie jenerale.

Jenerał.

Co to jest? Co to znaczy?

Jan.

Nic, zaręczam.

Jenerał.

Nic? A mówiąc to drżysz cały, jesteś blady jak trup i mimowoli łzy ci się do oczu cisną?

Jan.

Ja, nie. *(wybuchając z rozpaczą)* O, jestem bardzo nieszczęśliwy! <http://rcin.org.pl>

Jenerał.

Lecz cóż ci jest, co się stało? Przecie nie głupota tych ludzi... nie uraza z ich strony?... (*Jan kiwa że nie*)
Aaa,... domyślam się!... przyjaźń dziecinna,... ty kochałeś.

Jan.

Przebacz mi jenerale!

Jenerał (*z dobrocią*).

I cóż ci mam przebaczyć,... czyliż i ja nie byłem młodym, czyż i ja nie kochałem!

Jan.

Tak, lecz różnica stanu...

Jenerał.

Co tam, głupstwo skoro jesteś wykształconym, honorowym człowiekiem i oficerskie szlify nosiłeś; ale nie tu leży przeszkoda, lecz w tem, że Helena od dwóch lat kocha Leona.

Jan (*z radością*).

Dzięki ci Boże, przecie się na niej nie zawiodłem!

Jenerał.

On także kochał ją oddawna; oboje mi to wyznali. Czyż inaczej byłbym się podejmował układać małżeństwo tylko dla stosunków rodzinnych lub majątkowych.

Jan.

Wracasz mi życie jenerale; bo muszę się przed tobą oskarżyć. Chwilę zwątpiłem o niej i o nim, ale przewyciężyłem złe myśli i jenerał teraz moje mniemanie potwierdzasz.

Jenerał.

Jesteś szlachetną duszą, uściskaj mnie mój chłopcze!

(Jan szlochając rzuca się w jego objęcia).

Jenerał *(głaszcząc go po głowie i klepiąc po ramionach).*

No, no, uspokój się... Wiem, że to boli, ale takie rany czas goi... Razem zwalczymy przeszkody dzielące ich od szczęścia, to będzie dla ciebie pociechą, a kiedyś i tobie szczęście się uśmiechnie, bo na nie zasługujesz, to ci stary powiada... Uspokój się, zdaje mi się, że ktoś nadchodzi.

Jan.

To Leon, poznaję jego krok. Niechaj się nigdy nie dowie, to zatruloby jego szczęście.

SCENA III.

Jenerał, Jan, Hrabia.

Hrabia *(wchodząc w głębi).*

Nie kazałeś mi odjeżdżać, jenerale, zostałem, ale chodzę jak błędny,... tak stanowczej odmowy spodziewać się nie mogłem.

Jenerał.

Ja też ją za stanowczą nie uważam; słabość z jednej, kaprys z drugiej strony i nic więcej.

Jan.

Wybacz panie jenerale, że się twojemu zdaniu sprzeciwię, ale nie byliście panowie obecni scenie, która oświadczenie Leona poprzedziła. Wyrzuciłem

Szmucerowi w oczy jego łotrowstwa; już mi pan Moranowski dziękował, gdy on zaczął mówić. Wtedy uważałem, że jego słowa nietylko na marszałku robiły wrażenie, ale i pani marszałkowa bladła i czerwieniła się na przemian, widocznie przechodziła moralne męczarnie.

Hrabia.

Gdy weszliśmy byłem tak wzruszony, że nie nie uważałem.

Jenerał *(do siebie)*.

Lecz ja za to uważałem. *(głośno)* Bądź co bądź, trzeba nam się zastanowić co robić wypada.

SCENA IV.

C i ż, S z m u c e r.

Szmucer *(wchodząc w głębi z zuchwałą ironią)*.

Kłaniam moi panowie.

Jenerał *(nie patrząc na niego)*.

Chodźmy do mego pokoju, tam nikt nieproszony nam nie przeszkodzi.

Hrabia.

Będzie można mówić swobodniej.

Jan.

Tam czystsze powietrze.

(odchodzą do pokoju jenerała).

SCENA V.

Szmucer (*sam*).

Przymawiajcie, przymawiajcie mi panowie, przecie silniejszy jestem od was, waszych złości się nie boję, a za przycinki kiedyś sowiecie odpłacę. (*patrzac na zegarek*) Wkrótce godzina upłynie, Ludmiła powinna tu przyjść lada chwilę, a otóż i ona.

SCENA VI.

Szmucer, Ludmiła.

(Ludmiła wchodzi po lewej).

Szmucer.

Wiedziałem, że pani przyjdiesz, dziękuję, że mi nie dałaś czekać na siebie.

Ludmiła.

Nie dodawaj pan ironii do okrucieństwa. Mów pan, jakie są pańskie ostatnie warunki, czego pan żądasz odemnie?

Szmucer.

Czy pani myślisz, że z moich warunków cokolwiek opuszczę? Czego żądam, już powiedziałem, ręki panny Heleny. Do ciebie pani należy ją nakłonić, by na to przystała.

<http://rcin.org.pl>

Ludmiła.

Życia mego pan żądaj, ale nie tego.

Szmucer.

Co mi z pani życia, ja chcę Heleny.

Ludmiła.

Przenigdy!

Szmucer.

Więc pani niechcesz z nią mówić?

Ludmiła.

Za nic w świecie.

Szmucer.

Ha, taką rzeczą będę zmuszony sam jej pani list pokazać i zapytać, czy sobie życzy, by dalej w świat był puszczony.

Ludmiła.

Mam brata, on mnie obroni.

Szmucer.

Pani brat w tej chwili ucieka zagranicę przed kryminalnym procesem.

Ludmiła.

A!

Szmucer (dostając z kieszeni zmięty telegram).

Gdy wsiadał do pojazdu, ten telegram wypadł mu z kieszeni; a że wszystko podnoszę, dowiedziałem się co znaczy ten nagły wyjazd.

Ludmiła.

Boże, daj mi umrzeć!

Szmucer.

Frazesa. Będziesz pani z córką mówić, tak czy nie?

Ludmiła.

Nie mogę.

Szmucer.

Potrafisz, potrafisz pani skoro zechcesz. Pomyśl tylko na co byłabyś wystawioną, gdyby się dowiedziano.

Ludmiła.

Ależ ja nic złego nie zrobiłam!

Szmucer.

Czytając ten list, zaprawdę nikt się tego nie domysli.

Ludmiła.

Podły!

Szmucer.

Nie unośmy się, bo to na nie się nie przyda. Posłuchaj pani raczej głosu rozsądku i nie gub siebie daremnie, bo jeszcze raz powtarzam, jak nie nakłonisz Heleny do oddania mi ręki, wtedy ja z nią pomówię, radbym jednak uniknąć tej ostateczności.

Ludmiła.

O, ja nieszczęśliwa, zgubiłam siebie i własne dziecko.

Szmucer.

Znowu przesada; zawsze i we wszystkim poetyczna exaltacya. Naprzód, oddając mi Helenę, siebie pani ratujesz, więc nie będziesz zgubioną; powtóre, nie gubisz tem Heleny, bo ja kocham, prawdziwie kocham

i nie wątpię, że skoro raz przewycięży wstręt, który dziś do mnie czuje, będzie bardzo szczęśliwą.

Ludmiła.

Lecz cóż jej powiem.

Szmucer.

Znajdzie się to samo z siebie. Cieszy mnie widzieć, że pani wchodzisz na drogę rozsądku i pewny jestem, że się wszystko jak najlepiej uda. *(dzwoni)*.

Ludmiła.

Co pan robisz?

Szmucer.

Zaraz się pani dowiesz, tymczasem staraj się pani uspokoić; nie potrzeba, żeby ludzie twoje łzy widzieli, przy zaręczynach to złe wrażenie robi.

SCENA VII.

Ciż, Marcin.

Marcin *(wchodząc w głąbi)*.

Jaśnie pan dzwonił?

Szmucer *(który drgnął na słowo jaśnie)*.

Idź poproś tu pannę Helenę do pani.

Marcin.

Do usług pana hrabiego.

(wychodzi drzwiami po lewej).

SCENA VIII.

Ludmiła, Szmucer.

Szmucer (*n. str.*).

Przekłęcie! Już się nigdy tego tytułu nie pozbędę. (*głośno*) Zostawiam panią, sam idę do pana Moranowskiego wyjednać sobie jego zezwolenie. Nie wątpię, że je otrzymam; on duszą, ciałem jest moim. — Pani zaś nie mogę dosyć polecić rozsądku, spokoju i stałego postanowienia złamania woli panny Heleny. Pani i jej dobro tego wymagają. Żegnam panią, to jest do zobaczenia i to wkrótce; radzę czasu nie tracić. (*klania się głęboko i wychodzi w głębi*).

SCENA IX.

Ludmiła (*sama*).

Niema ratunku!... Cóżby to pomogło, gdybym się wzbraniała; wszakże powiedział, że wtedy sam mówiłby z Heleną. Ona poświęciłaby się, a ja nie przeżyłabym wstydu przed moim dzieckiem. Ha!... Może byłby jeden środek, ... gdybym umarła... Ale i to nie wyratowałoby Heleny. Ten potwór po trupie matki dosięgnąłby córki. On dobrze wszystko obliczył, Helena dla ocalenia nawet mojej pośmiertnej sławy zrobiłaby z siebie ofiarę.

SCENA X.

Ludmiła, Helena.

Helena (wchodząc po lewej).

Chciałaś ze mną mówić matko.

*Ludmiła (n. str.).*Matko! (*głośno*) Tak jest Heleno, ważna, stanowcza chwila nadeszła.*Helena (z nadzieją i radością).*

Może zmieniłaś postanowienie?

*Ludmiła.*Tego uczynić nie mogę. (*Helena się od niej oddala*)
Dla twego dobra, dla twego spokoju nie mogę.*Helena.*

Jakież, złe masz o nim wyobrażenie? On jest dobry, szlachetny...

Ludmiła.

To nie jest uprzedzeniem z mojej strony, ale wierzę mi, są przeszkody ważne, ... niedoprzewyciężenia.

Helena.

Jeżeli te przeszkody mają leżeć w charakterze Leona, to potwarz.

Ludmiła

Nie, ... lecz stosunki dawne, ... rodzinne...

Helena.

Jakież, o którychby generał nie wiedział?

Ludmiła.

To jest tajemnicą mojej rodziny, której wyjawić nie mogę.

Helena.

Więc dla niego niema nadziei?

Ludmiła.

Żadnej.

Helena.

To i dla mnie jej niema.

Ludmiła.

Nie mów tego moje dziecko, wszakże i... i pan Ferdynand się o ciebie oświadczył.

Helena.

I ty mi to mówisz, matko!

Ludmiła.

On ciebie kocha...

Helena.

Przestań, błagam, więcej słyszeć nie chcę.

Ludmiła.

Wiesz, jak dalece posiada przyjaźń i zaufanie twego ojca.

Helena.

A ty matko nie wiesz, że on...

Ludmiła.

Wiem, wiem, że był przez pana Jana oskarżonym, ale niesprawiedliwie. Gdyby było inaczej, czyliż twój ojciec... i ja zachowalibyśmy dla niego szacunek i przy-

jaźń? Nie on był tego niegodnym, ale czyn pana Jana. Jeszcze raz ci powtarzam, on ciebie kocha, twój ojciec tak do niego przywykł... zresztą stanowisko twego ojca tego wymaga... on mógłby mu szkodzić.

Helena.

I powiadasz, że on szlachetny!

Ludmiła.

Miłość wzgardzona mogłaby go pobudzić do takiego kroku, któregoby może później żałował, lecz którym zgubiłby twego ojca.

Helena.

Życie mego ojca jest czyste, on się potwarzy bać nie powinien.

Ludmiła.

Lecz są rzeczy, które...

Helena.

Jeżeli o majątku mówisz, od dawna jestem na wszystko przygotowaną; znam nasze interesa, znam je dokładnie...

Ludmiła.

Ale...

Helena.

Przy pracy i wytrwałości wszystko dałoby się naprawić, gdyby nie ten człowiek.

Ludmiła.

Heleno, Heleno! Zaklinam cię, nie mów tego; ty jego nie znasz, on nas i ciebie zgubić może.

Helena.

Czem? Cóżeśmy złego zrobili?

Ludmiła.

Nie mogę ci tego powiedzieć... ale on ma przeciwko nam w ręku broń straszną. Jeżeli ty go nie rozbroisz, on jej użyje!

Helena.

Więc sama przyznajesz, że on nikczemny. I ja dla uniknięcia niebezpieczeństwa, którego nie znam, mam paść ofiarą tego niecnego człowieka? I ty moja matko mi to radzisz! A, to okropne!

Ludmiła.

Heleno, dziecko moje, czyż ja twoja matka namawiałabym, poświęciłabym ciebie, gdybym nie widziała strasznej konieczności?

Helena.

Konieczności, powiadasz?

Ludmiła.

Gdybym mogła życiem ją okupić, uczyniłabym to bez wahania; ale nie mogę, więc błagam, zaklinam ciebie na wszystko, chcesz, padnę przed tobą na kolana; odwróć, odwróć od nas tę klęskę!

Helena.

Matko, ty mnie przerażasz! Ale może ty się mylisz; powiedz, czego się mamy lękać. Odkryj mi tajemnicę, dla której każesz mi się poświęcać.

Ludmiła.

Tego nie żądaj odemnie, ale wierz moim łzom, mojej rozpaczycy! <http://rcin.org.pl>

Helena.

To jest nad moje siły.

Ludmiła.

Chcesz więc matkę zgubić!

Helena.

A!

Ludmiła.

Ale ja nie jestem winną, Bogiem się świadczę, ty się matki nie masz czego wstydzić; lecz ten szatan umiał pozory tak przeciw mnie zebrać, że...

Helena.

Dosyć matko, dosyć, ty się przedemną usprawiedliwiać nie potrzebujesz. Co powiedziałaś, wierzę; co rozkażesz, zrobię.

Ludmiła (*ściskając Helenę, która jak martwa pada na krzesło*).

Biedne, nieszczęśliwe dziecko!

SCENA XI.

Helena, Ludmiła, P. Moranowski, Szmucer.

(P. Moranowski i Szmucer wchodzą w głębi, Helena wstaje).

Szmucer.

Uzyskałem od pana marszałka zezwolenie pod warunkiem, że panna Helena przystanie. (*do Heleny*) Czy mogę się cieszyć nadzieją? (*Panna Helena wzdygając, oddala się od niego*)

Ludmiła *(cicho do Heleny)*.

Odwagi Heleno, odwagi.

Szmucer *(do Ludmiły)*.

Czy namowa matki miałaby być daremną?

P. Moranowski *(do Heleny)*.

Heleniu, jeżeli się to z wola twoją zgadza...

Helena.

Wola moich rodziców... będzie i moją.

Szmucer.

Dziękuję pani; mojem zaś staraniem będzie panią uszczęśliwić. *(chce ją wziąć za rękę, ona się cofa z przerażeniem.)*

P. Moranowski.

Nie, ja mego dziecka poświęcić nie mogę! *(błagającym głosem)* Panie Szmucer...

Helena *(zaledwie przytomna)*.

Ja się nie poświęcam, ale... chciałabym się widzieć z dziadkiem. *(Pan Moranowski robi parę kroków ku drzwiom narożnym.)* Nie, nie... nie tak prędko...

Szmucer *(n. st.)*.

Namiętności zdaje się nie wzbudziłem.

SCENA XII.

Ciż, Jenerał, Hrabia, Jan.

(Wchodzą narożnemi drzwiami po lewej).

Jenerał *(do p. Moranowskiego, wskazując Szmucera)*.

Nie spodziewałem się tu jeszcze zastać tego pana.

P. Moranowski.

Stryju...

Helena *(sposstrzegając hrabiego z rodzajem jeku)*.

I on tutaj!

Jenerał.

Co znaczy to milczenie? Przecie...

Szmucer *(robiąc krok naprzód)*.

To znaczy, że panna Helena przyobiecała mi...

Jenerał.

Kłamiesz!

Hrabia.

Panie!

Jan.

Zwyciężył!

} prawie razem.

Jenerał.

Heleno, czy nie słyszysz? Ten człowiek przed tobą kłamie!

Helena.

On... prawdę powiedział.

OBCE ŻYWIOŁY.

Hrabia.

To być nie może!

Jenerał.

Heleno powtórz!...

Helena.

Dziadziu!

Jenerał.

A słowo dane Leonowi... Ale nie, ja temu nie wierzę, ja znam moje dziecko; ciebie zmuszają, lecz ja nie dozwolę...

Helena.

Nie, dziadziu... Byłam olśnioną tytułem... i... małżonką hrabiego... ale... poznałam, że... że ja... tego kocham! (*wydaje jęk i pada zemdlnona*).

Ludmiła.

Dziecko moje!

P. Moranowski

Helenko!

Hrabia.

Heleno!

Jan.

Panno Heleno!

razem.

Jenerał (*do Ludwiły i p. Moranowskiego*).

Precz! Kto jej nie umiał ochronić, nie ma prawa jej ratować. (*przyklęka nad Heleną: tamci grupują się jak następuje: p. Moranowski i Ludmiła cofają się na-przód sceny po prawej. Trochę więcej w głębi po tej samej stronie stoi Szmucler, podczas tego, co dalej jenerał*

mówi, uśmiecha się ironicznie. okazując pewność siebie. W głębi po lewej Jan i hrabia spozierają to na Helenę, to na Szmucera wejrzeniami wyzywającemi.) Heleniu, dziecko moje, przyjdź do siebie... to ja twój dziadzio... ja cię nie dam, ja cię obronię. (Helena zaczyna powoli przychodzić do siebie.) Nie bój się niczego... wstań... tak, oprzyj się na mnie... (Helena wstaje wsparta na jenerate, uśmiecha się do niego, ale zdaje się nieprzytomną; jenerał do p. Moranowskiego.) Teraz możesz córkę odprowadzić do siebie. (razem odprowadzają Helenę do drzwi po lewej, p. Moranowski z nią wychodzi; jenerał do Ludmiły.) Idź pani za nimi, staraj się ją uspokoić. (W chwili gdy Ludmiła się do niego zbliża, cicho.) Czy były listy?

Ludmiła *(tak samo z spuszczoną głową).*

Jeden.

Jenerał *(półgłosem).*

Powiedz, że ręcę za wszystko. *(Ludmiła wychodzi.)* Was moi panowie *(do Szmucera)* i pana proszę tu chwilkę na mnie poczekać. *(do hrabięgo i Jana.)* Zwłaszcza żadnego wyzywania; *(wskazując drzwi po lewej)* pamiętajcie, że tam są kobiety. *(Wychodzi naróżnemi drzwiami po lewej.)*

SCENA XIII.

Hrabia, Jan, Szmucer.

Hrabia (*przystępując do Szmucera, skoro jenerał drzwi za sobą zamknął, przytłumionym głosem*).

Pan zapewne już zgadłeś, że to się tak między nami nie obejdzie.

Szmucer.

Jak?

Hrabia.

Już ja pana zmuszę, że mnie pan zrozumiesz!

Jan.

I ja także.

Szmucer.

Rozumiem doskonale, czego panowie chcecie, ale ja nie chcę. Zaprawdę łatwo byłoby pozbyć się szczęśliwego rywala, skoro się ma trochę wprawy w robieniu bronią; jeszcze łatwiej we dwóch na jednego; lecz ja zbyt moje życie cenię, zwłaszcza teraz, gdy mi się szczęście uśmiecha.

Hrabia.

Przestań pan, jeżeli nie chcesz, bym cię obelgą napiętnował.

Jan (*wskazując drzwi po lewej*).

Ciszej. (*Jeszcze bardziej przytłumionym głosem*.) My potrafimy pana przymusić.

Szmucer.

Nie lękam się tego; moje zasady stoją wyżej od waszych obelg.

Hrabia.

Podły, nikczemny łotrze!

Jan *(do hrabiego)*.

Nie unosi się, na niego przyjdzie czas.

Szmucer.

Prędzej na was przyjdzie.

SCENA XIV.

Ciż, Jenerał.

Jenerał *(wchodząc narożnemi drzwiami)*.

Przecie prosiłem, by unikano kłótni. *(do hrabiego i Jana.)* Idźcie do ogrodu i zaczekajcie, póki was nie zawołam, ja tu z panem mam do pomówienia.

Hrabia.

Jenerale...

Jenerał.

Proszę was, odejdźcie.

(Hrabia i Jan wychodzą szklanemi drzwiami. Szmucer przechodzi na lewo sceny i staje przy stoliku. Jenerał chwilę patrzy za odchodzącymi, potem staje w środku sceny trochę więcej w głębi niż Szmucer.)

SCENA XV.

Jenerał, Szmucer.

Szmucer.

Słucham, co pan jenerał masz mi powiedzieć.

Jenerał (*bardzo spokojnie i naturalnie*).

Zaraz pan się dowiesz. (*dostając z zanadru pistolet średniej wielkości*.) Przychodzę pana zabić. (*odwodzi pistolet*.)

Szmucer (*przerażony*).

Zabójstwo!

Jenerał.

Nie, mój panie. Gdy pies wściekły wpada na podwórze, lub zjadliwa gadzina wśliznie się do czyjego domu, w łeb im się strzela, i to nie jest zabójstwem, lecz obroną; to samo i ja z panem zrobię.

Szmucer (*nadrabiając minę*).

Gotów jestem dać panu zadośćuczynienie.

Jenerał.

O, mój panie, bić się z panem, dla uczciwego człowieka byłoby poniżeniem; zresztą ludzie pańskiego gatunku, skoro się ich raz wypuści, nie zwykli stawać do pojedynku; dla tego pana jak psa zastrzelę.

Szmucer.

Pan będzie sądzony, karany...

Jenerał.

Myślisz pan, że się przelekne tam gdzie bronię honoru mojej rodziny? (*Szmucer nobi parę kroków chcąc*

uciekać.) Ani kroku, bo cyngiel pocisnę! (*Szmucer staje jak wryty, wraca się i opiera o boczną poręcz kanapy.*) Tak, widzę, że pan rozumiesz swoje położenie; słuchajże mnie pan dalej z uwagą. Jestem na wszystko zdecydowany, jednak niechętnie broczyłbym ręce w krwi, nawet w pańskiej, dlatego podaję panu środek ocalenia życia.

Szmucer (*podnosząc chytry oczy na jenerała*).

Zapewne bym się zrzekł.

Jenerał.

Nie panie, byś nie mógł jej żądać. Mnie innych potrzeba gwarancyj. Jestem stary, nie jeden podobny wypadek widziałem. Doświadczenie mi to powiada, że Helena poświęca się dla uratowania honoru matki, inaczej jakżeby to szlachetne dziecko chciało iść za takiego człowieka jak pan?

Szmucer.

Zaręczam...

Jenerał.

By ją do takiej ostateczności doprowadzić, trzeba było żeby wiedziała, że posiadasz jakiś dowód mogący zgubić jej matkę.

Szmucer.

Przysięgam, że nie nie posiadam...

Jenerał.

Tem gorzej dla pana; w takim razie będę musiał pana zastrzelić, bo nie chcę, żebyś się pan z moją wnuczką ożenił.

Szmucer.

Odstępuję zupełnie.

Żałuję, ale to mi nie wystarcza. Gdybyś pan miał dokument kompromitujący Ludmiłę i mnie go zwrócił, mógłbym panu uwierzyć, ale skoro go pan nie masz, wiem że zaledwie przestałbym pana trzymać pod lufką, użyłbyś pan na nowo środków, któremi wolę rodziców i córki krępujesz.

Szmucer.

Nie mogę oddać, czego nie posiadam, ale przysięgam...

Jenerał.

Kiedy tak, jeżeli pan w Boga wierzysz, westchnij do niego (*bierze go na cel*).

Szmucer (*prawie na kolanach*).

Mam, mam list, zaraz go zwrócę.

Jenerał.

Wiedziałem, że to tylko o to chodzi umieć panu do serca trafić (*Szmucer trzęsącemi się rękami dostaje z pularesu list i złożony podaje jenerałowi*).

Szmucer.

Oto jest (*chce odejść*).

Jenerał (*wziąwszy list*).

Czekaj pan (*Szmucer staje*). Niech się przekonam, czy to ten sam list, z panem zbytku ostrożności zachować nie można (*spojrzawszy na list*). Dobrze, widzę że pan pod lufką zaczynasz postępować uczciwie. — A teraz, (*silnym rozkazującym głosem*). Za drzwi! (*Szmucer spiesznie idzie ku drzwiom szklannym, przy których się zatrzymuje*).

Szmucer.

Przyjdzie czas gdziein.org.pl

Jenerał (*odwracając się spokojnie*).

Co?

Szmucer (*jednym skokiem za drzwiami*).
się zemszczę!

SCENA XVI.

Jenerał (*sam*).

Wiedziałem, że to się tak skończy. — Naprzód, schowajmy argumentum (*chowa pistolet w zanadrze, potem idzie do drzwi po lewej, otwierając je*).

SCENA XVII.

Jenerał, Helena, Ludmiła, Hrabia, Jan, P. Morawski.

(Helena wsparta na Ludmile okazuje się we drzwiach, za niemi P. Moranowski; Hrabia i Jan wchodzą szklanemi drzwiami).

Hrabia.

Co się stało? On uciekał!

Jenerał (*do Heleny i Ludmiły*).

Możecie wejść bez obawy, już go tu nie ma i więcej nie powróci.

Helena.

Dziadziu drogi, czyto być może!

Jan.

Ależ to dał drapaka!

P. Moranowski.

Dzięki ci stryju, lecz jakiegoż sposobu użyłeś?

Jenerał.

Bardzo prostego, w dwóch słowach rzecz wyjaśnię.

Ludmiła (n. s.).

Boże!

Helena.

Dziadziu!

} razem

Jenerał.

Parę lat temu powierzyłem Ludmile do schowania list, który mnie mógł wobec rządu skompromitować. — Przez nieostrożność Ludmiły ten list dostał się w ręce tego Szmucera. Ztąd jego zuchwalstwa i groźby, które tak dalece Helenkę przeraziły, że to biedne dziecko się dla mnie poświęcić (*przyciska Helenę do serca*).

P. Moranowski.

I ja o tem nic nie wiedziałem!

Jenerał.

Szcęściem domyśliłem się sprawki, a że pan Szmucer jest człowiekiem wyrozumiałym, skoro go grzecznie poprosiłem, przestał robić trudności w zwróceniu mi tego listu.

Hrabia (*kładąc rękę na piersiach w miejscu, gdzie jenerał ma schowany pistolet i wskazując go oczami Janowi, półgłosem*).

Zrozumiałeś? Przyznaj że ci Napoleońscy żołnierze, to był ród Tytanów.

Jan (*taksamo*).

Przy którym my Pigmejczyki.'

Jenerał (*do Ludmiły*).

Oto jest ten list.

Ludmiła.

Przebacz mi stryju!

Jenerał.'

Zwracam ci go w dowód przebaczenia, ale tym razem go spal (*do Heleny*). Ty Heleno uściskaj matkę. (*Helena rzuca się w objęcia Ludmiły*).

P. Morawski (*ściskając za ręce jenerała*).

Drogi, kochany stryju, więcej niżeli życie nam powracasz.

SCENA XVIII.

Ciż, Drzymierski.

Drzymierski. (*wchodząc w głębi*).

Od dwóch godzin daremnie szukam w Almanach de Gotha hrabiów von und zu Schmutzenhausen.

Jenerał.

I pewnie ich nie znajdziesz.

Drzymierski.

Dlaczego?

Jenerał.

Bo ich tam nie ma.

Drzymierski.

Inconceivable! (*siada przy stoliku po prawej i dalej przegląda almanach*).

SCENA XIX.

Ciż, Baron *później* Burbasiewicz.

Baron. (*wchodzi w głębi w podróznem ubraniu*).

Ja przychodzę z państwem się przeżegnać... pożegnać chciałem powiedzieć. (*ściska za ręce p. Moranowskiego, Ludmiłę etc. etc.*)

Burbasiewicz (*wpada zasapany szklanemi drzwiami*).

Przepraszam, że tak wchodzę (*sapie*).

Jenerał.

Cóż ci to panie Burbasiewicz.

Burbasiewicz.

Nic to nic, panie jenerale, tylko, (*wskazując ku drzwiom szklanym*) spotkałem go, i chociaż ja nie garbarz, ale szewc, wygarbowałem mu z przeproszeniem skórę porządnie.

Wszyscy (*prócz Drzymierskiego*).

Komu?

Burbasiewicz.

A jużćie nie komu innemu jak temu łotrowi Szmucerowi. Proszę ja państwa, każe on nam mieszczanom pisać jakąś protestacyę do delegacyi, każe sobie dawać

obywatelstwo honorowe, a za plecami urząda nam bezrobocie!

Jenerał.

Miałeś pan jakie dowody?

Burbasiewicz.

Właśnie dlatego tu przyszedłem. Maciej Bruzda i ja złapaliśmy Wisiadlika, gdy między czeladzią rozdawał pieniądze. Jak go pocisnęliśmy i trochę z przeproszeniem obili, przyznał się że to czyni z rozkazu pana Szmucera, obiwszy go więc trochę lepiej, odebraliśmy mu pieniądze, które tu przyniosłem prosząc pana jenerała o radę co z nimi zrobić i jak bezrobociu zapobiedz?

Jenerał.

Ale gdzież Szmucera spotkałeś?

Burbasiewicz.

Na zakręcie Lipowej ulicy, biegł przez¹⁾ kapelusza i sam wpadł mi w ręce. Gdy go zobaczyłem setna pasya mnie porwała, jak z przeproszeniem chwyć za czuprynę! (*gestykulując*) masz protestacyę, masz obywatelstwo, dopiero z nim młynca!.. Ale przepraszam państwa, oto są pieniądze.

Baron.

Pan burmistrz trochę bardzo ognisty!

Jenerał.

Względem użycia pieniędzy naradzimy się później, zaś bezrobocie samo ustanie skoro podżegaczy nie będzie.

¹⁾ W okolicach gdzie lud nie mówi *przez* zamiast *bez* i przeciwnie, użyć wyrazu *bez*.

Burbasiewicz.

Dziękuję panu generałowi za dobre słowo.

Drzymierski. *(uderzając po książce).*

Ma parole, nie ma i nie ma!

Jenerał.

Heleno, na ciebie kolej dotrzymać słowa *(bierze ją za rękę, hrabia przechodzi do Heleny).*

Hrabia.

Droga Heleno! *(całuje ją po rękach).*

Helena *(wskazując generała)*

Jemu naprzód dziękujemy.

Jenerał *(ściskając ich).*

Niech was Bóg błogosławi!

Helena.

Podziękujemy także przyjacielowi *(Helena i hrabia ściskając za ręce Jana, Ludmiła z wdzięcznością całuje rękę generała).*

Jan.

Wasze szczęście będzie mojem.

Jenerał.

Teraz z błogosławieństwem weźcie i przestrozę od starego. Bezmyślnie naśladowanie endzoiemskich błędów, tarzanie się w brudach giełdowych i wspieranie potwornych dążeń zagranicy, to jest hołdowaniem obeym żywiołom, które między nami rozbrat sieją.— Niechaj obywatelstwo i intelligencya w zgodzie i miłości ojczyzny razem pracują, przy nich stanie mieszczanństwo... <http://rcin.org.pl>

Burbasiewicz.

I twardo stać będzie panie jenerale!

Baron.

Jabym się także przyłączyłbym.

Jenerał.

My nikogo nie wykluczamy skoro uczciwe ma chęci
(*podaje mu rękę*).

Baron.

Dziękuję, dziękuję.

Jenerał.

Gdy tak ręka w rękę iść będziecie, wkrótce się i lud do was przyłączy i dojdziecie do celu, tylko w drodze strzeżcie się obcych żywiołów, czy to z pruchna, czy z materializmu, czy od Szmucerów pochodzących, a Bóg dopomoże!

(*Zasłona spada*).

KONIEC.

KALOSZE.

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE.

OSOBY.

Pan LEANDER INICKI.

Panna BALBINA, jego siostra.

Panna EMILIA, jego córka.

Pan FILIP FILOWICZ.

KAROL BÓTOWSKI, jego siostrzeniec.

ZUZIA, służąca pana Inickiego.

CHEŁOPIEC ze sklepu.

Rzecz dzieje się w mieście, w pomieszkaniu pana
Inickiego.

KALOSZE.

SCENA I.

(Teatr przedstawia salon porządnie umeblowany bez zbytku. W głębi po prawej i po lewej drzwi. Po prawej w pierwszej kulisie okno. Między tem oknem a drzwiami stojące zwierciadło. Przed oknem niewielki stolik, na nim aniołek z gipsu taki, żeby mógł być cały przykryty kapeluszem cylindrem. Za stolikiem krzesółko. Po lewej kominek, na nim zegar, przed nim z ukosa postawiona kanapa i stolik, na którym stoi wazon z bukietem, albumy, gazety, dzwonek, torbeczka damska, przybory do pisania, karafka z wodą, dwie szklanki i jedno niezatemperowane gęsie pióro. Przy drzwiach w głębi taśma od dzwonka. Po obu stronach tych drzwi w pewnem oddaleniu dwa krzesła. Na krzesle po lewej drzwi cachenez i parasol, po prawej paltot i kapelusz. — Przy podniesieniu zasłony Emilia siedzi przy stoliku po prawej i na rajsbrocie rysuje podług gipsowego aniołka).

Emilia (*spoglądając na zegar, potem przez okno*).

Za siedem minut dziewiąta... lada chwilę przyjdzie, spojrzę w okno i ukloni się. — Dziwna rzecz, zkaż on mnie znać może... a jednak zna niezawodnie, bo

dla czegożby od pierwszego dnia naszego przyjazdu do miasta, codzień około dziewiątej tędy przechodził, spoglądał w górę i uchylał kapelusza? *(p. k. m.)* Nie jest on wprawdzie bardzo punktualnym; czasem przed, czasem dopiero po dziewiątej przechodzi. Jak przed, to dobrze, bo wtedy rysuję, ale jak po... Ciocia jest strasznie akurata, zaraz woła do lekcyi *(rysuje u okna)*. Trzeba mu jednak przyznać, że jak się spóźni, tak się spieszy, ale tak się spieszy... *(spoglądając w okno)*. Bądź co bądź, mógłby więcej na godzinę uważać. A jaki dyskretny... Parę dni temu spotkałam go idąc z ciocią... z daleka go spostrzegłam i czułam jak okropnego raka piekę... nie wiedziałam co cioci powiem, gdy nam się ukloni, spuściłam więc oczy... tymczasem on udał, że nas nie widzi... Dobrze zrobił... ale mógł się przecie spojrzeć... A, oto idzie!

(Wstaje z miejsca i nie zbliżając się do okna robi dyg, w tej chwili z drzwi po prawej wszedł Inicki, który robi parę kroków patrząc w sufit i krzywiąc się do kichnięcia).

SCENA II.

Inicki, Emilia.

Inicki.

Atsz!

Emilia.

A! *(usiada na krzeselku chwytając się za serce).*

Inicki.

Otóż macie, jest i katar... Czegoż się tak prze-
 lęka?... Kichnąłem, czy mnie nigdy kichającego nie

słyszalaś? Mogłaś mi dzień dobry, a przynajmniej na zdrowie powiedzieć.

Emilia.

Dzień... dzień dobry papie (*wstaje i całuje go w rękę*).

Inicki.

Dzień dobry, dzień dobry, pięknie się zaczyna a raczej już się wczoraj zaczął... Gdzie Balbina?

Emilia.

Ciocia w swoim pokoju.

Inicki (*któremu się na kichnięcie zbiera*).

Bal... bal... Atsz! Balbino.

Balbina (*za drzwiami po lewej*).

Idę już, idę (*wchodzi, Emilia siada przy stoliku i dalej rysuje*).

SCENA III.

Inicki, Balbina, Emilia.

Balbina.

Cóż tak strasznie kichasz... zakatarzyłeś się?

Inicki (*rozkładając chustkę*).

Co tu pytać, przecie słyszalaś, a teraz widzisz, (*uciera nos*). Daj mi A... a... kon... Atsz! Akonitu...

Balbina.

Natychmiast braciszku (*szukając w torbeczce*). Zkądże ci się wziął taki katar?

Inicki.

Zkąd się wziął? Jak się miał wziąć... Taki śnieg z błotem... faramuszką.

(Balbina dostaje z torbeczki flaszeczkę homeopatyczną, wysypuje parę ziarenek do szklanki, poczem nalewa wody i mięsza gęsiem piórem).

Balbina.

Przecie klub ztąd o dwa kroki i dałam ci cache-nez, parasol i kalosze.

Inicki.

Właśnie kalosze...

Balbina.

Dziurawe? *(podaje mu szklankę, on wypija).*

Inicki.

Gdzieżtam dziurawe... dajże mi przyjsć do słowa... to mi ulży... Atsz! — Cóż?

Balbina.

Czekamy.

Inicki.

Mogłyście powiedzieć na zdrowie... Otóż...

Balbina i Emilia *(razem).*

Na zdrowie.

Inicki.

Teraz nie kichnąłem... A zawsze nie w czas... Jak mówię kichacie... nie, chciałem powiedzieć mówicie, jak kicham milczycie... nigdy w porę.

Emilia *(wstając).*

Cóż się papie stało?

Balbina.

Zapomniałeś kaloszy?

Inicki.

Jest! Teraz mówcieże razem. Jak skończycie, powiedźcie, wtedy ja zacznę... Zapomniałem kaloszy!... Ja zapomniałem kaloszy!... Śmiech mówić!... (*milczenie, Inicki chce mówić, ale kicha*). Atsz!

Balbina i Emilia (*razem*).

Na zdrowie!

Inicki.

Słuchajcie do stu... kiedy opowiadam... (*uciera nos*). Poszedłem wczoraj wieczór do klubu w cachenez, z parasolem i w kaloszach... Grałem wista, mój partner zrobił renonsa, wzięliśmy szlema, przegrałem trzy robry... mniejsza o to. Punkt 23 minut po dziewiątej wychodzę. W przedpokoju zawijam szyję w cachenez, biorę parasol, chcę włożyć w kalosze... kaloszy nie ma...

Balbina.

Ktoś ukradł!... w klubie.

Inicki.

Nie... nie ukradł, ale zamieniał, zostawił swoje... nawet lepsze.

Balbina.

Dziwna rzecz!

Emilia.

Więc papa wrócił w cudzych kaloszach?

Inicki.

Ja? ja miałbym włożyć w cudze kalosze! Alboż ja wiem, czyje te kalosze, gdzie były te kalosze?...

Balbina.

Skoro lepsze...

Inicki.

Balbino, dziwię się twojej płochości... ja miałbym ubrać nogi w cudzy kapelusz, albo wziąć na głowę cudze kalosze? To się na mnie nie pokaże. Kto wie, czyje mogą być cudze kalosze, może nieczyste, może chorego, może były w domu, gdzie jest koklusz, szkarlatyna, może i ospa!

Balbina.

Chryste Panie!

Inicki.

Dziwię się, jeszcze raz powtarzam, bardzo się dziwię Balbino, że mogłaś coś podobnego o mnie przypuścić.

Balbina.

Ospa! Ale ich się nie dotknąłeś?

Inicki.

Włożyłem lewą nogę.

Balbina.

Zaczekaj, dam ci Pulsatilli (szuka w torbeczce, dostaje flaszeczkę homeopatyczną, wsypuje parę ziarenek do szklanki i wody nalewa, potem gęsiem piórem mięsza).

Inicki (zabierając się do kichnięcia).

Do... do...

<http://rcin.org.pl>

Emilia.

I cóż papa zrobił?

Inicki.

Przerwałaś mi kichanie.

Emilia.

Przepraszam...

Inicki.

Po niewczasie... Co zrobiłem... wróciłem bez kaloszy, nogi zamoczyłem i... i... i... Atsz!

Balbina i Emilia.

Na zdrowie!

Inicki.

Dziękuję... I dziś rano posłałem po nowe kalosze. Właśnie chciałem się was zapytać, czy ich jeszcze nie przyniesiono.

Emilia.

Nie widziałam nikogo.

Inicki.

Zadzwoń! *(Emilia idzie w głąb i dzwoni, potem wraca do stolika po prawej, siada i rysuje).*

Balbina.

Ospa w kaloszach, duszę mam na ramieniu *(podając szklanke Inickiemu)*. Napij się braciszku.

Inicki *(pije)*.

Dziękuję.

SCENA IV.

C i z i Z u z i a.

Zuzia (*wchodząc drzwiami w głębi*).

Wielmożny pan dzwonił?

Inicki.

Czy nie przyniesiono tu dla mnie kaloszy, po które stróża posłałem.

Zuzia.

Właśnie w sieni czeka chłopiec ze sklepu.

Inicki.

Niechże je tu przyniesie... (*Zuzia wychodzi głębią*).

Balbina (*do Emilii*).

Cóż ty jeszcze rysujesz? Wszakże dziewiąta minęła, a o dziewiątej masz pisać wyciągi z historyi Rumuńskiej... Taka nieakuratność! Już jednaście minut na dziesiątą... Idźże, już idź.

Emilia (*wstając*).

Idę ciociu (*wychodzi drzwiami po lewej*).

Balbina.

A ja mam teraz... sama już nie wiem, co mam robić... Tak mnie przestraszyłeś... nie czujesz dreszczy?

Inicki.

Nie, nie, bynajmniej... a zresztą... być może...
brrrr...

Balbina.

Nie wychodźże, proszę cię, bez kaloszy (*wychodzi*).

SCENA V.

Inicki, Chłopiec (*wnosi pęk kaloszy w zielonym płótnie.*)

Inicki.

Jesteś przecie.

Chłopiec.

Do usług Wielmożnego pana... Czy Wielmożny pan rozkaże czółna?

Inicki.

Czółna?

Chłopiec.

Tak jest, amerykańskie kalosze.

Inicki.

O tak, tak, dawaj tu.

Chłopiec.

Oto są.

Inicki.

Spróbuję, pomóż (*siada, chłopiec mu zawdziewa kalosz.*) Aj, Aj! powoli, nogę mi złamiesz.

Chłopiec.

Już wlaźł.

Inicki.

Aj, aj, jaj, ciasne pięką! Zdejmuj! zdejmujże prędko do kroć...

Chłopiec (*podając inną parę.*)

Oto są większe.

Inicki.

Czekaj, nie tę parę, tamte z niebieską flanelką (*d. s.*) Zwykle mają wewnątrz czerwoną albo zieloną flanelkę jak naprzykład te, które mi ten pan wczoraj zostawił były z zieloną, ale niebieskiej jeszcze nie widziałem (*spróbowałwszy kalosze*). Dobrze, ile się należy?

Chłopiec.

Siedem reńskich.

Inicki (*płatąc*).

Oto masz.

Chłopiec.

Prosiłbym na piwo.

Inicki.

A koniecznie zaraz na piwo. Na masz (*daje mu szóstaka.*) Tę parę postaw przy drzwiach. (*Chłopiec zbiera kalosze do zawiniątka, jedną parę stawia przy drzwiach w głębi i wychodzi.*)

Inicki.

Siedem reńskich i szóstaka djabli wzięli z łaski tego pana, ale przynajmniej teraz mam kalosze z widoczną oznaką. Przecie co niebieskie to nie czerwone ani zielone.

SCENA VI.

Inicki, Zuzia.

Zuzia (*wchodzi głębią, trzymając w jednej ręce list, w drugiej parę kaloszków*).

Proszę wielmożnego pana, tu jakiś służący przyniósł list i parę kaloszy.

Inicki (*biorąc list*).

Aha, list i kalosze (*otwiera list i po cichu czyta*).
Exkuzy, przeproszenia... za późno; wczoraj było patrzeć; dziś mam już katar i nowe kalosze. Ale jakiś grzeczny człowiek, wypada odpisać. — (*Do Zuzi.*) Powiedz temu lokajowi żeby zaczekał, a jak zadzwonię przyjdź tu.

Zuzia.

Do usług (*odchodzi głębią*).

SCENA VII.

Inicki (*sam, siada przy stoliku i pisze*).

Szanowny panie! Żałuję niezmiernie, że pomiędzy nami zaszło nieporozu... (*mówi*) Nieporozumienie, nie, to nie było nieporozumienie... bo się nigdy nieporozumiewaliśmy... oczywiście, bo gdybyśmy się byli porozumieli niebyłby mi zamieniał kaloszy. Zepsuta ćwiartka (*drze ją i pisze*). „Szanowny panie, żałuję niezmiernie, że między nami zaszło...” (*mówi*). Cóż u diabła zaszło między nami? (*p. k. m.*), już mam! (*pisze*) „zaszła niedobrowolna zamiana kaloszy. Dziękuję za ode-

ślanie mi moich". (*mówi*) Jeszcze muszę dziękować (*pisze*) „ale z nich korzystać nie mogę, gdyż moje zasady nie pozwalają mi brać na nogi raz zamienianych kaloszy. Dlatego zwracam je panu do rozporządzenia. Swoje możesz pan odebrać w klubie, gdzie je zostawiłem nietknięte". (*mówi*) Że lewą nogę włożyłem nie pozna. (*pisze*) „Pozostaję z poważaniem i t. d." (*wkładając list do koperty*) Tak, odpisałem grzecznie a przytem dałem temu panu nauczkę niech drugi raz patrzy pod nogi... Teraz jeszcze tylko adres... Ale... ale... jakże się on nazywa? (*patrząc w odebrany list*) Niewyraźny ma podpis... Bo... Bu... zdaje się że Botowski, ale czy przez *o*, czy przez *u* się pisze, odczytać nie mogę... Położę *o*, to grzeczniej (*adresuje i dzwoni, potem wstaje do wchodzącej Zuzi*). Oddaj ten list i kalosze temu lokajowi, niech je swojemu panu wręczy.

Zuzia.

Dobrze panie (*wychodzi*).

Inicki (*zacierając ręce*).

Ma nauczkę, ba... ba... bardzo... Atsz... się cieszę.

SCENA VIII.

Inicki, Filowicz.

(Od początku do końca sceny zawsze stara się być po lewej ręce Inickiego z czego powstają między niemi mimiczne ceremonie).

Filowicz (*zapukawszy wchodzi i znowu puka do drzwi*).

Czy można?

Inicki.

Kogo moje oczy widzą!... Kochany pan Filip (*ścisła go*).

Filowicz.

Przepraszam, tysiąc razy przepraszam, że tak wejść się ośmieliłem, ale nie było nikogo w przedpokoju.

Inicki.

W sieni, kochany Panie, w sieni, bo tu przedpokoju niema.

Filowicz.

Więc w sieni z przeproszeniem.

Inicki.

Wielka niewygoda, ogromna niewygoda! Lecz cóż robić, innego pomieszkania dostać nie mogłem.

Filowicz.

Ależ tu bardzo pięknie u pana (*n. s.*) chwalmy i sondujemy zgrabnie.

Inicki.

U nas jeszcze o wygodzie nie mają wyobrażenia. W Wiedniu w hotelu miałem przedpokój... no prawda, że mi z niego paltot ukradziono, ale przedpokój był. — Siadajże kochany panie Filipie, bardzo proszę.

Filowicz.

Bardzo proszę po panu, po panu.

Inicki.

Jestem przecie u siebie (*ceremoniują się*).

Filowicz.

Proszę.

Inicki.

Bardzo proszę.

Filowicz.

Więc z rozkazu, ale z przeproszeniem po lewej... po lewej panie kochany, od tego nie odstąpię (*siadają na kanapie, Inicki po prawej, Filowicz po lewej od sceny*).

Filowicz (n. s.)

Sondujemy zgrabnie (*gł.*) Więc kochany pan, że się tak wyrazić ośmielę, przyjechałeś na całą zimę.

Inicki.

Tak jest, na całą zimę.

Filowicz.

Zapewne w celu wprowadzenia w świat swojej pięknej córeczki? Jakże na imię jeżeli zapytać wolno?

Inicki.

Emilia.

Filowicz.

Emilia, imię z przeproszeniem zachwycające.

Inicki.

Przyjechałem dla ukończenia jej wychowania, chociaż mogę się pochwalić, że jest wykształconą. Fiu! fiu! Gra panie sonaty aż strach, rysuje gipsowe aniołki (*posyłając całus w powietrze*) aż miło (*zrywając się i idąc do stolika po lewej*). O sam pan zobacz. (*Filowicz wstał i po za niego przechodzi na lewą stronę tak, że gdy się Inicki odwraca z rysunkiem w ręku nie widzi nikogo przed sobą, dopiero obróciwszy się spostrzega Filowicza*).

Filowicz.

Prześlicznie, co za wyraz anielski w tym aniołku.

Inicki.

Ależ pan rysunek trzymasz do góry nogami.

Filowicz.

Nic nie szkodzi i tak ładny.

Inicki.

Nieprawda? Jak żywy, chociaż niby z gipsu.

Filowicz.

Śliczny, śliczny. Ale spodziewamy się, że nam pan przecie swoją córeczkę z przeproszeniem w świecie pokażesz.

Inicki.

A tak, tak naturalnie... Ale niechże pan, będzie łaskaw... *(siadają na kanapie jak poprzednio, n. s.)* Gdybym go się zgrabnie wypytał... *(gł.)* Jakże tam z młodzieżą tego roku, co? Jest dużo danserów? Ja bardzo młodzież lubię.

Filowicz.

O, pod tym względem bardzo źle... bardzo smutno i między nami mówiąc prawie sama serwatka, śmietanki nic... zgoła nic... ale ja mam siostrzeńca.

Inicki *(żywo)*.

Hę? *(spokojniej)* Masz pan siostrzeńca, prawda, na wieki zapomniałem, i on jest tu?

Filowicz.

Właśnie został przeniesionym z Sambora do Namiestnictwa, niema trzech tygodni temu.

Inicki.

Do Namiestnictwa? proszę! zapewne z awansem.

Filowicz.

Tak, jest z przeproszeniem jako praktykant.

Inicki (*rozczarowany*).

Praktykant!

Filowicz.

Służy z gustu, bo przy jego majątku...

Inicki (*żywo*).

Majątny! A jakże się cieszę..., dla niego, dla niego ma się rozumieć.

Filowicz.

Ma dobrą wioskę na Podolu, nie licząc że kiedyś po mojem z przeproszeniem najdłuższem życiu...

Inicki.

Kochany pan Filip! (*ściska go*).

Filowicz (*n. s.*)

Teraz chwila puścić sondę do dna (*gł.*) Ale i panna Emilia ma mieć posażek, jak to ludzie mówią z przeproszeniem okragły.

Inicki (*wesoło*).

A jest tam coś, jest kochany panie Filipie, jest coś około stu tysięcy (*n. s.*) Nominalnej wartości.

Filowicz.

Kochany pan Leander, to mi ojciec! Za pozwoleniem (*ściska go. Długa pauza.*)

Inicki.

Hm!

Filowicz.

Hm! hm!

Inicki.

Uhm, uhm, hm!

Filowicz.

Wiesz co panie Leandrze...

Inicki.

Otóż i ja to samo chciałem powiedzieć (*ściskają się*).

Filowicz.

Kiedyż mógłbym służyć z moim siostrzeńcem?

Inicki.

Przyjdź dziś do mnie na obiad i...

Filowicz.

Z przeproszeniem go przyprowadzę.

Inicki.

Zgadł! Jak Boga kocham zgadł. Obiad o pierwszej.

Filowicz.

Stawimy się na minutę. Wiem, że w waszej rodzinie jesteście chodzącą akuracnością i ja akuracność lubię. Żebym tylko tego pędziwichra gdzie złapał.

Inicki (*przestraszony*).

Pędziwichra !...

Filowicz.

Nie, nie... najporządniejszy, najlepszy, najmilszy chłopiec, tylko dystrakt; okropne ma dystrakcje.

Inicki.

Ale na wiosce nie ma długów?

Filowicz.

Czysta jak iza.

Inicki.

Bogu dzięki!

Filowicz.

Ale apropos łzy, muszę kochanego pana uprzedzić, bo to niektórym ludziom jest antypatyczne, innym wydaje się impertynenckie, że mój siostrzeniec ciągle ma z przeproszeniem na nosie...

Inicki.

Brodawkę?

Filowicz.

Nie, ale pince-nez, bo ma tak krótki wzrok, że o trzy kroki mnieby nie poznał.

Inicki.

Niech sobie ma pince-nez i okulary, nawet i binokle, to mi nie nie szkodzi.

Filowicz.

Biegnę więc do niego, zapewne go w biórze zastanę, a o pierwszej jesteśmy tutaj.

Inicki.

Będziemy czekali z niecierpliwością.

Filowicz.

A zatem do zobaczenia.

Inicki.

Do widzenia, kochany panie Filipie, do widzenia
(ściska go).

Filowicz.

Uciekam (wychodzi głębia).

SCENA IX.

Inicki, Balbina.

Inicki (wracając od drzwi zacierając ręce).

Mam go! mam! Balbino!

Balbina (za sceną po lewej stronie).

Braciszku!

Inicki.

Chodź tu prędko.

Balbina (wbiegając).

Czy ci niedobrze?

Inicki.

Gdzież tam! Mamy go!

Balbina.

Tego, co wziął kalosze?

Inicki.

Kto tam mówi o kaloszach, konkurenta mamy.

Balbina.

Gdzie? Kogo?

Inicki.

Siostrzeńca Filowicza, młody, do rzeczy, majątny z przeproszeniem nie... nie... co ja mówię? Karyerę ma przed sobą.

Balbina.

Ależ wytłumacz mi...

Inicki.

Wszakże ci mówię, młody, majątny...

Balbina.

Oświadczył się?

Inicki.

Jeszcze nie, ale się oświadczy, porozumiewaliśmy się już z Filowiczem, przyprowadzi go tu na obiad. Trzebaby coś dodać.

Balbina.

Dobrze, dobrze (*patrząc na zegarek*). Jeszcze czas, poszlę Zuzię na miasto. Coby tu dodać.

Inicki.

Tylko niechaj się Milcia o niczem nie dowie, będzie miała swobodniejsze...

Balbina.

Kotlety wieprzowe, czy nóżki cielęce?

Inicki.

Zachowanie... Lepiej kaczkę z kaparami.

Balbina.

Żeby tylko nie była twarda.

Inicki.

Milcia?

Balbina.

Nie, kaczka.

Inicki.

To już twoja rzecz; ja teraz spieszę na ogólne zgromadzenie towarzystwa agronomicznego, wytłumaczę się prezesowi i zaraz wrócę.

Balbina.

Chcesz wychodzić z takim katarzem.

Inicki.

Mnie konkurent w głowie, nie katar.

Balbina.

Nie zapomnijże przynajmniej kaloszy.

Inicki.

Tego głupstwa nie zrobię.

Balbina (*podając mu cachenez*).

Oto twoje cachenez.

Inicki (*szukając*).

Parasol, gdzie jest mój parasol?

Balbina.

Oto jest.

Inicki (*przy drzwiach wdziewając kalosze*).

Nie zapomnij Milci dodać jakiej kokardy, coś tak niby od niechcenia.

Balbina.

Bądź spokojny.

Inicki.

Za pół godzinki będę z powrotem (*wychodzi*).

SCENA X.

Balbina (*sama patrząc na zegarek*).

Za trzynaście minut dziesiąta. Zuziu! Zuziu! Gdzież ta dziewczyna? Cały porządek domowy dziś przewrócony do góry nogami. — Zuziu!... Musi być w kuchni, lepiej sama do niej pójść (*wychodzi po lewej*).

SCENA XI.

Karol (*sam, puka do drzwi w głębi, potem wchodzi i rozgląda się na wszystkie strony*).

Nie ma nikogo. Przecie mi stróż powiedział, że to tutaj; — pierwsze drzwi na lewo ze schodów. — Pan Inicki. Hm, sam nie wiem, jak mam ten list rozumieć (*kapeluszem przykrywa aniołka, dostaje list zmięty z kieszeni i czyta*). „Zwracam je panu do rozporządzenia...“ Co to ma znaczyć? Chce mi swoje stare kalosze darować?... Impertynent! Rozmówię się z nim. (*p. k. m.*) A może to jakiś staruszek?... Ha trzeba zobaczyć, co to za indywiduum. Na wszelki sposób oryginał. Zapewne jest w swoim pokoju (*krząka*). Hm... (*p. k. m.*) Nic, cicho wszędzie, głucho wszędzie. Hm! hm! hm! Ależ bo ja nie mam czasu.

SCENA XII.

Karol, Emilia.

Emilia (*wchodząc z lewej*).

Cóż papa tak krząka... A!

Karol (*d. s.*).Jakaś panienka. (*gł.*) Przepraszam panią, czy tu mieszka pan Inicki.Emilia (*bardzo zmieszana*).

Tu... tu...

Karol.

Czy zastałem go w domu?

Emilia.

Mój ojciec wyszedł, ale jakże pan mogłeś...

Karol.

Chciałem właśnie wyjaśnić...

Emilia.

Ah panie nie trzeba.

Karol.

Przecie zdaje mi się...

Emilia.

Gdyby mój ojciec się dowiedział, że się znamy...

Karol (*zdziwiony*).Ze się... (*przypatrując się jej przez pincenez z większą uwagą*).

Emilia.

To jest, że pan tędy codzień przechodzisz.

Karol (*n. str.*).

Na honor bardzo ładna.

Emilia.

Że mi się pan kłaniasz.,.

Karol.

Ja się pani...

Emilia.

I że ja się panu kłaniam...

Karol.

Pani? mnie?

Emilia.

Bardzoby się gniewał... i ja się gniewam...

Karol.

A... a... Pani się gniewasz... na mnie?

Emilia.

Zapewne, bo to przecie nieładnie kłaniać się, gdy się nie jest przedstawionym i gdyby ciocia wiedziała...

Karol.

Jest i ciocia?

Emilia.

Ciocia Balbina.

Karol.

Bal...bina?...

Emilia.

Przecie mnie pan z nią spotkałeś.

Karol.

Spotkałem?...

Emilia.

Ale dobrze pan zrobiłeś, że mi się wtedy nie ukłoniłeś...

Karol.

Dobrze zrobiłem? *(n. s.)* A, to zabawne. *(gł.)* Przepraszam panią, że się ośmielę zapytać, gdzie to i kiedy ja się pani kłaniam?

Emilia *(zadziwiona)*.

Gdzie?... Kiedy?...

Karol.

Tak jest, gdzie, kiedy?

Emilia.

Przecie codziennie, tu, do tego okna.

Karol.

Za pozwoleniem *(idzie do okna, przez które patrzy)*.

Emilia.

Przechodząc obok tej latarni.

Karol.

Tej, tej latarni?... *(patrząc przez okno do siebie)*. Na honor latarnia, a ja zawsze brałem ją za krzyż *(gł.)*. Pozwól pani sobie wytłumaczyć... Będąc w Samborze...

Emilia.

Tam mnie pan pierwszy raz widziałeś?

Karol.

Nie pani, ale w Samborze, na drodze z mego mieszkania do starostwa...

Emilia.

Tak, tak, tuż przy starostwie mieszka mój wujcio. Jeździłam do niego z papą.

Karol.

Ależ za pozwoleniem; obok starostwa stoi krzyż. Przyzwyczaiłem się przechodząc...

Emilia.

Proszę pana, mnie nic do tego... ale pan tu ze mną mówisz, mogłaby ciocia... albo papa. . A mój Boże, gdyby papa nadszedł!

Karol.

Czyliż papa taki straszny?

Emilia.

Ah straszny, straszny, bardzo straszny... Więc proszę pana... przepraszam... ale idź pan sobie i... i... nie kłaniaj mi się więcej... albo... albo... każ się pan przedstawić...

Karol (*n. str.*).

Uroczą naiwność. (*gł.*) Więc pani pozwoliłabyś...

Emilia (*cofając się*).

Ja nie, nie, wcale nie nie pozwalałam. (*prawie z płaczem*) Proszę pana idź pan sobie...

Karol.

Ależ ja pragnąłbym właśnie rozmówić się z pani ojcem...

Emilia.

Ach tego już nie słucham! (*zatykając sobie uszy*)
Uciekam! (*wybiega*).

SCENA XIII.

Karol (*sam*).

Cóż to za cudowne dziecko! Co za prostota, jaka naiwność... i zauważyła mnie... (*poprawia włosy i suknie*) Nie ma wątpienia, przecie sama powiedziała: Pan mnie się kłaniałeś, ja się panu kłaniałam... a ja ślepy, latarni się kłaniałem... (*zbliżając się do okna*), bo to przecie wyraźnie latarnia! (*Zaczepia sznurek od pincenez o zamknięcie okna i urywa go.*) Masz teraz, urwałem sobie sznureczek (*zawiązując końce*). Śliczna dziewczyna. (*Bawi się pincenezem, kładzie je potem na stole i tam zostawia.*) Teraz koniecznie muszę się z jej ojcem poznać. Wszak po to tu przyszedłem... ale te zamieniane kalosze nietęga rekomendacya i ten pan Inicki, z jego listu sądząc, coś patrzy na borsuka. (*słychać zegar bijący za sceną.*) Co to jest? już jedenasta! A moje ogólne zgromadzenie agronomiczne! Znowu się spóźnię! To już moje przeznaczenie zawsze i wszędzie się spóźniać. Pójdę tam, potem tu wrócę. (*Chwyta kapelusz i zrzuca nim aniołka ze stolika.*) A to co? Niby aniołek... któż do djabła ten gips włożył mi do kapelusza? (*Przykleka i zbiera kawałki.*) Zdaje się, że się stłukł, odkupię inny (*zbierając i chowając kawałki do kieszeni*). Aniołek... to ona jest aniołkiem... nie gipsowym. O wrócę, wrócę z pewnością (*wybiega głębia*).

SCENA XIV

Balbina (*wchodzi mocno wzruszona*).

Jedenasta! Obiad o pierwszej a tu Zuzi nie ma! Pobieglabym sama, ale mogę się z nią rozminąć... Co tu robić, co tu robić? Obiad niezawodnie będzie spóźniony, mnie będzie wstyd i pan Filowicz gotów to wziąć za złe.

SCENA XV.

Balbina, Filowicz.

Filowicz (*wchodzi w głębi*).

Sługa, służka najniższy pięknej panny Balbiny. Za pozwoleniem proszę rąsi. (*Całuje ją w rękę*).

Balbina (*n. str.*).

Już!... Jestem zgubiona!

Filowicz.

Widzisz mnie pani w rozpacz. Po całym mieście szukam mego siostrzeńca, nigdzie go znaleźć nie mogę. Byłem u niego w domu, w biórze, znikł bez śladu. Znając jego dystrakcyę, obawiam się, żeby mi się gdzie z przeproszeniem do wieczora nie zapodział.

Balbina.

Do wieczora! (*na stronie*) Dałby Bóg, dałabym im wieczerzę.

Filowicz.

Znając państwa punktualność, wpadłem tutaj, by się zawczasu wytłumaczyć na wypadek, gdybyśmy się o parę minut spóźnili.

Balbina (*żywo*).

Nic nie szkodzi, możecie się państwo spóźnić.

Filowicz.

Nie radbym, ale tacy to teraz młodzi ludzie, trzeba biegać za nimi. Ja byłem akuratszejm... Ah panno Balbino nieprawdaż?

Balbina.

Dawne dzieje.

Filowicz.

Gdybyś była z przeproszeniem chciała...

Balbina.

Dajmy temu pokój, jużemy nie młodzi. (*n. str.*)
Ach ta kaczka, ta kaczka!

Filowicz.

Ach, takie wspomnienia nigdy się nie starzeją!

Balbina.

Starzeją się, starzeją i bardzo.

Filowicz.

Okrutna! Pozwól przynajmniej, bym koniuszki twoich różanych paluszków pocałował.

Balbina

Panu zawsze zielono w głowie. (*n. str.*) Gotowa zapomnieć kaparów.

Filowicz.

Spieszę za moim siostrzeńcem, ale przedtem... (*całuje ją w rękę. Inicki ukazuje się w głębi w cachenez, z parasolem pod pachą, ale bez kaloszy*).

Inicki (*kicha*).

Atsz!

(*Filowicz i Balbina rozskakują się*).

SCENA XIV.

Balbina, Inicki, Filowicz.

Inicki.

Do stu piorunów tego za wiele!

Filowicz (*mocno zmięszany*).

W tem z przeproszeniem nie ma nic złego?

Inicki.

Jakto nie ma nic złego?

Balbina (*wskazując Filowicza*).

Mówiliśmy o pańskim siostrzeńcu.

Inicki.

Ale mnie... Atsz!

Balbina i Filowicz.

Sto lat zdrowia!

Inicki.

Znowu kalosze zamieniano!

Balbina.

Między obywatelami!

—Inicki.

Nie... nie... Atsz! niebieskie!

Filowicz.

Niebieskie kalosze. (*n. str.*) Jakże się przelałem,
drzę cały.

Inicki.

Z po... po... Atsz! podszewką nie... nie... Atsz!
niebieską!

Filowicz.

Znajdą się, znajdą.

Inicki.

Djabła tam! Atsz! dziękuję!

Filowicz.

Ale ja tymczasem biegnę szukać mego siostrzeńca.

Balbina.

Nie spiesz się pan.

Filowicz.

Dziękuję za troskliwość. Punkt o pierwszej się
stawię. Upadam do nóżek (*kłania się i wychodzi głębia*).

SCENA XVII.

Balbina, Inicki.**Inicki** (*ucierając nos*).

Nie! To się tylko mnie przytrafić może. Raz, raz jeden w nich wyszedłem! W niespełna dwunastu godzinach dwie pary kaloszy, dwa katary! A... a... (*chce kichnąć*).

Balbina.

Idź prędko zmienić obuwie.

Inicki.

Znowu mi przerwałaś, a to kara Bo... Bo... (*chce kichnąć, słysząc pukanie do drzwi w głębi, w passyi*).
Kto tam!?

Chłopiec (*wchodząc z zielonem zawiniątkiem*).

Wielmożny pan kazał przynieść drugą parę?

Inicki.

Drugą, tak jest, drugą. Jak tak dalej pójdzie, cały sklep zakupię. To będzie ostatnia próba. Jeżeliby mnie i te zamieniali, każę sobie zrobić maszynkę do zamykania. Kalosze z samotrzaskiem. Chodź za mną (*wychodzi do swego pokoju po prawej, za nim chłopiec*).

SCENA XVIII.

Balbina *później Zuzia.***Balbina** *(patrząc na zegarek).*

Czterdzieści minut na dwunastą, zdaje się, że wszystko stracone! *(siada przygnębiona na krzeselku po prawej; płaczkliwie)* Mnie się zdaje że... że... spazmów dostanę.

Zuzia *(wchodzi w głębi z koszykiem na ręku).*

Oto jestem proszę pani.

Balbina *(zrywając się).*

Kaczka jest?

Zuzia.

Jest, ale to chudy kaczor, ostatni był na targu.

Balbina.

Idźże, idź do kuchni i skubaj co najprędzej.

Zuzia.

To się duchem zrobi.

Balbina.

A kapary są?

Zuzia.

Są, paradne.

Balbina.

Spiesz się, bój się Boga!

Zuzia.

Niech się pani nie boi. *(odchodzi po lewej).*

Balbina.

Idę za tobą. *(Robi parę kroków ku drzwiom po lewej, staje i palcami bębni po czole, jak gdyby chciała sobie coś przypomnieć).* Jeszcze coś miałam zrobić ale już czuję zamęt w głowie... A! dwunasta, trzeba zegar nakręcić! *(Idzie i nakręca zegar na kominku. Chłopiec wychodzi z pokoju Inickiego, trzymając zawiniątko w lewej, parę kaloszy w prawej ręce.)*

Inicki *(z progu drzwi).*

Tak, tam postaw przy drzwiach.

Chłopiec.

Prosiłbym na piwo.

Inicki.

Już ci rano dałem. *(Cofa się do swego pokoju i drzwi zamyka. Chłopiec stawia kalosze po prawej stronie drzwi w głębi i wychodzi. We drzwiach spotyka Karola trzymającego w ręku gipsowego aniołka. Karol wszedłszy zdejmuje kalosze, które zostawia po lewej stronie drzwi w głębi.)*

SCENA XIX.

Karol, Balbina.

Karol *(w głębi).*

Fatalna pluta, bez kaloszy ani kroku. Aniołka odkupiłem, byleby mi się udało go zgrabnie na miejscu postawić.

Balbina (*odwraca się i spostrzega Karola*).

A!...

Karol (*chowając aniołka za plecy*).

Przepraszam, nie widziałem pani (*zbliża się do stolika po prawej i stara się za plecami postawić aniołka, co mu się wreszcie udaje*.) Czy tym razem byłem szczęśliwszym i zastałem pani ojca?

Balbina.

Mego ojca? Pan się zapewne mylisz.

Karol.

Wszakże tu przed godziną... (*zbliża się ku niej*).

Balbina (*cofa się przestraszona*).

Ale mylisz się pan, ja pana nigdy nie widziałam.

Karol (*poznawszy, że to nie Emilia*).

W samej rzeczy... tysiąc razy panią przepraszam, musiałem się o piętro pomylić (*Cofa się ku stolikowi chcąc po za siebie wziąć aniołka, którego strąca*.) Brawo drugi aniołek.

Balbina (*coraz bardziej przestraszona*).

Mój panie...

Karol (*ktaniając się i cofając spiesznie ku drzwiom w głębi*).

Przepraszam, przepraszam omyliłem się. (*Wdzięka prędko kalosze stojące po prawej stronie drzwi i wychdzi*.)

SCENA XX.

Balbina sama, później Inicki.

Balbina.

Wyraźnie jakiś półgłówek... już się bać zaczynałam... Dobrze, że poszedł, ale stłukł aniołka (*przykleka i zbiera kawałki*). Przedwczoraj go za reński trzydzieści kupiłam. (*Inicki wychodzi ze swego pokoju, ponury, głowa spuszczone, ręce w tył założone, robi parę kroków, potem spojrzawszy z pod oka na miejsce, gdzie stały jego kalosze, staje jakby piorunem rażony.*)

Inicki (z przerażeniem).

Gwałtu! gdzie moje kalosze?

Balbina (spokojnie).

Przy drzwiach.

Inicki (spostrzegając zostawione przez Karola.)

Te... te!... Ależ to nie moje!

Balbina.

Wszak dopiero kupiłeś.

Inicki.

Ależ moje nowe z żółtą flanelką, a to noszone, za-
błocone z niebieską fla...

Balbina.

Może te co rano...

Inicki.

Jak Boga kocham te same!, Czy to są czary?...
Czy mnie się śni?... Kto tu był? Balbino, kto tu był?

Balbina.

Jakiś pan, dopiero co wyszedł.

Inicki.

Dopiero ?

Balbina.

Zaledwie może być na dole.

Inicki.

Ha! Tym razem nie ujdzie! (*wybiega głębią.*)

Balbina (*biegnąc za nim*).

Leandrze stój! (*stając*) Poleciał bez kapelusza...

Ha, zresztą... Ja idę do kuchni.

SCENA XXI.

Karol (*sam*).

Karol (*wchodzi głębią i zdejmuje kalosze po prawej stronie drzwi.*)

Nie, nie omyliłem się, byłem na drugim i na trzecim piętrze, wszędzie mnie powiedziano, że pan Inicki mieszka tu na pierwszym (*szukając po sobie pince-nez*) Djabli nadali, gdzieś pince-nez zgubiłem... Ta pani, to zapewne ciocia Balbina... nieładna... Bądź co bądź tym razem muszę dotrzeć do pana Inickiego. (*obejrzawszy się, spostrzega sam siebie w stojącym zwierciadle.*) A, zdaje się, że otoż i on (*kłania się do zwierciadła*). Wszakże mam honor mówić z panem Inickim? (*zbliża się powoli*) Odebrawszy pański list, pragnąłem

się z Panem rozmówić albowiem... (*przyszedłszy do samego zwierciadła, spostrzega swoją pomyłkę.*) Dobrze, teraz sam sobie się kłaniam i od siebie żądam wyjaśnienia... Gdzież u diabła pince-nez podziałem?

SCENA XXII.

Karol, Inicki.

Inicki (*wchodząc zasapany*).Znikł jak kamfora! (*spostzegając Karola.*) A!

Karol.

Z kim mam honor?

Inicki.

Czy to pan tu byłeś?

Karol.

Zapewne pan Inicki?

Inicki.

Tak jest, ale odpowiadaj pan, byłeś tu, czy nie byłeś?

Karol.

Byłem u pana...

Inicki.

Więc to pan moje kalosze zamieniłeś?

Karol.

W samej rzeczy, byłem tak nieszczęśliwy...

Inicki.

To nie jest nieszczęśliwy! To jest nieuważny, to jest roztrzepany, to jest niedelikatny!

Karol (*urazony*).

Mój panie! (*n. s.*) To jej ojciec, mitygujmy się.

Inicki.

I to pan zapewne mi moje drugie kalosze zamieniłeś z niebieską flanelką?

Karol.

Uspokój się pan, wszakże je odesłałem...

Inicki.

Pan, jak uważam, nie masz zwyczaju patrzeć w kalosz, gdy go wdziewasz!

Karol.

Nie panie.

Inicki.

Ha, kiedy tak, to może pan i moje pierwsze kalosze zamieniłeś, z czerwoną flanelą... wreszcie i trzecie żółte, czarno-żółte urzędowe kalosze. Panie, panie! Gdzie moje kalosze?

Karol (*zniecierpliwiony*).

Alboż ja wiem! (*na stronie*) Borsuk!

Inicki.

Tu, tu stały (*oglądając się wskazuje miejsce, gdzie stoją kalosze i spostrzega je*).

Karol.

Widzisz pan, że ich nie zabrałem.

Inłcki.

Miałeś je pan na nogach?

Karol.

No miałem, miałem, ale pozwól pan...

Inicki.

Panie, to, to, to jest niegodziwe!

Karol.

Ależ do kroćset djabłów wysłuchajże mnie pan.
Jestem Karol Bótowski...

Inicki.

Butowski! Butowski! Pan się nie Butowski zwać
powinien, ale Kaloszkiewicz! (*wychodzi w pasy do swego
pokoju i drzwi zamyka*).

Karol (*do drzwi*).

A pan jesteś impertynent, gbur, borsuk!

SCENA XXIII.

Karol, Filowicz.

Filowicz (*wchodząc zmęczony*).

Przecie jesteś!... Ale zkądże się tu wzięłeś?

Karol.

Dobrze, że wuja spotykam. Idę szukać sekundan-
tów, ale tymczasem proszę wuja go wyzwąć.

Filowicz (*przestraszony*).

Kogo?

Karol.

Inickiego *(wybiega głębią)*.

Filowicz *(zatacza się i pada na krzesło po prawej drzwi w głębi)*.

Urzędnik przy Namiestnictwie chce się rąbać!

SCENA XXIV.

Filowicz, Balbina.

Balbina *(wchodząc po lewej)*.

Kto się chce rąbać, Leander?

Filowicz.

Gdzie tam Leandra, z przeproszeniem chcę rąbać!...

Balbina.

Wielki Boże! Kto?

Filowicz.

Ten wartogłów.

Inicki *(odchylając drzwi)*.

Czy już poszedł?

Balbina.

Kto?

Inicki *(wchodząc ostrożnie)*.

Nie ma go? Pewnie?

Filowicz.

Ach niestety, wyleciał jak opętany.

SCENA XXV.

Ciąż, Karol.

Karol (*wpadając w głębi*).

Kaloszy zapomniałem!

(Inicki wskazuje do swego pokoju i drzwi zamyka. Karol szybko zawdzięwa kalosze po lewej stronie drzwi stojące).

Filowicz.

Karolu, Karolciu! gubisz mnie i siebie.

Karol.

Wnet przyszlę sekundantów i zabiję go! (*wybiega*).

Balbina.

Słabo mi, słabo... Filipie! (*pada na krzesło po lewej stronie drzwi w głębi*).

Filowicz.

Z przeproszeniem wstać nie mogę.

SCENA XXVI.

Ciąż, Emilia, później Inicki.

Emilia.

Co się tu dzieje? Ciociu! Panie Filowicz! (*oboje dają znaki, że mówić nie mogą. Emilia biegnie do drzwi Inickiego i gwałtownie puka*). Papo! Papo! Ciocia i pan Filowicz zachorowali!Inicki (*przy drzwiach*).

A nie ma tam więcej nikogo?

Emilia.

Nie ma, otwórz papa prędzej, prędzej!
(*Inicki wchodzi blady, mocno zmieszany.*)

Inicki.

Czegożeś...cie... się tak... tak... przelekli... Tu... tu... trzeba ra... radzić... (*grzmiącym głosem*) Wstawajcie! (*Filowicz i Balbina jakby sprężyną ruszeni zrywają się.*) Trzeba obmyśleć środki bezpieczeństwa. Filipie, mój przyjacielu, biegnij, leć za nim i uspokój go. Ale go na obiad nie przyprowadzaj!

Filowicz.

Gdzież go znajdę, on mnie nie posłucha.

Emilia.

O kim mowa?

Inicki (do Filowicza).

No to leć do policyi, do Wydziału krajowego, po doktora, niech go zamkną do Kulparkowa!

Filowicz.

Nie mogę, mam nogi jak z bawełny.

(*Emilia przystępuje do Filowicza, zdaje się go po cichu wypytować, on mocno zmieszany jakby monosylabami odpowiadał; oboje powoli zbliżają się do okna.*)

Balbina (do Inickiego).

Może gdybyś do niego napisał.

Inicki.

Dobrze, dobrze... napiszę... daj mi papier i pióro.

Balbina (wskazując stół po lewej).

Tu na stole masz wszystko do pisania.

Inicki (*który usiadł i próbował pisać*).

Coś... Czemuś... mi się ręka trzęsie... to... katastrofalne... Możebyś ty napisała (*wstaje*).

Balbina (*siadając na jego miejscu*).

Dobrze, dyktuj!

Inicki (*dyktując*).

Kochany panie... (*do siebie*) Kochany!

Balbina (*pisząc*).

Panie...

Inicki.

Napisałaś... Panie... Panie... (*p. k. m.*) Nie, nie mam konceptu przy dyktowaniu, wstawaj, sam napisz. (*Balbina wstaje, on siada; pisząc.*) Szanowny i kochany panie...

Emilia (*spojrzawszy przez okno*).

A!

Inicki i Balbina (*przestraszeni*).

Co?

Filowicz (*patrząc przez okno*).

To on! Leci tu jak szalony!

(*Inicki zrywa stół i biegnie ku drzwiom swego pokoju.*)

Inicki.

Nie ma mnie w domu.

Emilia i Filowicz (*razem*).

A!

Inicki (*stając*).

Cóż znowu?

Fiłowicz.

Rznął łbem o latarnię... podnosi zgnieciony kapelusz... pociera czoło... zdaje się zatumaniony, lece!

Inicki.

Stój! Albo idź!... Nie! Stój!... Idź, idź po niego. Zatumaniony! Może zapomniał o pojedynku! Korzystajmy z chwili słabości! *(biegnie do okna, które otwiera i mówi kiwając białą chustką. Emilia przy nim stoi w oknie.)* Panie! Kochany panie! Ja pana bardzo przepraszam... Ja... ja pana bardzo szanuję... Proszę, proszę pana do siebie na górę... bardzo proszę! Idzie! *(odstępuje od okna i bierze Emilię za rękę.)* Milciu, teraz na ciebie przyszła chwila poświęcenia. Widziałś tego młodzieńca, to siostrzeniec pana Fiłowicza. Tu chodzi o życie twego rodzica.

Emilia.

Ależ papo, ja nic nie rozumiem...

Inicki.

Nie potrzeba, żebyś rozumiała. Pójdiesz za niego?

Emilia.

Ja...

Balbina.

Zaklinamy cię!

Inicki.

Wahasz się? Pójdiesz za niego, czy nie pójdiesz?
Mów!

Emijla.

Jeżeli papa każe, pójde.

Inicki (*patetycznie całując ją w czoło*).

Dobrze moje dziecko, spodziewałem się tego po tobie.

SCENA XXVII i- ostatnia.

Emilia, Balbina, Filowicz, Karol, Inicki.

(*Filowicz wciąga półgwałtem Karola.*)

Filowicz.

Chodźże, chodź!

Karol.

Idę... ale to się tak nie obejdzie.

Inicki (*z czułością*).

Filipie, to twój siostrzeniec! W moje objęcia młodzieńcze!

Karol.

Za pozwoleniem, mój panie, bez tych czułości pomówmy najprzód o pańskiej obeldze.

Inicki.

O mojej obeldze! Czy słyszysz Filipie! O mojej obeldze! Ależ młodzieńcze, to była próba, próba twojego męstwa, bo ja, który męstwo nadewszystko, nad życie cenię, chciałem się przekonać, czy jesteś mężnym zanim ci powierzę, co mam najdroższego na świecie!

Karol (*uradowany*).

Czy dobrze zrozumiałem?

Inicki.

Zrozumiałeś, zrozumiałeś! Zresztą spytaj się twego wuja... wszak to było między nami ułożone?

Filowicz.

Tak... tak jest, mieliśmy tu z przeproszeniem być na obiedzie.

Balbina.

I będziecie panowie.

Karol.

Jakże mam panu moją wdzięczność wyrazić! (*do Emilii, która stoi za Balbiną.*) I pani potwierdzasz słowa ojca? przystajesz?

Emilia (*robiąc dyga*).

Chętnie.

Inicki (*na stronie*).

Pocziwe dziecko!

Karol.

O dzięki ci pani. (*do Inickiego*) I panu (*ściska go za rękę*).

Inicki (*na stronie strzepując rękę*).

Silny! (*głośno*) Ale teraz, kiedy już stanowczo zamieniłeś kalosze na pantofel, przyrzeknij, że moim dasz pokój.

Karol (*zbliża się z zapalem do Balbiny, która się cofa z przestachem, poznawszy ją*).

O przepraszam! (*do Emilii całując ją w rękę*) Nigdy nie zamieniam! Przysięgam!

TRZY DOMINA.

ŻART SCENICZNY

w jednym akcie.

PERSONY.

HORTENSYA }
JADWIGA } młode wdowy.
ALBERT. }
KAROL. }

Rzecz dzieje się w mieście na balu u Hortensyi.

TRZY DOMINA.

(Teatr przedstawia elegancki salonik w kwiaty ubrany, z którego w głębi dwoje drzwi otwartych z portyerami prowadzi do sali balowej. Między temi drzwiami kominek. Na nim zegar i dwa świeczniki z zapalonemi świecami. Nad nim zwierciadło. W przedostatniej kulisie po prawej i po lewej drzwi. Na przodzie sceny po lewej kanapka na dwie osoby; po prawej dwa kręła, między niemi stoliczek dywanikiem przykryty. Reszta umeblowania do woli. Podczas całej sztuczki słyhać w głębi za sceną muzykę, grającą z przerwami tańce balowe.)

SCENA I.

Jadwiga, Albert.

(Jadwiga w balowej sukni pod białem dominem z różową kokardą. Albert w czarnym fraku i białej krawacie, po wierzchu ma lekko zarzucone ciemne domino. Oboje wchodzi w głębi po lewej trzymając czarne, aksamitne maski w ręku.)

Albert.

Obstajesz zatem przy swoim zamiarze?

Jadwiga.

Spodziewam się. Jestem dumną z mojego pomysłu i chcę go jak najdokładniej wykonać.

Albert.

Nie byłoby lepiej, gdybym cię po prostu Hortensyi przedstawił i żebyście się poznały, jak się to zwykle dzieje między osobami, które, jeżeli się moje nadzieje ziszczą, wkrótce będą spokrewnione?

Jadwiga.

Mysząc zatem, że ją będę znała dokładnie, gdy nas wzajemnie przedstawią, gdy jej zrobię pięknego dyga i gdy sobie tych kilka oklepanych komplementów powiemy, które w podobnych razach są używane: „bardzo mi przyjemnie panią poznać“. „Ja się tem najbardziej cieszę.“ — „Tak wiele mi o pani mówiono.“ „Ach, ja tyle o pani słyszałam.“ O, nie, bardzo przepraszam! Z tego nie dowiedziałabym się niczego. Nazwisko Hortensyi, równie jak i jej stanowisko w świecie są mi znane, lecz nie o to mi chodzi; chcę wiedzieć, czy ona ciebie kocha. Chociaż jestem tylko przyrodną twoją siostrą i do tego młodszą, mieliśmy jedną matkę, kocham cię więc jakby rodzona siostra i niedozwolę byś sobie lekkomyślnie postąpił tam, gdzie idzie o całą twoją przyszłość (*siada w karle po prawej*).

Albert.

Zaręczam ci...

Jadwiga.

Wiem, wiem, co mi powiesz: że ją kochasz; ubóstwiasz, że jest ona aniołem, który umyślnie dla ciebie

zstąpił na ziemię i t. d., i t. d. lecz ja dzięki Bogu znam pana brata i wiem, że to już nie po raz pierwszy...

Albert.

O, tym razem mogę ci przysiąc, że...

Jadwiga.

Ze to jest tą jedyną, prawdziwą miłością, która trwać będzie... dopóki jej inna nie zastąpi.

Albert (*żywo*).

Jadziu!

Jadwiga.

No, no, nie gniewaj się; już przyznaję, że to jest prawdziwa, najprawdziwsza, najtrwalsza miłość, przypuszczam nawet, że nie mogłeś lepszego ani stosowniejszego wyboru zrobić, ale pozwolisz, że ja, z mojej strony, zużytkuję mój instynkt kobiecy i moje doświadczenie wdowy, by się przekonać, czy ona ciebie tak kocha, jak na to zasługujesz. Pamiętaj zawsze, że ty jesteś jedną z najświetniejszych partyj w Polsce.

Albert.

Jakto? Podejrzewasz Hortensyę o rachubę?

Jadwiga.

Bynajmniej, ale radabym wiedzieć jak rzeczy stoją. Właśnie dlatego, zaledwie odebrałam list, w którym mi donosisz, że się znowu kochasz i że chcesz się żenić, porzuciłam bez wahania bale, zabawy, nawet...

Albert.

Co?

Jadwiga

Nic... Kiedy indziej ci to powiem, dość że przy-
leciałam wprost z Paryża, dzięki Bogu jeszcze w czas
skoro mi powiadasz, że stanowcza decyzja jeszcze nie
powzięta.

Albert.

Na moje nieszczęście! Zdaje mi się, że pozyska-
łem serce Hortensyi, a jednak pomimo moich nalegań
i błagania jeszcze mi swojej ręki nie przyrzekła.

Jadwiga.

Zepsute dziecko! I ty się martwisz tem, co cię
najbardziej cieszyć powinno, co najwięcej za nią prze-
mawia; bo przecież sam mi przyznasz, że twoja repu-
tacya nie jest tego rodzaju, by mogła wielkie zaufanie
wzbudzić w kobiecie, która w małżeństwie nie szuka
czego innego jak li tylko świetnej partyi.

Albert.

Moja reputacya! Wiecznie moja reputacya! My-
ślałby kto, że jestem conajmniej Don Zuanem, jeżeli
nie samym Sinobrodym!

Jadwiga.

Sinobrodym, jak Sinobrodym, ale Don Zuanem...
nie przysięgłabym na to. Obiegają pewne pogłoski,
że jeżeli nim nie jesteś, jednak nie zanieczywałeś ni-
czego, by nim zostać.

Albert (*zaniepokojony*).

Nie mówże tak głośno.

Jadwiga (*śmiejąc się*).

Czy tu jest echo?

Albert.

Echa nie ma, ale mógłby kto usłyszeć, a wtedy myślanoby, że zwykła grzeczność, trochę uprzejmości.

Jadwiga.

O tak, w samej rzeczy bardzo wiele uprzejmości.

Albert.

Pst! cicho! (*wskazując drzwi po prawej*) Tam są pokoje Hortensyi.

Jadwiga.

Boisz się! Biedny! Do tego stopnia jesteś zawojowany.

Albert.

Nie boję się, (*ciszzej*) ale się wszystkiego lękam.

Jadwiga.

To jasne jak dzień.

Albert.

Jeżeli się, jak każdy młody człowiek, trochę... jakże mam to nazwać... umizgałem... tak, niby to troszeczkę umizgałem, za to teraz Kocham ją, ubóstwiam...

Jadwiga.

Tak, tak, już mi to mówiłeś i ja temu wierzę. Cóż jesteś zadowolony?

Albert.

Ale bo ty to jakoś tak mówisz, jak gdybyś sobie trochę drwiła i mam ci się przyznać, twój dziwaczny sposób zaznajomienia się z Hortensyą, niepokoi, ba, nawet zastrasza mnie. A nużby się obraziła.

Jadwiga.

Czem się ma obrazić? Karnawałową niespodzianką? Tem, że przyszedłeś do niej na bal z twoją siostrą zamaskowaną? Dajże mi pokój! Wszakże na stopie na jakiej jesteście to byłoby śmiesznem.

Albert.

Zapewne, jednak...

Jadwiga.

Podczas podróży daremnie łamałam sobie głowę, by wynaleść sposób zbliżenia się do niej i mówienia z nią nie będąc jej znaną, aż tu sam przypadek najlepszą sposobność mi nastręczył. Zaledwie bowiem wysiadłam z pojazdu, dowiaduję się w hotelu, że pani Hortensya daje dziś bal kostiumowany, na którym dopiero o północy wszyscy się mają demaskować. Otwieram natychmiast moje kufry, dostaję z nich świeżą balową suknię i paryzkie domino; przezorna niewiasta nigdy bez tego w podróż puszczać się nie powinna, i przychodzę na bal pod opieką mego szanownego brata, który z uderzeniem północy... brrr... dreszcz mnie przejmuje... swoją przyrodnią siostrę pani domu przedstawi. Czy może na świecie być coś naturalniejszego (*wstaje*):

Albert.

Nie przeczę... jednak gdyby ona twoją myśl odgadła...

Jadwiga.

W tym względzie spuść się na mój takt i na moje przywiązanie do ciebie. Nie skompromituję cię.

Albert.

Spodziewam się, że jej nie wspomnisz o...

Jadwiga.

O twoich uprzejmościach, nie, nie bój się, nic nie powiem, chociaż możeby sumienie nakazywało ją ostrzedz.

Albert.

Jadziu! przecie tego nie zrobisz!

Jadwiga.

Ach jakże dobrze mówią, że miłość rozum odbiera... mężczyznom ma się rozumieć.

Albert.

Niech i tak będzie, ale teraz czas nam się rozejść.

Jadwiga.

Czekaj, czekaj! Jakżeś ty gorąco kapany! Jeszcze mi nie powiedziałaś, poczem będę mogła ją poznać.

Albert.

Będzie miała na sobie różowe domino z białą kamelią, którą jej dałem.

Jadwiga.

Bez podpisu?

Albert.

Ty zawsze żartujesz.

Jadwiga (*śmiejąc się*).

A to tak ważna sprawa! (*seryo*) Bądź spokojny, w danej chwili potrafię być seryo. (*Hortensya ukazuje się w różowym domino, z białą kamelią, we drzwiach po prawej.*) Licz na serce, które cie kocha.

Albert *(całując ją w rękę).*

Tylko bądź ostrożną.

Jadwiga.

A ty mnie nie zdradź.

Hortensya.

Ach! *(cofa się szybko do swego pokoju).*

Albert.

He? Co?

Jadwiga.

Cóż takiego?

Albert.

Zdaje mi się, że ktoś przemówił.

Jadwiga.

To głosy dochodzące z sali balowej. Idźmy tam, ale nie razem.

(Odchodzą w głębi; Jadwiga drzwiami po prawej, Albert po lewej.)

SCENA II.

Hortensya *(sama).*

(Wychodzi ze swego pokoju bez maski.)

Zdradzona! Tu w moim własnym domu, pod moimi oczami i to w chwili, gdy miałam oddać mu moją rękę!... Niewdzięczny!... Lecz któż ona jest? Nie poznałam jej! Ha! Zaraz się dowiem, chociażbym

miała zedrzyć jej maskę! (*robi parę kroków ku głębi, potem się zatrzymuje*) Nie, nie mogę! Przyznałabym tem, że go kocham, a ja go nie cierpię, (*placząc*) nie... nienawidzę!... Ach umrę z żalu! (*pada na kanapę i chustką oczy zakrywa.*)

SCENA III.

Hortensya, Karol.

(*Karol wchodzi drzwiami po lewej w czarnym fraku i białej krawacie; po wierzchu ma ciemne domino, w ręku trzyma czarną maskę.*)

Otóż i jestem u pani Hortensyi. Wiem, że i Jadwiga tu się znajduje w białem dominie z różową kokardą, a chociażbym tego nie wiedział poznałbym ją na pierwszy rzut oka bądź w siódmem niebie, bądź na dnie samego piekła! Niedopojęcia! — Poco ona mogła tu przyjechać? — Przecie nie dla balu kostiumowanego wyjeżdża się raptownie wśród zimy z Paryża. Miałaby ona tu dla kogo przyjechać? Na samą tę myśl krew we mnie kipi. Ale hola, spokojnie, spokojnie... Zdajmy sobie najprzód sprawę z mego położenia. Nie jest świetnem. Przyszedłem tu nieproszony. Otóż, od czego zacząć? Czy mam się zgubić między maskami, czy pójść wprost przeprosić panią Hortensyę za to, że bez zaproszenia na jej bal przyszedłem. Jestem z nią na dość przyjaznej stopie, by mi uszło to wykroczenie przeciw prawom towarzyskim, wszelako wypadaloby się wytłumaczyć. Lecz z drugiej strony trzebaby wtedy uchylić maski, ktoś mógłby dostrzedz albo podsłuchać, ona sama mogłaby się zapamiętać a wtedy *adieu* moje in-

cognito. Nie, nie, lepiej zachowajmy maskę, zresztą chociażbym i chciał, jakże ją znajdę w tej ciźbie?

Hortensya (*obciera oczy i wstaje*).

Ha, darmo; dziś więcej niż kiedykolwiek trzeba mi być mężną i spokojną.

Karol (*sposptrzegając ją*).

Pani tu! Ach! jakże jestem szczęśliwy, że panią spotykam w chwili, gdy jej szukałem, by ją przeprosić.

Hortensya (*roztargniona **).

Mnie? Za co?

Karol.

Za to, że ośmieliłem się przyjść na pani bal nie będąc zaproszonym.

Hortensya.

Ja pana nie prosiłam?

Karol.

Zdaje się, że nie, skoro nie ma jeszcze godziny, jak z Paryża przyjechałem.

Hortensya (*jak wyżej*).

W istocie? Zdawało mi się, że pana kiedyś tu spotkałam.

Karol (*śmiejąc się*).

To dowodzi, jak wiele miejsca w pani myśli i pamięci zajmuję.

*) Przez roztargniona nie rozumie się tu roztrzępana, lecz że myśl ma czem innym zajęta.

Hortensya.

Wybacz mi pan, jestem bardzo roztargnioną, przytem zajęcia z powodu mego balu...

Karol.

O, ja pani tego bynajmniej za złe nie biore, zwłaszcza jeżeli mi pani pozwolisz tu zostać.

Hortensya.

To się samo przez się rozumie; tak dawny znajomy jak pan...

Karol.

Tylko jako taki mogłem się na podobny krok odważyć. *(na stronie)* W samej rzeczy ona zawsze była dla mnie niezmiernie uprzejmą; gdybym jej się zwierzył zamiast prosić ją o zachowanie mi tajemnicy względem mojej bytności na balu. Toby mi ulżyło, a przytem mogłaby mi w czem pomódz, przynajmniej dobrej rady udzielić. *(głośno)* Pani nawet się nie domyślasz, jak ważny miałem powód być u niej dziś wieczór.

Hortensya *(zawsze roztarguiona)*.

W istocie?

Karol.

Tak jest pani, a tym powodem jest miłość, bo kocham szalenie, namiętnie...

Hortensya *(obojętnie, nie myśląc co mówi)*.

Prawdziwie?

Karol *(żywo)*.

Jakto czy prawdziwie? Powiadam pani szalenie, namiętnie... niestety moje położenie dość jest trudne

i dlatego udaję się do pani z prośbą, byś mi rady udzieliła.

Hortensya *(na str.)*.

W tej chwili pewnie są razem.

Karol.

Zeszłego lata pojechałem do kąpiel morskich w Hawrze. Spotkałem tam kobietę... Ach pani, co za kobietę!... Jakże mam opisać jej wdzięki! To mało powiedzieć, że była najpiękniejszą, najmiłszą, najrozumniejszą, najwspanialszą istotą w Hawrze i na całej kuli ziemskiej, trzeba dodać, że była ideałem, i że dośyc było spojrzeć na nią, by się w niej zakochać.

Hortensya *(na str.)*.

Ona pewnie słucha jego komplementów.

Karol.

Właśnie to mi się zdarzyło.

Hortensya.

Słuchałeś pan komplementów?

Karol.

Nie pani, zakochałem się.

Hortensya *(z zwrastającym zapalem)*.

Pan? W kim?

Karol.

W niej! W kobiecie najpiękniejszej, najmiłszej, najrozumniejszej, najzgrabniejszej, najwspanialszej, ... ale wszakże to pani już mówiłem.

Hortensya *(z uśmiechem)*.

W samej rzeczy zdaje mi się, że coś podobnego słyszałam.

Karol.

Od tej chwili nie odstępowałem jej ani kroku; pojechałem za nią do Paryża, dzień w dzień u niej bywałem, dając jej nieustannie tysiączne dowody miłości bez miary, bez granic, niepojętej, nieskończonej!

Hortensya *(która już nie słuchała na str.)*.

Co też on jej teraz może mówić?

Karol.

Trzeba było może mówić! Ach, pani, wszakże ja od rana do nocy o niczem innym jej nie mówiłem jak o mojej miłości bez miary, bez granic, nieskończonej, niepo...

Hortensya *(na str.)*.

Dłużej nie wytrzymam, muszę zobaczyć co oni tam robią *(chce odejść)*.

Karol *(zatrzymując ją)*.

Ach zlituj się pani, jeszcze słówko. Dwa miesiące starałem się o nią, jeżeli staraniem nazwać można ubóstwianie bez miary, bez granic, niepojęte, nieskończone! Wreszcie zaczęło mi się zdawać, że i jej serce topnieje, gdy pewnego dnia... nie to było wieczór... gdy przyjechałem do niej, by jadącą na bal sprowadzić ze schodów, wsadzić do pojazdu, wyprzedzić i w bramie domu, gdzie był bal, podać jej rękę do wysiadania... dowiedziałem się... okropnie! dowiedziałem się, że niespodziewanie wyjechała do Krakowa.

Hortensya (*z zwrastającą uwagą*).

A!

Karol.

Pani podzielasz moje cierpienie, dziękuję pani.

Hortensya.

I cóż pan zrobiłeś?

Karol.

Co zrobiłem? Wróciłem do domu, zamknąłem ból w sercu i kuferek na prędcie spakowany, poleciałem na dworzec kolei, wpadłem do wagonu i przyleciałem tu za nią pośpiesznym pociągiem o godzinie ósmej czterdzieści sześć minut wieczór.

Hortensya.

Zatem ona tu przyjechała?

Karol.

Nie przed tem, ona przyjechała Bummelzugiem o godzinie dziewiątej pięćdziesiąt pięć minut rano.

Hortensya.

Czy ona jest Polką?

Karol.

Tak i nie, właściwie nie. Z matki jest Polką, ale jej ojciec i mąż byli Francuzami, wszakże doskonale mówi po polsku. Lecz nie o to tu chodzi. Zaledwie wpadłem do hotelu Saskiego pytam się o nią i dowiaduję się, że w istocie tam mieszka, ale że przed godziną wyjechała na bal do pani.

Hortensya.

Do mnie? Tu, tu?

Karol.

Tu, tu. Ma na sobie domino białe z różową kokardą.

Hortensya.

To ona!

Karol.

Oczywiście, że ona!

Hortensya *(do siebie)*.

To za śmiało! *(zamyśla się)*.

Karol.

Skoro się dowiedziałem, że jest tutaj, jedyną moją myślą było zbliżyć się do niej, by dociec tajemnicy, którą się otacza. Zarzuciłem na przedce domino i przyszedłem zdecydowany na wszystko byłem otrzymał wyjaśnienie.

Hortensya *(na str.)*.

Nieba mi go w sam czas zesłają. *(głośno)* Jeśli się nie mylę przed chwilą prosiłeś mnie pan o udzielenie mu rady.

Karol.

I powtórnie o nią błagam.

Hortensya.

Czy mogę liczyć na to, że jeżeli Panu tej rady udzielię, pan jej usłuchasz jakkolwiek może dziwaczną się panu wyda.

Karol.

Mów pani, będę posłusznym.

Hortensya.

Znając pana nie wątpię, że pan nie przyszedłeś tu w zamiarze robienia sceny zazdrości, wywołania skandalu, który zresztą obróciłby się przeciw panu. O ile pana rozumiałam, panu głównie chodzi o odsłonięcie tajemnicy, która spowodowała wyjazd z Paryża tej... tej... którą pan kochasz. *(na stronie)* Sama nie wiem dlaczego nie mam odwagi zapytać go o jej nazwisko.

Karol.

Ach, tak jest, tak. Z pani słów zaczynam własną myśl rozplątywać.

Hortensya.

Słuchajże mnie pan z uwagą. Jeżeli pan się jej ukazesz w tem dominie, pozna pana na pierwszy rzut oko i nic nie osiągniesz, niczego się nie dowiesz. Ja panu dam sposób zbliżenia się do niej, nawet mówienia z nią, jeżeli panu nie braknie odwagi, i to w takim przebraniu, że prawie niepodobieństwem dla niej będzie pana poznać.

Karol.

Ach jakże wdzięcznym pani będę!

Hortensya.

Stawiam jednak warunek.

Karol.

Któremu zawczasu się poddaję.

Hortensya.

Trzeba, żebyś mnie pan o wszystkim uwiadomił, co tylko usłyszysz lub zobaczysz.

Karol.

Przysięgam!

Hortensya.

Jeszcze mam panu coś polecić, ale przedtem powiedz mi, czy znasz hrabiego Alberta?

Karol.

Nie pani.

Hortensya.

Wskażę go panu. Otóż pamiętaj nie spuszczać go z oka, ale wcale z nim nie mówić.

Karol.

Z hrabią, Albertem, dla czego?

Hortensya.

Już się pan pytać zaczynasz.

Karol.

Czy myślisz pani, że on w tem gra jaką rolę?

Hortensya.

Nie nie wiem, nie nie myślę, ale powtarzam moje ostrzeżenie: Nie spuszcжай go pan z oka, ale nie z nim nie mów.

Karol.

Stanie się według woli. Lecz jakże mam pani moją wdzięczność wyrazić?

Hortensya.

Dasz mi dowód tej wdzięczności, bacząc na wszystko, milcząc i będąc mi posłusznym. Pan wiesz, że panu nie wolno się zdemaskować bez mego pozwolenia.

Karol.

Wiem to doskonale... odkąd mi to pani powiedziałaś.

Hortensya.

A zwłaszcza, cokolwiekbyś wiedział lub słyszał, nie unos się pan i nie zdradz.

Karol.

Drzę na myśl dowiedzenia się tego, co wiedzieć pragnę.

Hortensya.

Teraz chodź Pan. Jeszcze niektóre instrukcje podam panu przez drzwi, podczas gdy inną osobistość przybierzesz.

Karol.

Służę pani.

(Wychodzą na prawo.)

SCENA IV.

Jadwiga *(sama)*.

(Wchodzi zamaskowana w głębi po prawej, rozgląda się, czy nie ma nikogo, potem zdejmuje maskę).

Niesposób nigdzie nie spotkać pani Hortensyi. Przecie Albert najwyraźniej mi powiedział, że będzie miała na sobie domino różowe z białą kamelią. Może umyślnie przybrała inną maskę. — To oczekiwanie

staje się nieznośnem, tembardziej, że godziny mijają, mijają... Pięknieby mi się udało, gdyby północ wybiła, zanim zdołam z nią mówić. Cała moja dyplomacya spelzłaby na niczem... Zdaje mi się, że zaczynam się niecierpliwić, ... miałabym ochotę popsuć wszystkie zegary... (*coraz bardziej zirytowana*) Cierpliwości, święta cierpliwości nie opuszczaj mnie! Kiedyś przecie się pokaże. — Nic nie pomoże, muszę być cierpliwą. Dla zabicia czasu przejdę jeszcze raz w myśli planik, który sobie ułożyłam. — Skoro ją spotkam... Hm. — Nie tak to łatwo jak się zdaje. — Przecie nie mogę jej odrazu powiedzieć: Piękna maseczko znam cię, bądź tak grzeczną, powiedz mi szczerze, ale co się nazywa szczerze, kochasz czy nie kochasz Alberta? Mogłaby się zadziwić i ja sama zadziwiłabym się na jej miejscu. To byłoby trochę za gwałtowne. — Lecz na co chcieć naprzód układać, co samo powinno z rozmowy wypłynąć. Tak, ale na to, żeby z kim mówić, trzeba go najprzód mieć pod ręką. (*Albert ukazuje się we drzwiach w głębi po lewej.*) Ktoś idzie! (*zakłada pośpiesznie maskę*) A, to ty Albercie? (*zdejmuje maskę.*)

SCENA V.

Jadwiga, Albert.

Albert.

Cóż widziałaś się z nią?

Jadwiga.

Ani odrobineczkę.

Albert.

Szczególne! Wszyscy goście się już zjechali, a ona się nie pokazuje. Czy przypadkiem nie zasłabła? W istocie zaczynam być tak niespokojnym!

Jadwiga.

Cicho sza! Ktoś nadchodzi! (*zakłada żywo maskę. Hortensya w niebieskiem domino zamaskowana wchodzi drzwiami po prawej, za nią Karol również zamaskowany w sukni balowej z ogonem, po której ma domino różowe z białą kamelią.*)

Hortensya (*cicho do Karola*).

To jest hrabia Albert.

Albert.

Ach, przecie! (*chce się zbliżyć do Karola, Hortensya żywo zastępuje mu drogę i bierze go pod ramię.*) Przepraszam cię maseczko, ale...

Hortensya (*udanym głosem*).

Miałżeby hrabia Albert damie odmówić — nie podać jej ręki.

Albert.

Bynajmniej, jednak...

Jadwiga (*cicho do Alberta*).

Zostaw nas same.

(*Albert robi giest poddania się i wychodzi w głębi po prawej, odając rękę Hortensyi, wszakże odchodząc odwraca się kilka razy i spogląda czule na Karola, który stoi nieporuszony.*)

SCENA VI.

Jadwiga, Karol.

Jadwiga (*patrząc na Karola na str.*).

Wydaje się nieśmiałą. (*głośno*) Piękna maseczko, przyjaciółka cię opuściła, czy nie mogłabym jej zastąpić?

Karol (*udanym głosem*).

I owszem; bardzo mi będzie przyjemnie chwilę z tobą przepędzić.

Jadwiga (*wskazując jej karta po prawej*).

Możebyśmy usiadły?

Karol.

Chętnie.

Jadwiga (*na str.*).

Ile daremnej pracy sobie zadaje, by nie być poznaną.

Karol (*na str.*) *).

Tak jestem wzruszony, że mówić nie mogę.

Jadwiga (*na str.*).

Sama nie wiem, od czego zacząć.

Karol (*na str.*).

Coby tu powiedzieć?

*) Wszystko co Karol mówi *na stronie* powinno być powiedziane jego naturalnym głosem.

Jadwiga

Śliczny bal.

Karol.

Bardzo piękny.

(Milczenie.)

Jadwiga.

Dobrze się bawisz ?

Karol.

Doskonale.

(Milczenie.)

Jadwiga *(na str.)*.

Coś niebardzo żywo idzie. *(głośno)* Wkrótce będziesz zapewne otoczona rojem wielbicieli.

Karol.

Jak ty piękna maseczko.

Jadwiga.

Masz pewnie zamiar wielu intrygować.

Karol.

Sądzę, że i ty tu jesteś w tym celu.

Jadwiga.

O, o mnie niech nie będzie mowy; jestem starą i nie ładną.

Karol *(ironicznie)*.

Prawdziwie? A jednak z młodym człowiekiem cej tu zastałem. <http://rcin.org.pl>

Jadwiga.

Mógłby być moim synem. Spotkaliśmy się tu przypadkiem, może on właśnie ciebie szukał, bo ty pewnie jesteś młodą i piękną.

Karol.

Tak powiadają. (*na str.*) Miałaby mnie poznać?

Jadwiga.

Dość spojrzeć na ciebie, by o tem nie wątpić.

Karol (*na str.*).

Wyraźnie drwi sobie ze mnie.

(*Milczenie.*)

Jadwiga (*na str.*).

Taką rozmowę mogłybyśmy długo prowadzić ze sobą. Do rzeczy (*zastanawia się*).

Karol (*na str.*).

Jeżeli ona myśli, że na to przebrałem się za kobietę, by słuchać takich andronów.

(*Chwila milczenia potem.*)

Razem:

Jadwiga.

Karol.

Hrabia Albert... Co, co? Hrabia Albert... Co, co?

Jadwiga.

Powiadasz?

Karol.

Ja nie, to ty...

Jadwiga.

Wszak mówiłaś?

Karol.

Przeciwnie, ty wspominałaś hrabiego Alberta. Słucham.

Jadwiga.

Niech i tak będzie. Pytałam cię, czy znasz dobrze hrabiego Alberta?

Karol.

Ja bynajmniej. *(na str.)* Więc to prawda, ona nim jest zajęta!

Jadwiga *(na str.)*.

Jeżeli wszystkiemu przeczyć będzie, mogłabym od razu dać sobie pokój. *(głośno)* Jaktu, wcale, wcale go nie znasz?

Karol.

Najzupełniej.

Jadwiga *(na str.)*.

Jak ona kłamie. *(głośno)* Nie zechcesz przecie, bym uwierzyła, że mieszkając w Krakowie, nie znasz tutajszego Don Żuana.

Karol *(żywo na str.)*.

Don Żuana! *(głośno miarkując się)* Dopiero wczoraj przyjechałam ze Lwowa.

Jadwiga *(zniecierpliwiona na str.)*.

Tego już za wiele.

Karol.

Lecz w tobie hrabia Albert zdaje się wzbudzać szczególne zajęcie.

Jadwiga.

Nic w tem dziwnego. Jestem dawną przyjaciółką jego matki.

Karol (*wachlując się*).

Zaprzestań proszę tego udawania. Przecie widzę po twojej figurze, po twoich ruchach, wreszcie i po głosie, że jesteś młodą, więc nie przyjaźń powoduje cię wciąż mówić o panu Albercie, ale może inne, tkliwsze uczucie.

Jadwiga.

A gdyby i tak było.

Karol.

A! (*chce się zerwać z krzesła, ale się powstrzymuje*).

Jadwiga (*na str.*).

Przecie! Tym razem trafiłam, ona jest zazdrosną

Karol (*wachlując się coraz mocniej*).

Przyznajesz więc.

Jadwiga.

Wcale nie nie przyznaję, ale powiadam, że hrabia Albert będąc młodym, przystojnym, rozumnym, mając piękne imię, (*z naciskiem*) a będąc przytem bardzo bogatym...

Karol.

Jest świetną partya. Nieprawda (*łamie wachlarz w drobne kawałki*).

Jadwiga (*na str.*).

To poszło z serca. (*głośno*) Może się niejednej podobać.

Karol *(na str.)*.

Pęknę ze złości, na honor pęknę!

Jadwiga.

I nie byłoby w tem nic dziwnego, gdyby się podobał.

Karol *(zrywając się na str.)*.

Do stu piorunów zabiję go!

Jadwiga *(na str.)*.

Kocha go serdecznie. Jakżem szczęśliwa! Spieszmy do Alberta *(odchodzi w głębi po lewej)*.

SCENA VII.

Karol sam, później Hortensya.

Karol *(zdejmuje maskę i chodzi wielkimi krokami na przodzie sceny, odtrącając gwałtownie nogą ogon sukni na każdym zakręcie)*.

Nie ma najmniejszego wątpienia, dla niego tu przyjechała, on jej się podoba, kocha się w nim, ubóstwia go! A, kroć sto tysięcy fur, beczek, batalionów djabłów! — Uf! już nie mogę! *(pada na karło)*.

Hortensya *(bez maski wchodzi w głębi po prawej i przechodzi na lewo)*.

Zgubiłam się w ciżbie, a raczej on mnie porzucił. *(p. k. m.)* Wszystko skończone! Żegnam was moje drogie marzenia! — *(spostrzegając Karola)* A, jesteś pan? Cóż, mówiłeś z nią, cóż ci powiedział?

Karol (*zrywając się*).

Kocha się w nim!

Hortensya.

O nieba!

Karol.

Wyznała mi to tu, tu na tem miejscu!

Hortensya.

Ale on, on?

Karol (*chodząc po scenie i giestykulując*).

Cóż on? Oczywiście i on się kocha! Ona się kocha, on się kocha, kochają się oboje!

Hortensya.

Boże mój, Boże, jakżem nieszczęśliwa!

(*Albert przechodzi w głębi w drugim salonie z prawej ku lewej i zdaje się kogoś szukać.*)

Karol

Ha! Otóż i on! Kocha się... nie, chciałem powiedzieć szuka jej. Pójdę mu słówko szepnąć do ucha (*robi parę kroków ku głębi*).

Hortensya (*żywo wstrzymując go*).

Tego nie pozwalam!

Karol.

Ech, moja pani...

Hortensya

Zaklinam pana...

Karol.

Daremnie.

<http://rcin.org.pl>

Hortensya.

Daleś mi pan słowo...

Karol (*przezwyliczając się*).

Prawda, będę więc cierpliwym, ale tylko do jutra!
(*zakłada maskę*).

Hortensya.

Unikaj go pan! (*zakłada maskę*).

Albert (*wchodząc w głębi po lewej na str.*).

Znowu to niebieskie domino! Cóż u licha, czy stoi
tu na warcie! (*do Karola*) *) Przecie panią znajduję!

Karol.

Proszę mi dać pokój (*przechodzi po przed niego
i idzie ku drzwiom w głębi po prawej*).

Albert (*idąc za nim*).

Czemże mogłem panią obrazić? Czem zasłużyłem
na tak zimne przyjęcie?

(*Wychodzi za Karolem w głębi po prawej*).

SCENA VIII.

Hortensya sama (*zdejmuje maskę*).

Na mnie ani się spojrział i goni za inną!... Ale
wszakże tą inną jestem ja. (*z radością*) Może on...
(*smutnie*) Nie, nie, on jest lekkim, niestałym,... w niej

*) Karol, Albert, Hortensya.

się kocha, a mnie chciałby się podobać. *(namiętnie)*
Zdrajca! — Nigdy mu tego nie przebaczę! Nigdy!

SCENA IX.

Hortensya, Jadwiga.

(Jadwiga zamaskowana wchodzi w głębi po lewej i przechodzi na prawo.)

Jadwiga *(na str.)*.

Nigdzie go spotkać nie mogę. — A otóż i to niebieskie domino, z którym ztąd odszedł. — Ciekawam, gdzie go porzuciła? *(zbliżając się do Hortensyi)* Jakaż ona ładna! *(głośno)* Pani...

Hortensya

Ach!

Jadwiga.

Przed chwilą chodziłaś pani z hrabią Albertem, czy nie byłabyś tak dobrą wskazać mi, gdzie go znaleźć mogę.

Hortensya *(na str.)*.

Do mnie z tem przychodzi!

Jadwiga.

Przeszłam wszystkie salony, lecz go nigdzie nie widziałam; jeżeli pani pozwolisz, zatrzymam się tu chwilkę.

(Siada w karle po prawej.)

Hortensya *(na str.)*.

Widocznie tu go oczekuje. Słabo mi się robi, ale na krok nie ustąpię *(siada na kanapie)*.

Jadwiga.

Hrabia Albert zapewne tu niebawem do pani wróci?

Hortensya.

Raczej pani tutaj szukać będzie.

Jadwiga.

Mnie? Bardzo wątpię. *(na str. przypatrując się Hortensyi)* Prześliczna; ale cóż znaczy ta minka zrozpaczona? Biedniatko, musi mieć jakieś ciężkie zmartwienie na sercu. Zapewne miłosne zgryzoty, albo zazdrość nieznośnego męża. — Radabym ją pocieszyć.

Hortensya *(na str.)*.

Ach jakże jej obecność mię drażni.

Jadwiga.

Pani nie zdajesz się bardzo używać balu dzisiejszego?

Hortensya *(żywo)*.

Ja? Przeciwnie, bawię się bardzo dobrze, doskonale, jestem bardzo, szalenie wesołą.

Jadwiga *(na str.)*.

Jakim tonem ona to mówi. *(głośno)* Nie dajesz pani dowodów tej wesołości, siedząc samotna w tym saloniku, zamiast brać udział w zabawach i intrygach masek.

Hortensya (*na str.*).

Chciałaby mnie się pozbyć. O, nic z tego moja pani. (*głośno z przycinkiem*) Jestem i tak dostatecznie intrygami otoczona. Odpoczywając korzystam z pani przyjemnego towarzystwa.

Jadwiga.

Cała przyjemność po mojej stronie. (*wstaje i idzie ku głębi na stronę*) Gdzie się ten Albert mógł podzieć?

Hortensya (*wstając*)

Uważam, że się pani niepokoić zaczynasz; nie w tem dziwnego. (*z naciskiem*) Gdy się kogoś oczekuje z upragnieniem, z niecierpliwością...

Jadwiga (*spokojnie*).

O, ja się wcale nie niecierpliwię.

Hortensya (*żywiej*).

Tak, pewna pani jesteś, że hrabia Albert zaraz tu za nią przyjdzie.

Jadwiga (*na str.*).

Ho, ho, ho?

Hortensya.

On, ze swojej strony, musi być w rozpacz, że pani dotąd nie znalazł.

Jadwiga (*na str.*).

O, fe, fe! Jeszcze jedna ofiara uprzejmości Alberta!

Hortensya.

Zapewne w tej chwili rozbija się wszędzie za panią.

Jadwiga (*bardzo zimno*).

Przekonaną jestem, że o mnie teraz nie myśli.

Hortensya.

O kimże innym mógłby myśleć?

Jadwiga.

Nie wiem. (*na str.*) Jakże tu gorąco! — Mam ochotę zdjąć maskę; wszakże skoro już dopięłam celu, moje dalsze incognito staje się zbytecznem, zresztą północ już dochodzi (*zdejmuje maskę*).

Hortensya (*spojrzawszy na nią*).

Ach jakaż ona piękna! Ach, ach! (*pada na pół zemdlona na kanapę*).

Jadwiga (*biegnąc ku niej*).

Ona mdleje!

Hortensya (*wyrywając się*).

Nie przybliżaj się pani do mnie!

Jadwiga.

Weź pani mój flakonik.

Hortensya (*oddalając się od niej*).

Ach, dajże mi pani pokój!

Jadwiga.

Lecz cóż ja pani zawiniłam?

Hortensya (*unosząc się*).

I pani śmiesz się o to pytać?

Jadwiga.

Oczywiście, że się pytam?

Hortensya.

Ha, więc powiem, żeby panią zawstydzić. Oto wkradłaś się pani potajemnie tu, do mego domu, by zbalamucić tego, którego kocham, i który miał zostać moim mężem!

Jadwiga.

Co słyszę! Więc pani, pani byłabyś Hortensyą?

Hortensya (*z dumą i pogardliwie*).

Kimże mam być innym? Lecz mnie to, mnie raczej wypada panią zapytać, kto pani jesteś?

Jadwiga.

Ależ ja jestem Jadwiga de Villers, przyrodnia siostra Alberta.

Hortensya.

Czy być może!... Co za szczęście! (*rzuca jej się na szyję*) Ach, ach! (*szlochając*) Jakże jestem szczęśliwa!

Jadwiga.

Moje biedniatko!... Więc ty go kochasz?

Hortensya.

Czy go kocham?! Ach!

Jadwiga.

Lecz któż jest to domino różowe?

Hortensya.

To pan Karol.

Jadwiga.

Ach, ach! Słabo mi (*pada na karło po pr.*).

Hortensya.

O, mój Boże! Co ci jest?

Jadwiga.

Nie, nie!... Niespodziane wzruszenie, ... radość...
bo tobie mogę to wyznać...

Hortensya.

Wiem! Wiem wszystko! Przyleciał tu za tobą!—
I ty go kochasz?

Jadwiga (*zrywając się*).

Czy go kocham?! Ach!

Hortensya.

Dlaczegoż nie uwiadomiłaś go, wyjeżdżając z Pa-
ryża?

Jadwiga.

Pisałam do niego.

Hortensya.

Nie odebrał twego listu.

Jadwiga

Biedny Karol! Ileż musiał wycierpieć!

Hortensya.

Pójdźmy do nich.

Jadwiga.

By im szczęście oznajmić.

Hortensya.

I położyć raz koniec tym nieporozumieniom.

Jadwiga.

Spieszmy!

(Podają sobie ręce i wybiegają w głębi po lewej. Skoro wyszli, Karol zamaskowany wchodzi w głębi po prawej, ogląda się, po-

tem spiesznie wychodzi drzwiami w głębi po lewej, lecz zakręca na prawo za środkową ścianę. — Zaledwie znikł, Albert wpada drzwiami w głębi po prawej).

Albert (rozglądając się na wszystkie strony).

Znowu mi znikła!

(Wybiega drzwiami w głębi po lewej, lecz wchodzi do kulisy po lewej).

SCENA X.

K a r o l (sam).

(Zaledwie Albert wyszedł, Karol spiesznie wchodzi drzwiami po prawej w głębi, rozgląda się na wszystkie strony, potem przychodzi na przód sceny i zdejmuje maskę).

Uf! Przecie mu się wyrwałem! A, to prawdziwy kleszcz w czarnym fraku i białej krawacie. Jak żyję nie widziałem nikogo, prócz siebie, tak zawziętego przy biednej kobiecie. No! Gdyby był wiedział, że jego Hortensyą jestem ja. Widocznie w niej się kocha; tu niema cienia wątpliwości. Tak, ale Jadwiga się w nim kocha. To nie dobrze! Hm, ... coby tu na to poradzić? Chociażbym jej i powiedział, że on się kocha w innej, nie uwierzyłaby, a chociażby uwierzyła, ... cóż z tego? Przeciwności tylko rozdmuchują płomień namiętności w kobiecie. Wszakże to już Sokrates i Ciceró powiedzieli... właściwie nie wiem czy powiedzieli... ale to wszystko jedno, jeżeli nie powiedzieli, powinni byli powiedzieć. Zatem ten sposób nic nie wart. (p. k. m.) Hm, hm, gdyby mi się udało zrobić go śmiesznym w jej oczach? To środek pewny i mię-

dzy rywalami dozwolony. Ale jestże on moim rywalem, skoro jej nie kocha? Oczywiście nie, ale ona go kocha, więc jest nim oczywiście. Bądź co bądź, trzeba go się pozbyć. Jeżeli mu się to nie podoba, będziemy się strzelać. Mniejsza o to. Teraz muszę go odszukać. *(Zakłada maskę i robi parę kroków ku głębi, Albert ukazuje się we drzwiach w głębi po lewej, Karol staje, zwraca się i idzie drobnymi krokami na przód sceny, gdzie staje po prawej. Gdy się Albert zbliża do niego, robi jeszcze krok, chcąc niby się oddalić).*

SCENA XI.

Albert, Karol.

Albert.

Ach, zlituj się pani, nie unikaj mnie. Od początku tego balu widzę, czuję, że się gniewasz, chociaż nie mogę dociec, czem cię mogłem obrazić. Zaklinam cię pani, powiedz mi, w czem przewiniłem. Łaj mnie, zdeptaj, jeżeli jestem winny, ale zaprzestań dręczyć mię milczeniem. *(p. k. m.)* Cóż? Jakże? W czemże leży moje przewinienie?

Karol *(udanym głosem).*

Zapytaj się pan swojej przeszłości.

Albert *(nieco zmieszany).*

Nie w niej karygodnego nie znajduję. Od chwili, jak się z panią <http://rcin.org.pl> rozstałem, nie miałem jednej myśli, jednego westchnienia, które nie byłoby tobą.

Karol.

Tak, od chwili gdy się pan ze mną rozstałeś, lecz sięgnij pan dalej w pamięci.

Albert (*na str.*).

Tam do licha! (*głośno*) Jeżeli pani przez to mnie masz moją dawną, daleką... O, bardzo daleką przeszłość... to nie myślę zaprzeczać, że... że gdy byłem bardzo, bardzo młodym, młodziesieńkim człowiekiem... prawie studentem... tak, studentem, mogły się zdarzyć... niejake dzieciństwa...

Karol.

Pan więc sam przyznajesz?...

Albert.

Ależ pani, wszakże wtedy byłem chłopięciem, dzieckiem,... wreszcie chciej pani zauważyć, że... że... (*na str.*) Coby tu powiedzieć? (*głośno*) że ciebie wtedy nie znałem!

Karol.

A odtąd?

Albert (*z zapalem*).

O! Odtąd, odtąd mogę przysiądz...

Karol.

Jednak, dziś, tutaj...

Albert.

Dziś? Tutaj?

Karol.

Podałś pan rękę w mojej obecności niebieskiemu dominu.

Albert.

Czyliż nie byłem do tego zmuszony?

Karol.

Być może, lecz trzeba było umieć się oprzeć.

Albert.

W samej rzeczy, czuję to, powinienem się był oprzeć, ale jakże odmówić damie, która prosi, by jej podać rękę.

Karol.

Pan bardzo długo z nią chodziłeś.

Albert.

Ależ bo ona mnie trzymała.

Karol.

To się pan dajesz trzymać?

Albert.

Nie, ... to jest tak... (na str.) A, sam się już plącę nareszcie!

Karol.

Powiadasz pan?...

Albert.

Powiadam, że tylko jedna jest kobieta na świecie, którą kocham całym sercem, całą duszą, a tą kobietą ty jesteś pani.

Karol (na str.).

Gdybym skorzystał z tej chwili, by się dokładnie dowiedzieć?

Albert.

Pani milczysz?

Karol.

Milczę, bo wiem, że tu jest jeszcze inna kobieta...

Albert (*żywo*).

Jadzia! (*na str.*) Otóż macie! Byłem tego pewny!

Karol (*na str.*).

On ją Jadzią nazywa!

Albert.

Czyliż to moja wina, że dowiedziawszy się, że się chcę z panią żenić, przyleciała tu do mnie z Paryża.

Karol (*na str.*).

I ja to z jego ust słyszeć muszę!

Albert.

Przyznaję, że to był czyn nierozważny, szalony, ale wszelkie moje prośby, by ją powstrzymać, były daremne. Wierzaj mi pani, ja temu jestem zupełnie niewinny, a jednak u nóg twoich błagam przebaczenia! (*klęka*) Odwracasz się, milczysz? Ach, pani byłabyś mniej srogą, gdybyś wiedziała, jak ona mię kocha!

Karol (*w pasy swoim głosem*).

Dość tego mój panie!

Albert (*zrywając się*).

He? Co? Głos mężki! Co to znaczy, mój panie? Mów, kto jesteś? No, mówże pan!

Karol.

Wnet się pan o tem dowiesz!

Albert.

Natychmiast! Zdejm pan maskę, albo ci ją zerwę

Karol.

Bez tego się obejdzie! Zostawiam panu wybór miejsca i broni.

(Hortensya i Jadwiga ukazują się we drzwiach w głębi po lewej).

Albert.

Nie tak prędko mój panie! Najprzód muszę wiedzieć, z kim mam do czynienia, kto jest ten, który się wkrada do salonu, gdzie go nikt nie zna.

Hortensya.

Mylisz się pan; ja bardzo dobrze znam tego pana.

Albert.

Tem lepiej dla niego.

Hortensya.

Ale oświadczam zarazem, że się panowie bić nie będziecie.

Albert.

Za pozwoleniem...

Karol.

O, co to, to nie!

Hortensya.

To jest warunek, który stawiam, jako konieczny do osiągnięcia mojej ręki.

Albert.

Hortensyo, wiesz, ile cię kocham, ale gdyby szczęście całego życia od tego zawisło, nie mógłbym go przyjąć pod tym warunkiem. Są obrazy, które tylko we krwi zmyć się dadzą.

Jadwiga (*do Alberta, podając rękę Karolowi*)

Przecie nie we krwi swego szwagra?

Karol (*rzucając się na jej rękę*).

Ach, jakżem szczęśliwy!

Albert (*do Jadwigi*).

Co mówisz?

Jadwiga.

Że mam honor ci przedstawić twego przyszłego szwagra, a mojego męża.

Albert.

Jednakowoż...

Hortensya.

Pst, cicho! Powiedziałam, że się Pan bić nie będziesz, albo nie otrzymasz mojej ręki... a oto ci ją daję.

Albert (*całując ją w rękę*).

Ha, cóż robić, trzeba jej się poddać.

K O N I E C



INSTYTUT
BADAŃ LITERACYJNYCH PAN
BIBLIOTEKA
10-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

42

R
4594/3

MEDNE
Dr. Frey

1715 / 16 / 1719 / 20